

JANELLE
TAYLOR

Zbrodnia z miłości

Prolog

Nigdy jeszcze zaproszenie na ślub nie wywołało takiego poruszenia w miasteczku. Rozlegały się okrzyki zaskoczenia. Przerżenia. Złości.

Starsza pani musiała sięgnąć po lek nasercowy.

Młody mężczyzna zgniół zaproszenie i cisnął je do kominka.

Pewna kobieta wpadła w szal i podarła je na strzępy.

Rozesłano dwieście dwadzieścia pięć zaproszeń. W dwustu dwudziestu pięciu przypadkach wywołały podobne reakcje: pogardę, śmiech, a przede wszystkim niedowierzanie. W całym miasteczku słychać było to samo.

- Niemożliwe, żeby mieli się naprawdę pobrać.

- To pewnie żart. Tak jak dla kawału zaprasza się na tańce najbrzydszą dziewczynę lub największego frajera z całej szkoły!

- Kosztowny żart. Papier, koperty i złote nadruki na pewno były bardzo drogie.

- No, nie... Tych dwoje i ślub? Bzdura!

- O mój Boże! Teraz rozumiem, dlaczego żadna nie mogła go podebrać. Ona go pilnowała!

- Na pewno jest w ciąży.

- Jego matka pewnie dostaje palpacji!

- Ojciec przewraca się w grobie!

- Brawo, dziewczyno! (Tak powiedziała tylko jedna osoba).

W jednym z domów zapanowała wściekłość. Niepohamowana furia.

- Zaręczeni? - wycodziła jego mieszkanka, raz po raz dźgając nożem leżące na kuchennym stole zaproszenie. - Jedno z was nie dożyje tego ślubu. Już ja się o to postaram!

Rozdział 1

Starsza pani w różowym dresie i białych, satynowych pantofelkach na dziewięciocentymetrowych obcasach ćwiczyła taneczne kroki na chodniku przed swoim domem. Shimmy. Z wygięciem w tył, chociaż nikt jej nie podtrzymywał. Obrót. I własna, zmodyfikowana wersja znanego układu Johna Travolty z *Gorączki sobotniej nocy*. Ellie Finnaman wyrzuciła prawą rękę w górę, potem opuściła ją na biodro i serdecznie się roześmiała.

- Wspaniale, panno Ellie! - zawołała do niej Holly Morrow siedząca na szczycie schodów swojego domu.

Panna Ellie Finnaman, siedemdziesięciosześcioletnia narzeczoną, chciała trochę rozchodzić buty przed jutrzejszym ślubem. Wokół zgromadził się tłumek sąsiadów. Zatrzymał się listonosz. Niektórzy powtarzali za nią, dyskotekowe kroki z lat siedemdziesiątych, inni zaczęli śpiewać *Night Fever*.

- A widzisz, Holly? Mówiłam, że pokażę tym butom, jak się tańczy! - zawołała Ellie, robiąc obrót z rękami w górę.

- Raczej szaleje, panno Ellie! - odkrzyknęła Holly i zaśmiała się. Niepokoiła się o sąsiadkę. Starsza pani po prostu nie przyjmowała do wiadomości, że może się potknąć albo złamać nogę. Z uporem powtarzała, że jej wybraniec, osiemdziesięcioletni Herbert Walker, w razie czego zdąży ją podtrzymać. - Miała pani rację, niepotrzebnie się martwiłam. W tych szpilkach chodzi pani tak pewnie, jak wczoraj w różowych adidasach. Można by pomyśleć, że na co dzień nosi pani buty na dziewięciocentymetrowych obcasach.

Ellie się roześmiała i ruszyła krokiem shimmy wzdłuż ulicy. Sąsiedzi bili brawo, gdy zrobiła obrót, a potem porwała do tańca przystojnego listonosza.

- Panno Ellie, jeśli doprowadzi mnie pani do Holly - powiedział listonosz, machając listami, które trzymał w dłoni - to będę mógł pracować, tańcząc.

Panna Ellie uśmiechnęła się szeroko i doprowadziła go krokiem tanga do domu Holly.

- Och, Holly, ta wielka koperta w dłoni Michaela wygląda jak zaproszenie na bardzo ważną uroczystość, może na ślub!

Listonosz podał Holly katalog i dwie koperty; w jednej był rachunek, a w drugiej chyba rzeczywiście jakieś zaproszenie. Potem skłonił się panie Ellie, uchylając czapki, i wrócił do swojego wózka z pocztą. Ellie tańczyła dalej sama, przemierzając krokiem tanga trawnik między domami: swoim i Holly. Szła prosto na swoją wypielegnowaną grządkę azalii.

Tylko się nie przewróć. Nie przewróć się. Nie przewróć, błagała w myślach Holly.

- Proszę patrzeć pod nogi! - krzyknęła.

- Wtedy nie będę widziała, jak wiruje świat! - odrzyknęła Ellie z uśmiechem, omal nie rozdeptując pięknego kwiatu. - Co to, to nie! - Obróciła się do Holly i spojrzała na dużą kopertę w jej dłoni. - Tak, to na pewno zaproszenie na ślub, moja droga. Jakie piękne litery, w dodatku złote! I papier! Znajomi się pobierają?

Holly zerknęła na kopertę i pokręciła głową.

- Spośród moich przyjaciół tylko pani bierze ślub.

Ellie wykonała głęboki dyg, przy czym jej stopa niebezpiecznie zbliżyła się do kolczastego krzewu różanego sąsiadki. Holly wsunęła zaproszenie do torebki.

- Ostrożnie, panno Ellie!

Ale ona tylko się uśmiechnęła i lekceważąco machnęła ręką.

- O nic się nie martw, kochanie. Poza tym mój ślub nie odbędzie się na podwórku ani na chodniku, tylko w tym beznadziejnym ośrodku dla seniorów! Tam nikt się nie przewróci, choćby nie wiadomo jak się starał!

Holly się zaśmiała.

- No tak.

W miejskim ośrodku dla seniorów pełno było poręczy, uchwytów i innych udogodnień dla starszych ludzi, ale podłoga w jadalni nie była gumowa. A przy tyłu stolikach, krzesłach i tańczących parach, na które można wpaść, ostrożności nigdy dość. Zwłaszcza w tych śmiesznie wysokich szpilkach.

Holly nie mogła się doczekać tego ślubu. Personel ośrodka - gdzie mieszkał narzeczony Ellie, Herbert, a ona pracowała jako wolontariuszka (przy tej okazji się poznali) - już udekorował salę. Holly bardzo się cieszyła ze

szczęścia Ellie i Herberta, bo wprost ich uwielbiała. Panna Ellie, z którą sąsiadowała od dziesięciu lat, odkad przeniosła się do dużego miasta, zastępowała jej matkę. Holly to odpowiadało, bo jej własna mama mieszkała daleko, aż na Florydzie. A Herbert - inteligentny, uprzejmy i elegancki - bardzo przypominał ojca Holly. W jej oczach uosabiał wszystkie cechy idealnego męża... gdyby mąż był jej pisany.

Albo przynajmniej chłopak.

Holly westchnęła. Kiedy ostatni raz byłam na randce? - zapytała się w myślach.

Dwa miesiące temu. I była to katastrofa, Panna Ellie i Herbert umówili ją z wnukiem kolegi Herberta z kółka brydżowego. Wnuk doniósł później, że Holly nie okazała mu zainteresowania.

To nie była prawda. Nie fałsz, ale i nie prawda. Rzeczywiście, nie wzbudził jej zainteresowania, ale starała się tym nie zrażać. Tylko że on cały czas mówił - o sobie. W kinie wciąż szeptał jej coś do ucha, tak że nie mogła się skupić. W dodatku patrzył na nią pożądliwie, gapił się na jej piersi, jakby chciał pokazać, że uznał ją za seksualnie atrakcyjną już w chwili, gdy otworzyła mu drzwi. Przez całą randkę czuła się nieswojo w jego towarzystwie.

Jest dla mnie za poważna, powiedział dziadkowi, który podzielił się tą informacją z całym kółkiem brydżowym. Za bardzo przejmuję się manierami i tym, co pomyślą o niej ludzie. Co z tego, że beknąłem przy kolacji i przewróciłem szklanekę z wodą? A ona była taka zakłopotana! Naprawdę powinna wyluzować!

Wyluzować. Holly nie była spięta - może z wyjątkiem spotkań z facetami, których bawi bekanie na pierwszej randce - ale nikt nie nazwałby jej też luzaczką.

I rzeczywiście przejmowała się opinią innych. Zawsze tak było i wiedziała, że to się nie zmieni. Jasne, miała swój rozum i nie podporządkowywała się ślepo opiniom ludzi, nie pozwalała się też oszukiwać, ale zależało jej na wizerunku. Niestety, określenie „sztywna” bardzo do niej pasowało.

Czując znajomy ucisk w piersiach, zamknęła oczy. Odpędziła wspomnienia z Troutville w stanie New Jersey, gdzie się wychowała. Jestem teraz bardzo daleko, powiedziała sobie. Daleko od tego miejsca i ludzi, którzy źle o mnie myślą.

W Troutville człowiek jest tym, za kogo uważają go inni.

- Och, dochodzi piąta! - zauważyła Ellie. Przy krzaku różanym ćwiczyła krok Johna TraVolty. — Nie chcę się spóźnić do Rosebud Grill. Herbert zaprosił mnie tam na ostatnią kolację w narzeczeństwie.

- A ja myślałam, że pan młody nie powinien oglądać narzeczonej przed ślubem - powiedziała przekornie Holly.

Ellie pogroziła jej palcem.

- Kochanie, Herbert i ja jesteśmy trochę za starzy, żeby w ogóle na coś czekać.

Holly wybuchła śmiechem.

- W porządku, panno Ellie. Zresztą ten zakaz dotyczy chyba tylko dnia ceremonii. Herbert nie powinien pani oglądać jutro rano, przed ślubem.

- A niech tam - skwitowała Ellie. - Uwielbiam łamać zasady. Jedną już złamałam: tę, która każe czekać do nocy poślubnej!

Holly znów się roześmiała, potrząsając głową. Panna Ellie była po prostu cudowna. Mając słaby słuch, głośno mówiła, więc teraz wszyscy sąsiedzi dowiedzieli się, że po kilkudziesięciu latach staropanieństwa nie jest już dziewicą.

Sąsiedzi śmiali się, klaskali, kłaniali na pożegnanie i rozchodzili każdy w swoją stronę. Holly powiodła wzrokiem za Ellie, która wracała do domu w rytm *Marsza weselnego*.

- Życzę miłego wieczoru, panno Ellie. Przyjdę jutro rano, żeby pomóc pani się ubrać i umalować.

- Dziękuję, kochana. Będziesz o siódmej? Goście zbiorą się około dziewiętej, a ja chciałabym spokojnie przygotować się tylko z tobą.

- Dobrze, przyjdę o siódmej! - zawołała Holly.

Panna Ellie, choć nie miała dzieci, wnuków, siostrzenic ani bratanków, skupiła wokół siebie grono znajomych w różnym wieku. Wszyscy ją lubili: zarówno sąsiedzi, jak i ludzie z różnych instytucji, gdzie pracowała jako wolontariuszka. Holly nie знаła nikogo, kto pełniłby więcej funkcji rodzinnych niż ona.

Holly uznała za bardzo budujące, że osoba niezamężna i bezdzietna może prowadzić szczęśliwe, przynoszące satysfakcję życie. Panna Ellie miała mnóstwo zainteresowań, zawsze była uśmiechnięta i otaczali ją cudowni przyjaciele. Holly od dawna czuła się bardzo samotna. Skończyła dwadzieścia osiem lat, ale jeszcze nie wyszła za mąż. Nigdy nie była nawet zaręczona.

Drobna staruszka weszła po dwóch stopniach na ganek i zniknęła w swoim domu. Patrząc na jej buty na wysokich obcasach, Holly poczuła ból w nogach. Zsunęła czótenka i zaczęła masować stopy.

Wyjęła kopertę z torebki i przyjrzała się jej. Była zaadresowana pięknym, kaligraficznym pismem w kolorze ciemnego złota. Holly zauważyła wyściółkę ze złotej folii. Kto ze znajomych bierze ślub? - zastanawiała

się. Nikt z jej rodziny ani przyjaciół nie był zaręczony. To musiało być zaproszenie na inną imprezę.

O, Boże, oby tylko nie chodziło o zjazd absolwentów szkoły średniej, pomyślała, patrząc z przerażeniem na kopertę. Przed kilkoma tygodniami jej kuzynka Lizzie, która wciąż mieszkała w Troutville, wspomniała, że w całym mieście wiszą plakaty, zawiadamiające o spotkaniu.

Holly się tam nie wybierała.

Mimo ciepłej, sierpniowej pogody zadrżała na myśl o szkole średniej w Troutville.

Z irytacją otworzyła kopertę. Wewnątrz była druga, z bardzo eleganckim zaproszeniem. Na ślub. Zaciekawiona Holly przeczytała pierwszy wiersz i wybuchła śmiechem.

Dobry dowcip, autorstwa Lizzie, to było właśnie to, czego Holly potrzebowała po długim, męczącym dniu pracy i przed równie długą, męczącą nocą, jaką miała spędzić na pieczeniu i dekorowaniu weselnego tortu dla Ellie.

Czytając raz jeszcze pierwszą linijkę zaproszenia, Holly zasłoniła usta ręką, żeby stłumić chichot.

Serdecznie zapraszamy na ślub Lizbeth Morrow i Dylana Dunhilla III...

Zanosząc się śmiechem, Holly doczytała zaproszenie do końca, a potem wbiegła do domu, żeby zadzwonić do Lizbeth, czyli Lizzie Morrow. Jej dwudziestoosmioletnia kuzynka (córka jedynego brata ojca Holly) była chyba najweselszą osobą, jaką Holly знаła. To było w jej stylu: wysłać zaproszenie na swój ślub z ostatnim człowiekiem na świecie, za jakiego mogłaby wyjść.

Holly już dwa tygodnie nie rozmawiała z Lizzie, więc zdążyła się stęsknić za jej głosem, serdecznością i zabawnymi opowieściami o tym, co dzieje się w TrouWille, gdzie razem się wychowały. Nienawidziła tej małej, żyjącej plotkami miłośnicy; nie chciała nawet o niej myśleć. Tylko że w Troutville mieszkała jej kuzynka, ciocia i najukochańsze przyjaciółki. Dlatego gdzieś na dnie serca Holly pozostała iskierka sympatii dla tego miejsca, które kojarzyło jej się przede wszystkim z bólem i przykrościami. Zaledwie iskierka - ale jednak.

Holly bardzo chciała się dowiedzieć, z kim Lizzie chodzi na randki, jak się czują ich przyjaciółki, Gayle i Flea, co słycać u cioci Louise, matki Lizzie, oraz jak idą interesy w rodzinnym pubie (gdzie Lizzie była barmanką). W ciągu ostatnich kilku miesięcy Holly i Lizzie nie miały czasu na długie rozmowy. Holly uczyła angielskiego w szkole średniej, więc nie mogła telefonować w dzień, a wieczorami oddawała się swojemu

hobby - które powoli stawało się drugą pracą- czyli pieczeniu tortów na wesela i przyjęcia. Oproszona mąką i posklejana lukrem nie miała czasu zadzwonić do kuzynki. Lizzie też była wiecznie zajęta: pracowała w barze, robiła zdjęcia dla „Gazety Troutville” i umawiała się na randki z coraz to nowymi facetami.

Holly pomyślała, że długa rozmowa z kuzynką podziała jak balsam na jej zbolaną duszę. Na szczęście Lizzie była w domu. Odebrała po pierwszym dzwonku.

- Lizabeth, moją drogą - zaczęła Holly z podniosłym akcentem - za nic w świecie nie opuściłabym twojego wesela z szanownym panem Dunhilllem. Powiedz, czy zamówiłaś suknię u Very Wang, czy też u Chanel? - Zaśmiała się. - Och, Lizzie, nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebowałam dobrego dowcipu. Miałam dziś ciężki dzień. Mój szef, dyrektor Eggers, był taki...

- Holly, kochanie, to nie jest żart - przerwała Lizzie. - Wychodzę za męża.

- Ależ tak, Lizabeth - ciągnęła Holly, wciąż podniosłym tonem. - Za pana Dylana Dunhilla, który nie zniżyłby się do rozmowy z kimś z rodziny Morrow, nawet gdyby potrafił tego kogoś swoim mercedesem.

Nie, to nie do końca prawda: Dunhillowie rozmawiali z kilkorgiem członków rodziny Morrowów, żyjąc od dawna w tym samym miasteczku; przecież pani domu musiała wydawać polecenia pokojówkom, a dwie kobiety z rodziny Morrowów pracowały w rezydencji w stylu kolonialnym, wzniesionej przy placu Dunhillów.

Holly rzuciła zaproszenie na kuchenny stół, pokręciła głową i zaśmiała się.

- Lizzie, ale z ciebie figlارا! Co słychać? Jak tam mama? Gayle i Flea? W słuchawce - cisza.

-Lizzie?

- Holly, to nie jest żart - powtórzyła Lizzie. - Naprawdę wychodzę za Dylana.

Teraz zamilkła Holly. Lizzie powiedziała to bardzo poważnie. Holly z zapiętym tchem czekała na słowa: „Nabrałam cię!”

Ale ich nie usłyszała.

- Holly, wiele się zmieniło - odezwała się wreszcie Lizzie. - Bardzo wiele. Wiem, to zaproszenie musiało cię zdziwić, ale jest prawdziwe. Wychodzę za męża. Za Dylana.

Zaraz, zaraz. Lizzie nie żartuje? Nie przygotowała tych zaproszeń w swoim komputerze na zapleczu pubu? Nie wydrukowała ich na zwykłej drukarce?

- Och, Holly-Molly... - Lizzie użyła przezwiska, który nadała kuzynce, kiedy miały po pięć lat. - Ja, Lizzie Morrow, wychodzę za mąż. Będzie wielki ślub w kościele, eleganckie przyjęcie, wszystko! To, o czym zawsze marzyłam... O czym obie marzyłyśmy.

Trajkotała o sukniach, kwiatach i wykwintnych daniach, zastanawiając się, czy zespół z Troutville potrafi wykonać piosenki jej ulubionej Celine Dion, a Holly opadła na fotel, próbując poukładać sobie wszystko w głowie. Kuzynka wychodzi za mąż? Za Dunhilla?

Aha, może więc zmieniałam się w Śpiącą Królową i przespałam dwadzieścia lat, a w tym czasie w Troutville w stanie New Jersey wszystko się zmieniło. Morrowowie nie są już biedni i nikt nie patrzy na nich z góry. Dunhillowie przestali być nieprzyzwoicie bogaci i obrzydliwie wyniośli. Lizzie i Dylan chodzili ze sobą kilka lat, wreszcie on poprosił ją o rękę, a ona przyjęła oświadczyzny. Niedługo odbędzie się ślub, o jakim Lizzie zawsze marzyła.

Tylko że to niemożliwe. Holly nie miała wątpliwości, że ani Troutville, ani Dunhillowie nigdy się nie zmienią, Zresztą Lizzie też nie mogła się tak bardzo zmienić w ciągu miesiąca, od ich ostatniego spotkania. Czyżby naręce stała się zupełnie kimś innym, zaczęła bywać w kręgach towarzyskich Dunhillów i zakochała się w jednym z członków tej rodziny?

Gdy Holly ostatni raz rozmawiała z Lizzie przez telefon, kuzynka nawet nie chodziła na randki. Chociaż zwykle umawiała się co weekend z innym facetem, teraz powiedziała, że mężczyźni przestali ją interesować i liczy się tylko fotografia. Było to zaledwie dwa tygodnie temu! Lizzie jest spontaniczna i impulsywna, pomyślała, ale na pewno nie szalona. A do miłości podchodzi śmiertelnie poważnie.

A jednak, o czym świadczy zaproszenie w dłoni Holly, Lizzie i Dylan zakochali się w sobie do szaleństwa, on po dwóch tygodniach poprosił ją o rękę, ona przyjęła oświadczyzny i teraz planują ślub, który ma się odbyć w sobotę za trzy tygodnie.

Trzy tygodnie. Kto decyduje się na ślub po dwóch tygodniach związku? Kto bierze ślub po pięciu tygodniach? Chyba tylko sławni ludzie. Ale przecież przysły mąż Lizzie jest sławnym człowiekiem, przynajmniej w Troutville w stanie New Jersey.

- Pani Lizbeth Dunhill. - Lizzie westchnęła. - Och, Holly, czyż to nie brzmi elegancko? Ja w rodzinie Dunhillów! Wyobrazasz to sobie?

Nie. Naprawdę nie mogę. To nie ma sensu!

Holly zerknęła na zaproszenie, wydrukowane złotą czcionką na kremowym papierze. Serdecznie zapraszamy na ślub... Nie zdziwiło jej, że ani słowem nie wspomniano o rodzicach państwa młodych.

Gdy Lizzie opowiadała o wyjątkowym, ciemnoniebieskim odcieniu oczu Dylana, dołku w brodzie i „ślicznych palcach u nóg”, Holly poderwała się z fotela.

- Jesteś w ciąży! - wykrzyknęła. - Dlatego ten ślub!

W słuchawce na kilka chwil zapadła martwa cisza.

- Holly, spodziewałabym się czegoś takiego od każdego - Lizzie powiedziała wreszcie cicho - ale nie od ciebie. Nigdy.

Holly było tak wstyd, że aż ścisnęło ją w żołądku.

- Przepraszam cię, Lizzie. Ta wiadomość to dla mnie szok.

Jesteś w ciąży? - zastanawiała się Holly. I czy Dylan ożeniłby się z tobą, gdybyś była? Bardzo wątpię. Nic z tego nie rozumiem! Chwilę przed tym, jak otworzyłam zaproszenie, świat był zupełnie normalny. Teraz stanął na głowie.

- Tak się cieszę! - wykrzyknęła Lizzie. Nie potrafiła się gniewać na nikogo, zwłaszcza na kuzynkę, dłużej niż dziesięć sekund. - Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa, Nigdy przedtem tak się nie czułam, Holly. Mam wrażenie, że ze szczęścia i miłości pęknie mi serce.

Holly odetchnęła głęboko. Lizzie zasłużyła na szczęście. Nie miała łatwego życia.

Jednak małżeństwo z Dylanem Dunhillem wydawało się absurdalne.

- Holly, przepraszam, że zataiłam przed tobą związek z Dylanem i nasze poważne plany, Wolałam to zachować dla siebie, bo wiedziałam, jaka będzie reakcja.

- Jak długo byliście razem, zanim się oświadczył? - zapytała Holly. - I jak to zostało przyjęte? Co powiedziała twoja mama?

- Och, ktoś dzwoni do drzwi! - krzyknęła Lizzie. - Przyszedł kwiaciarz z próbkami zdjęć.

Wygodnie, pomyślała Holly. A co ciocia Louise myśli o tym związku? O tym, że Dylan będzie jej zięciem? O powinowactwie z Victorią Dunhill? To wszystko jest niedorzeczne!

- Och, Holly, w przyszły weekend idziemy wybrać suknię ślubną dla mnie oraz stroje dla druhen - oświadczyła Lizzie. - Wyobraź sobie, że jesteśmy umówione w Salonie Mody Ślubnej Bettiny! W najdroższym sklepie w mieście! Dylan powiedział, żebym nie oszczędzała na weselu. Holly, przyjedziesz, prawda? Zaplanowałam zakupy na przyszły weekend, bo wiem, że skończy się letnia szkoła, więc będziesz wolna. Mam nadzieję, że zostaniesz tu aż do ślubu. Och, Holly, byłoby cudownie! Mam tyle spraw do załatwienia i tak mało czasu! Oczywiście będziesz moją pierwszą druheną. Nawet o to nie zapytałam, bo jestem pewna, że się zgodzisz.

Holly odetchnęła głęboko.

- Oczywiście, będę pierwszą druzną, Lizzie. Dla ciebie wszystko. Przecież wiesz.

Ale czy wytrzymam trzy tygodnie w Troutville? Czy będę do tego zdolna? Holly wątpiła, czy wytrzyma tam pół godziny.

- Wiem - powiedziała Lizzie. - Chcę, żebyś cieszyła się razem ze mną. I wiem, że wiadomość o ślubie bardzo cię zaskoczyła, ale jest nam razem tak cudownie, że po prostu musimy się pobrać. Chcemy spędzić ze sobą resztę życia. On jest wspaniały, Holly! Już nie mogę się doczekać, kiedy go poznasz!

Wcale mi się nie śpieszy, pomyślała Holly, ale zaraz się skarciła. Powinna uszanować wybór Lizzie.

- Dostałaś zaproszenie na zjazd absolwentów, który odbędzie się za dwa tygodnie? - zapytała Lizzie. -- Pomyślałam, że może bym się tam wybrała.

Aha, stwierdziła Holly. A więc to tak. Moja kuzynka nie mogłaby po prostu powiedzieć, że wybiera się na zjazd absolwentów dziesięć lat po skończeniu szkoły, i to z własnej woli.

- A skoro przyjedziesz do miasta - ciągnęła Lizzie - mogłybyśmy iść wszystkie. Cała paczka: ty, ja, Gayle, Flea. I oczywiście Dylan.

Oczywiście. Przecież Dylan Dunhill zawsze z nami trzymał, pomyślała sarkastycznie Holly.

- Lizzie, nie jestem pewna co do zjazdu absolwentów...

- Jeszcze się nad tym zastanowimy - odparła Lizzie. - Bardzo się cieszę, że przyjedziesz! Już nie mogę się doczekać, Holly-Molly! Zbyt długo się nie widziałyśmy, a mam ci tyle do powiedzenia!

Na przykład o tym, jak w ogóle zaczęłaś rozmawiać z Dylanem, mniejsza o randki i ślub!

- Och, Holly! - westchnęła Lizzie. - Wiem, że to wszystko wydaje ci się bardzo dziwne, ale na miłość nie ma rady. Liczy się tylko uczucie i wspólne szczęście. Rodzina i środowisko nie mają żadnego znaczenia.

W Troutville miały ogromne znaczenie.

- Dziewczyny bardzo się ucieszą, że przyjedziesz! - wykrzyknęła Lizzie. - Flea wciąż o ciebie pyta. Stęskniła się za tobą. Gayle też. Będą zachwycone!

Holly uśmiechnęła się na myśl o Gayle z długimi, rudymi włosami i filmowym uśmiechem oraz o Flei z pięknymi, niebieskimi oczami, w nieodłącznym, czarnym jedwabnym szaliku na szyi.

- Ja też z radością je zobaczę - odpowiedziała szczerze. Stanowczo za, długo nie widziała się z przyjaciółkami. -I ciebie też, Lizzie. Chba nikt na świecie nie tęskni tak jak ja za tobą.

Obiecała, że przyjedzie w przyszłą sobotę pociągiem o dziesiątej rano, i pożegnała się z kuzynką. Nie zadała jej wielu naglących pytań. Pokręciła głową, jakby chciała odpędzić myśli o Troutville i ślubie Lizzie z Dylanem, i poszła do kuchni, żeby upiec tort na jedyny ślub, który wydawał jej się naprawdę sensowny.

- Szczęśliwej podróży, Holly!

Holly postawiła walizkę na peronie i ucałowała Ellie i Herberta, którzy od tygodnia byli małżeństwem.

- Dziękuję, że mnie odprowadziliście.

Herbert przytulił ją mocno.

- Nie ma jak powrót do domu - powiedział. - To najmiłsze wydarzenie w życiu.

Nie dla mnie, zwłaszcza że jadę do Troutville, pomyślała Holly. W Troutville wcale nie czuję się jak w domu.

- Przez ostatnie lata moim domem był ośrodek seniora. U Ellie jest mi o wiele lepiej - dodał Herbert. - Moja żona gotuje i wygląda znacznie lepiej niż te wiecznie zajęte panie w ośrodku.

Ellie żartobliwie klepnęła Herberta.

- Nadjeżdża pociąg, kochanie.

Pociąg wtoczył się na stację. Holly głęboko odetchnęła. Wcale by się nie zmartwiła, gdyby miał opóźnienie.

- Bądźcie grzeczni podczas mojej nieobecności - powiedziała starszemu, uśmiechając się.

Herbert wziął Ellie w ramiona i bardzo powoli okręcił dokoła.

- Dobrze, kochana Holly - obiecał. - Będziemy grzeczni jak dwudziestoletni nowożeńcy!

Holly zaśmiała się, ucałowała przyjaciół i wsiadła do pociągu. Usadowiła się przy oknie. Wyjrzała, żeby im pomachać, ale oni jej nie zauważyli, zajęci tańcem na peronie. Patrząc, jak Herbert przechyla w tył Ellie - podobnie jak co najmniej dwadzieścia razy podczas przyjęcia weselnego - pomyślała o Lizzie i Dylanie. Odkąd Lizzie przekazała jej elektryzującą wiadomość, Holly myślała o nich chyba ze sto razy. Nie wyobrażała sobie, jak ci dwoje mogą ze sobą rozmawiać ani tym bardziej tańczyć. Całować się. Robić razem cokolwiek. Lizzie z Dylanem?

Przez cały tydzień w głowie miała pełno pytań. Kusiło ją, żeby zadzwonić do Lizzie, ale podczas ostatniej rozmowy kuzynka wydawała się taka szczęśliwa, że Holly nie chciała niczym zmącić jej radości. Lizzie zawsze była wobec niej szczerą i wszystko jej mówiła. Widocznie miała powód, żeby zataić przed nią swój związek i zaręczyny z Dylanem.

Zareagowałam tak, jak się obawiała, pomyślała Holly.

Wiedziała, że sprawiła kuzynce przykrość, ale jej reakcja była instynktowna. To, że Lizzie i Dylan mogli się zaręczyć, planować ślub, a potem wspólne życie, wydawało jej się nieprawdopodobne. Kiedy zaczęli się spotykać? Co jego rodzice sądzą o tym związku? O małżeństwie? Co o tym wszystkim myśli matka Lizzie? Louise Morrow przecież nie może być z tego zadowolona.

A może Holly się myliła? Może nikt nawet nie mrugnął okiem na wieść o związku i zaręczynach? Może w czasie, gdy nie odwiedzała Troutville, wszystko naprawdę się zmieniło? Być może Dolne Troutville oznacza teraz tylko część miasta za torami kolejowymi, u stóp wielkiego wzgórza, na którym znajduje się „właściwe Troutville”, jak określali to mieszkańcy. Dolne Troutville tworzyły; stacja kolejowa, dwa bary, w tym jeden z klubem ze striptizem na zapleczu, parking dla ciężarówek oraz sklep całodobowy. Mieszkali tam właściciele lub pracownicy tych firm (oprócz klubu ze striptizem, którego właściciel miał dom na wzgórzu). Gdy Holly dorastała, Dolne Troutville było synonimem ubóstwa. Brudu. Gorszych ludzi. Natomiast w Górnym Troutville, jak nazywali je mieszkańcy Dolnego, znajdowały się domy prezesów banków, dyrektorów oraz zamożnych rodzin z pannami na wydaniu. Górne i Dolne Troutville różniły się jak dzień i noc.

Patrzcie, to Puszczalska Holly, Ladacznica Lizzie, Rozrywkowa Gayle i Brudna Flea, szeptali - lub krzyczeli - młodzi ludzie, gdy dziewczyny wybierały się do Górnego Troutville. A musiały tam chodzić, bo w tej części miasta znajdowały się szkoła, kościół i dzielnica handlowa.

Holly wyjechała z Troutville przed dziesięciu laty. W wakacje po ukończeniu szkoły średniej zarobiła dość pieniędzy, żeby pomóc rodzicom kupić mieszkanie na Florydzie, o jakim zawsze marzyli. Ta gałąź rodziny Morrowów na dobre pożegnała się z Troutville. Jednak Lizzie i jej matka, podobnie jak Gayle i Flea, z niewiadomego powodu postanowiły tam zostać. Nie pozwolimy się wygnąć z miasta ludziom, których zdanie w ogóle nas nie obchodzi, mówili rodzice Lizzie.

Mimo to zdanie innych na pewno ich obchodziło. Czy mogło być inaczej? Czy pogardliwe spojrzenia, przykre uwagi, plotki i zmyślone historie mogą spłynąć po człowieku jak po kacze?

Puszczalska Holly. Pierwszy raz, gdy usłyszała ten epitet od kolegi Dylana Dunhilla, nie zrozumiała jego znaczenia. Dopiero po dziesiątym razie pojęła, że obojętność otoczenia zmieniła się w nienawiść. W wieku trzynastu lat, choć nigdy z nikim się nie całowała, Holly Morrow otrzymała przydomek Puszczalska - całkowicie nieuzasadniony - który przylgnął do niej, chociaż skończyła szkołę średnią jako dziewczica.

Przed oczami stanął jej obraz miłej twarzy siedemnastoletniego Jake'a Boone'a.

- Nieważne, co mówią o tobie ludzie, Holly. Liczy się tylko to, że ty znasz własną wartość - powtarzał Jake raz po raz. - Pieprz ich! — dodawał zapalczywie, uderzając pięścią w stół. - Kiedy zostanę gliniarzem, aresztuję kogoś z nich za plucie na chodnik, wyrzucenie na ulicę papierka po gumie albo przechodzenie w niedozwolonym miejscu, i wtrącę drania do więzienia!

Jake Boone. Od ich ostatniego spotkania upłynęło już dziesięć długich lat, ale przez cały ten czas dużo o nim myślała. Wciąż miała wyrzuty sumienia z powodu tego, co powiedziała mu w wieczór szkolnego balu. Do dziś karciała się w myślach za tę niesprawiedliwość. Była ciekawa, jak potoczyły się losy Jake'a, i co teraz robi. Czy nadal odgarnia gęste, ciemne włosy, opadające mu na oczy? Chciał zostać policjantem, jak jego ojciec i dziadek. Holly chciałaby wiedzieć, czy spełnił swoje marzenie.

Gdy pociąg ruszył, pokiwała Ellie i Herbertowi, którzy stali objęci i machali do niej. W takich wariackich chwilach, gdy wszystko wydawało się bezsensowne, Holly marzyła o mężu. Niestety, przez dziesięć lat, odkad wyprowadziła się z domu, z nikim sienie związała, chociaż poznała kilku mężczyzn znacznie sympatyczniejszych od tego bekającego z ostatniej randki. Kiedyś usłyszała rozmowę na swój temat w pokoju nauczycielskim. Koledzy dziwili się, że „taka ładna kobieta” nie może się pochwalić udanym życiem osobistym i że mężczyźni nie ustawiają się w kolejce, żeby zaprosić ją na randkę. Jedna z nauczycielek przy stole powiedziała, że Holly jest najeżona - tego właśnie słowa użyła - i że się izoluje; nie tyle od kobiet, ile od mężczyzn, jakby im nie ufała.

- Na pewno ktoś ją bardzo Skrzywdził — dodała.

-Niejeden raz..- wtrąciła się inna.

-I koniec - skwitowała trzecia.

Właśnie, koniec, pomyślała Holly. Dałaby wszystko, żeby poczuć czyjeś silne ramię na swoim ramieniu. Pragnęła dzielić się z kimś swoimi myślami, być z kimś na stałe. Z mężczyzną, któremu nie przeszkadzałyby rezerwa w jej zachowaniu, pozorna zasadniczość i chłód eleganckich, tradycyjnych ubrań.

Taki był Jake Boone, pomyślała, opierając się o podgłówek. Przez kilka minut myślała o nim: o ciemnoniebieskich oczach okolonych bardzo ciemnymi rzęsami, o głosie, który był niski już wtedy, gdy Jake miał siedemnaście lat, o umięśnionym ramieniu, obejmującym ją przyjacielskim gestem.

Przynajmniej jego nie będzie w ten weekend w Troutville, pomyślała. Nie miała wątpliwości, że Jake uciekł z miasta, gdy tylko stało się to możliwe - zupełnie jak ona - i że też nie wracał myślami w przeszłość. Ale ja przecież wracam myślami w przeszłość, uświadomiła sobie.

Rozdział 2

Gdy tylko Jake Boone wszedł na peron na stacji kolejowej w Troutville, w nozdrza uderzył go duszący zapach okropnych perfum Pru Dunhill i Arianny Miller. Zatrzymaj się. Zawróć. Uciekaj! - ostrzegł się w myślach, ale nie miało to sensu. Pociągiem o dziewiątej trzydzieści miał przyjechać klient, a Jake przyrzekł, że wyjdzie po niego na dworzec. Poza tym było już za późno: Pru i Arianna go zauważyły.

- Och, przecież to Jake Boone we własnej osobie - powiedziała Pru, wyginając w uśmiechu wąskie, umalowane na różowo usta.

Jake nigdy nie rozumiał, dlaczego Pru Dunhill nie mówiła jak normalny człowiek. Zawsze używała sformułowań w rodzaju: „Och, Jake'u Boone, oświadczam, że wyglądasz dziś wyjątkowo korzystnie”. Jej brat Dylan, który stał się jednym z najlepszych przyjaciół Jake'a po ukończeniu szkoły, powiedział, że matka od dzieciństwa uczyła Pru wystawiać się tak, jakby udzielała wywiadu przed występem w konkursie piękności Miss Ameryki. Pru najwyraźniej słuchała rad matki. I chyba wydawało jej się, że pochodzi z bogatego Południa, a nie z New Jersey.

Pru przygładziła swój e długie, faliste blond włosy.

- Arianna i ja czekamy na pociąg z Nowego Jorku. Koleżanka przyjedzie na weekend. - Nagle upuściła kilka kolorowych magazynów. - Oj... Arianno, czyż nie mówiłam, że nie powinnam nieść aż tylu pism? Ale to cała ja! Zawsze staram się robić więcej, niż jest to możliwe.

Słyszając te absurdalne słowa, Jake miał ochotę głośno się roześmiać. Dokonania Pru sprowadzały się do wizyt w salonach piękności, kinach, restauracjach i u koleżanek.

Arianna kiwnęła głową w stronę Pru. Bawiła się swoim jasnobrązowym lokiem.

- Ach, Jake, zawsze powtarzam Pru, żeby tyle na siebie nie brała, ale czy ona mnie słucha? Nie, wciąż tylko pomaga, pomaga, pomaga... Uparła się, że wyjdzie na dworzec i osobiście odwiezie koleżankę, chociaż mogłaby po nią wysłać kierowcę. Mówię ci, Pru będzie wspaniałą żoną. Jest

gotowa zrobić wszystko, żeby tylko świat stał się lepszy. Wyobraź sobie, jak stawałaby na głowie dla męża!

Jake wolał nawet o tym nie myśleć. Z cichym westchnieniem pochylił się, żeby pozbiierać magazyny Pm - jak zwykle. Zawsze, gdy na siebie wpadali, Pm coś upuszczała, Arianna wychwalała ją pod niebiosa, a potem obie czekały, aż Jake uklęknie przed Pm i będzie podziwiał jej nogi i całe piękne, kobiece ciało.

Tak, było co podziwiać. Pm miała smukłą, lecz niepozbawioną krągłości sylwetkę, długie nogi, zawsze w butach na wysokich obcasach. Chodziła w sukienkach tuż przed kolana. Większość znajomych Jake'a - mężczyzn - uważała ją za piękną kobietę. Tylko że nikt - zwłaszcza on - nie wytrzymał towarzystwa tej piękności dłużej niż pięć sekund. Wszyscy wiedzieli, że Pm podkochuje się w Jake'u. „No to chyba masz szczęście”, mówili koledzy, omiatając wzrokiem jej piękną figurę i myśląc o jej funduszu powierniczym.

Teraz Jake wcale nie czuł się szczęściarzem. Był uprzejmy, a Pm nie dało się zbyć, kiwając jej głową na powitanie. Nie była najmilszą osobą na świecie - co to, to nie! - ale czuła coś do Jake'a, a on w takich sprawach zawsze zachowywał się bardzo delikatnie, chociaż Pm nie interesowała go ani jako kobieta, ani jako człowiek. Uważał jej zachowanie za naganne. Kiedyś prześladowała tych, na których mu zależało, zwłaszcza jedną osobę. Choć tamte czasy dawno minęły, Pm wciąż gardziła ludźmi, których uważała za gorszych od siebie. W szkole średniej Jake do nich należał, a Pm złościło, że jej się podobał. To nie była tylko fascynacja panienki z dobrego domu niegrzecznym chłopakiem. Szczerze go lubiła i to spędzało jej sen z powiek. Pmdence Dunhill, jedna z najbogatszych dziewcząt w mieście, i Jake Boone z Dolnego Troutville, Syn emerytowanego policjanta?

Ten związek byłby równie niestosowny jak planowane małżeństwo Dylana Dunhilla z Lizzie Morrow.

Jake nie wiedział wtedy, że Pru się w nim podkochuje. A ona sama mu to wyznała na ich jedynej randce przed kilkoma miesiącami, gdy za dużo wypijała. Przytuliła się do niego, kiedy odwoził ją samochodem do domu.

- Ale ciebie interesowała tylko Holly Morrow - wybełkotała. - Nie wiem, co widziałeś w tej chudej, zahukanej dziewczynie w znoszonych szmatach. Tak, puszczała się. Na jej miejscu też bym pewnie to robiła. Wybór między nią a mną? Daj spokój!

Jake doskonale wiedział, co widział w Holly Morrow. Wystarczyło wspomnienie jej imienia i uczuć, jakie do niej żywił - miłości do niej - żeby odepchnął Pm i odprowadził ją pod frontowe drzwi jej domu. Zresztą

i tak grzecznie odrzuciłby jej zaloty. Następnego ranka Pru zadzwoniła do niego i żartowała, że „wykorzystując jej niską tolerancję alkoholu”, kochał się z nią w samochodzie. To samo powiedziała przyjaciółkom. Jake powtarzał jej pięć razy, że nie doszło nawet do pocałunku, ale Pru postanowiła wierzyć - a może raczej udawać - że spali ze sobą.

Tak łatwo było wymyślić kłamstwo. Rozgłosił je w mieście. I nagle coś, co się nie stało, jednak się stało. Jake zbyt dobrze znał potęgę oszczerstwa.

- Bardzo ci dziękuję, Jake - powiedziała przymilnie Pru, gdy podawał jej magazyny. - Zaniosę te stare pisma do państwowej przychodni w Dolnym Troutville, z której usług korzystają biedniejsi obywatele naszego miasta. Chociaż nie stać ich na modne stroje z „Vogue'a”, lubią o nich marzyć - dodała, poklepując lśniąca okładkę magazynu dla kobiet.

Jake zareagował tak samo jak na wszystkie inne bzdury padające z; lśniących, różowych ust Pru Dunhill: po prostu patrzył na nią z niedowierzaniem i zastanawiał się, czy ta kobieta ma w sobie choć odrobinę przyzwoitości.

- Och, Arianno. - Pru podniosła wzrok na przyjaciółkę. - Gdybyś tylko zechciała, mogłabyś zostać topmodelką.

Arianna jednak zadowalała się korzystaniem z funduszu powierniczego. Czasami pomagała urządzać domy znajomym swoich rodziców. Ona i Pru były z zawodu „dekoratorkami wnętrz”, ale całe dnie spędzały w restauracjach i sklepach, nieustannie plotkując i przy każdej okazji pokazując się Jake'owi i Dylanowi Dunhillowi.

Pru Dunhill często mówiła Jake'owi o Ariannie, chcąc, by przekonał Dylana, że to idealna kobieta dla niego. Robiła to od lat - bez skutku. Dylan był chłopakiem Arianny w szkole średniej, a potem kilkakrotnie się schodzili, bo tego oczekowały ich rodziny, ale nie udało mu się jej naprawdę pokochać. Pru zawsze pchała Ariannę w ramiona Dylana - podczas uroczystości rodzinnych, w domu, na ulicy, dosłownie wszędzie. Nie przestawała nawet teraz, gdy Dylan się zaręczył. Ze zdwojoną energią próbowała mu pokazać, jak dobrą partią jest jej przyjaciółka. Przejawiało się to w tym, że kiedy Arianna paradowała przed Dylanem w seksownych strojach, ona robiła przykre, niezbyt zawaolowane uwagi na temat jego narzeczonej, Lizzie Morrow.

- Doprawdy, bardzo trudno cię ostatnio znaleźć, Jake'u Boone - powiedziała zalotnie Pru, potrząsając głową. Wyprostowała się i lekko odwróciła w bok, żeby uwydatnić biust. Przygładziła włosy i okręciła się na obcasach. - Nie dostałeś moich wiadomości o zjeździe absolwentów w przyszłym tygodniu? Dzwoniłam do ciebie cały tydzień.

- Pru, nie mam ochoty przychodzić na spotkania naszej klasy. Być może nie pamiętasz, ale moje życie w szkole średniej nie było tak przyjemne jak twoje. A poza tym w weekendy pracują. Teraz też jestem zajęty. Umówiłem się z kimś i nie chcę się spóźnić, więc.

- Och, głuptasku - przerwała mu Pru, ignorując jego słowa. - Wtedy byłeś zupełnie innym człowiekiem. Będziesz gwiazdą balu absolwentów! Gdy wszyscy zobaczą, jak bardzo się zmieniłeś, doznają szoku. Nikt inny z naszej klasy nie przeobraził się ze zbira w człowieka sukcesu. Ci, którzy mieszkali po złej stronie torów, wciąż się tam kiszą. Postaraj się przyjść. Zatańczę z tobą.

To utwierdziło go w przekonaniu, że nie weźmie udziału w zjeździe absolwentów. Zresztą i tak nie miał zamiaru. Już raz „spróbował” z Pru i to mu wystarczyło. Do dziś nie mógł pojąć, dlaczego, za namową Dylana, zaprosił ją na randkę. Dylan upierał się, że Pru ma pewne zalety i może by znormalniała, gdyby związała się z mężczyzną, którego kochała od dwudziestu lat. Ich jedyna randka nie była całkowitą katastrofą, ale Jake nie lubił Pru i wiedział, że nigdy nie zmieni zdania na jej temat.

- Dylan przyjdzie, prawda? - zapytała z nadzieją w głosie Arianna. - Jest na liście.

- Wspomniał, że się wybiera - odparł Jake, zerkając na zegarek. Nie łudził się jednak, że one rozumieją aluzję. Nie docierało do nich, że koniecznie chce im uciec.

- Pewnie przyjdzie z Lizzie Morrow - wycedziła jadownicę Arianna.

- Cóż, jest jego narzeczoną, więc raczej tak - odparł Jake, osłupiały ze zdziwienia. Dylan i Lizzie pobiorą się za trzy tygodnie, niezależnie od tego, co myślą Pru i Arianna.

Pru udała, że drży.

- Nigdy nie zrozumieję tego związku, Mój brat z Lizzie Morrow! Mój wspaniały brat, człowiek sukcesu, z tą pospolitą dziewczuchą. Nie wiem, co w niej widzi. Ona nie dorasta mu do pięt.

- Tak, całkowite dno - zawtórowała Arianna, odgarniając długie włosy za ramię.

Pru pochyliła się ku Jake'owi, jakby chciała zdradzić mu coś w zaufaniu.

- Kiedy mama powiedziała, że mój brat, najlepsza partia w mieście, a może i w całym stanie, ma romans z Ladacznicą Lizzie, omal nie padłam trupem.

- Nic dziwnego, że trzymał to w tajemnicy - dodała Arianna. - Wstydziliśmy się przyznać, że spotyka się z taką osobą.

- Mówię ci, na pewno szantażem zmusiła Dylana do zaręczyn - upierała się Pru. - Niech sobie mówi, że ją kocha. Ja wiem swoje. Zdobyła

jakaś kompromitującą informację na jego temat. Z innego powodu by się z nią nie żenił.

Jake miał już tego dość.

- Nie chcę się włączać w tę ohydną rozmowę - powiedział z obrzydzeniem - ale jaki okropny sekret ma waszym zdaniem Dylan, że zgadza się na ślub, byleby go ukryć? Czy żadnej z was nie wpadło do głowy, że on po prostu kocha Lizzie? Wiecie lepiej niż ktokolwiek inny, że Dylan Dunhill nigdy by się nie ugiął. Jest panem samego siebie. Gdyby nie kochał Lizzie, i to bardzo, na pewno by się z nią nie żenił.

- Daj spokój jęknęła Pru, wznosząc oczy do nieba.

- Zgadzam się z Pru w stu procentach - dodała Arianna. - Lizzie to spryciara. Pomyśl, Jake. Dlaczego taki mężczyzna jak Dylan miałby pokochać tę ladacnicę? Widziałeś ją dziś? Ubiera się najgorzej w mieście i tak wyzywająco, że zauważyłam ją z odległości pół kilometra. W życiu nie widziałam takiej krótkiej, jaskrawej i tandetnej spódnicy. Na pewno uszyła ją sobie z plastikowej torby na śmieci!

I obie się roześmiały.

- A te jej włosy? - zapytała Pru. - Ciekawe, jak długo jeszcze będzie je rozjaśniać, zanim się całkiem pokruszą?

- Są takie długie i nastroszone, że potrwa to całą wieczność - dorzuciła Arianna.

Jake'owi zbierało się na wymioty od początku tego słownego ataku na Lizzie Morrow.

- Nie będę tracić czasu na wyprowadzanie was z błędu ~ oznajmił. - Ale tak się składa, że bardzo lubię Lizzie. A twój brat ją kocha - dodał, patrząc ostro na Pru. - Lepiej więc zatrzymajcie te jadowite uwagi dla siebie.

- O, rany, Jake - mruknęła Arianna. - Trochę przesadzasz.

- Nie - odparł Jake, patrząc, jak pociąg wtacza się na stację. - To wy przesadzacie.. Mógłbym powiedzieć dosadniej, co o was myślę, ale tego nie zrobię.

- Wszystko jedno - warknęła Arianna. Burknęła coś pod nosem, ale jej słowa zagłuszył hałas zatrzymującego się pociągu. Jake był zadowolony, że ich nie usłyszał.

-, Proszę, Jake! - wykrzyknęła Pru. - Nie bądź taki najeżony! Urać nas słynnym uśmiechem Jake'a Boone'a. Bardzo chcę go zobaczyć. - Oparła się o niego, przesunęła dłonią po jego brzuchu i połaskotała go tuż nad paskiem. Przytuliła się mocno, żeby poczuł miękkość jej piersi. Lekko rozsunała nogi, opierając się o jego udo. - Uśmiechnij się do mnie, Jake - szepnęła mu chrapliwie do ucha, gładząc palcem jego szyję. - Proszę, kotku.

- Wynajmijcie pokój! - wykrzyknęła Arianna, chichocząc.

Zaenowany i wściekły Jake cofnął się, a Pru zrobiła krok do przodu i omal nie straciła równowagi. Gdy wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, osunęła się w jego ramiona.

- Mogę ci zaproponować o wiele więcej, Jake - szepnęła. - Wiesz, gdzie mieszkam.

W lochu? - chciał zapytać, ale ugryzł się w język.

- Patrz, jest ta dziwka, przyszła panna młoda. - Pru wskazała podbródkiem w stronę peronu.

Kątem oka Jake zobaczył Lizzie Morrow i jej koleżanki, Gayle i Felicię, wychodzące na peron. Stały przy ścianie, pogrążone w rozmowie. Przez chwilę wyobrażał sobie, że czekają na Holly Morrow. Cztery dziewczyny przyjaźniły się do końca szkoły średniej, kiedy to Holly wyprowadziła się z miasta. Zawsze, gdy widział Lizzie, Gayle i Felicię, bardzo odczuwał nieobecność Holly, jakby coś było nie w porządku.

Holly uśmiełaby się z tego. Jej zdaniem nie w porządku było to, że ktoś mieszka w Troutville choćby sekundę dłużej, niż musi.

Odpędził myśli o Holly. Ostatni raz widział ją w Troutville.

- Nie do wiary, że Lizzie pokazuje się publicznie w takim stroju! - wykrzyknęła Arianna, oczywiście bardzo głośno. - A te jej okropne przyjaciółki? Na ich widok robi mi się niedobrze!

- Tak się składa, że lubię również przyjaciółki Lizzie - warknął Jake. - Byłbym więc wdzięczny, gdybyście uwagi na ich temat także zachowały dla siebie.

Arianna uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Jake, nie bądź taki miłosierny. Dylan jest twoim przyjacielem, ale z tego powodu wcale nie musisz lubić przyjaciółek jego narzeczonej.

- Nawet jej tak nie nazywaj - oburzyła się Pru. - To stanowczo zbyt oficjalne. Wątpię, żeby stanęli przed ołtarzem.

Jake wbił wzrok w Pru i starał się nie przyjmować do wiadomości jej słów.

- Jest mój klient, więc żegnam panie.

Odchodząc, usłyszał, jak Arianna mówi do Pru:

- On bardzo cię pragnie.

Było to chyba największe z kłamstw, jakie dziś padły z ust Pru i Arianny.

Gdy pociąg wjechał na peron w Troutville, Holly pomimo tłoku od razu dostrzegła kuzynkę. Długie, platynowe loki Lizzie, różowa bluzka i marszczona spódnica odcinały się na tle szarości wilgotnego, sierpnio-

wego poranka. Serce Holly zabiło mocniej. Lizzie jak zwykle była pogrążona w ożywionej rozmowie, gestykulowała i śmiała się, odrzucając głowę w tył.

Przyjemnie było znów ją zobaczyć. Holly widywała ją bardzo rzadko, zresztą z własnej winy. Kilka razy w roku Lizzie jechała dwie godziny pociągiem do Hoboken, żeby ją odwiedzić. Czasami towarzyszyły jej mama, Gayle i Flea. Zawsze, gdy pociąg zabierał je z powrotem do miasta, o którym Holly nie mogła nawet myśleć, z żalu ścisnęło jej się serce.

Gdy otworzyły się drzwi pociągu, Lizzie urwała w pół słowa i zaczęła podskakiwać, starając się zajrzeć przez okna. Holly się roześmiała. Obok Lizzie stały Gayle Green i Flea Harvey, która naprawdę miała na imię Felicia. W szkole podstawowej i średniej były nierozłączne. Podczas każdej rozmowy z Lizzie Holly dowiadywała się, z kim Gayle chodzi na randki i jaką to cudowną sukienkę uszyła Flea. Przez chwilę Holly zateęskniła za dawnymi dniami, przyjaźnią, odizolowanym światem, który sobie stworzyły, broniąc się przed pogardą i wrogością innych.

Po szkole cztery dziewczyny godzinami przesiadywały na opuszczonym boisku w pobliżu torów kolejowych, oddzielających ich Troutville od Troutville Dunhillów. Tam snuły marzenia o dniu dzisiejszym i przyszłości. Rozmawiały o chłopcach, którzy im się podobali, strojach, które chciałyby mieć, nauczycielach, których lubiły, oraz o tym, co zamierzały robić po ukończeniu szkoły średniej. Bardzo często, gdy docinki innych ludzi były tak dotkliwe, że one nie umiały ich zignorować ani zapomnieć o nich, rozmawiały o tym, jak traktowano je w Troutville. O plotkach. O zmyślonych historiach na ich temat. O kłamstwach. Pocieszały się marzeniami o wyjeździe z miasta po ukończeniu szkoły. Ale tylko Holly opuściła Troutville. Lizzie została barmanką w rodzinnym pubie, Morrow's Pub. Gayle podjęła pracę sekretarki, a niedawno zaczęła studia w miejscowym college'u. A Flea, utalentowana krawcowa, teraz była właścicielką małego zakładu, gdzie wcześniej pracowała.

Gdy Holly zaczynała rozmowę o planach na przyszłość, dziewczyny puszczały wodze fantazji i marzyły, że wybiorą się do spokojnych miasteczek na południu lub do tętniących życiem metropolii. Niestety, podczas uroczystości zakończenia szkoły mama Lizzie złamała nogę, więc Lizzie postanowiła zostać jakiś czas, żeby się nią opiekować. Noga jednak nie zrosła się prawidłowo, a Lizzie przyzwyczała się do pracy w pubie. Była kelnerką, a gdy osiągnęła odpowiedni wiek, została barmanką. Przez ten czas, jak to określiła, zapuściła inne, nowe korzenie. Zaprzyjaźniła się z ludźmi w pubie. Lubiła swoją pracę i przytulny, mały bungalow, w którym mieszkała.

Gayle została z powodu mężczyzny. Chłopak, za którym szalała w szkole średniej, skończył studia prawnicze, wrócił i otworzył własną kancelarię. Gdy Gayle zobaczyła ogłoszenie, że szuka sekretarki, podjęła decyzję i zgłosiła się. Proponowała mu wspólną kolację lub drinka, ale on jasno powiedział, że nie powinno się mieszać pracy z przyjemnością. Gayle kochała go więc platonicznie i postanowiła iść na studia, żeby zostać asystentką, a może nawet prawnikiem.

Flea marzyła o pracy w którymś z wielkich, nowojorskich domów mody i o otwarciu własnej firmy, ale zamiast wyjechać, zaczęła szyć sukienki w maleńkim pokoju na" zapleczu sklepu w Dolnym Troutville. Teraz przynajmniej kupiła go na własność. Wiadomość o talencie Flei niosła się z ust do ust, więc nawet eleganterki z Górnego Troutville przychodziły do jej sklepu albo prosiły, żeby odwiedzała je z próbkami tkanin i szkicownikiem.

Przyjaciółki zorganizowały sobie życie, więc po jakimś czasie Holly przestała pytać, kiedy wyjadą z Troutville. A one przestały prosić, by je odwiedziła, bo zawsze znajdowała jakąś wymówkę, żeby tego nie robić. Chętnie natomiast jeździły do niej, do Hoboken, ładnego miasta, które od Nowego Jorku oddziela tylko rzeka. Gdy odwoziła je na dworzec, gdzieś w głębi serca marzyła, że z nimi wróci, że znajdzie w Troutville spokój, tak, jak im się udało. Że, tak jak one, pogodzi się ze sobą.

Wyglądając przez okno, Holly zauważyła, że Flea odgarnia włosy z twarzy, starając się ukryć blizny na szyi. Och, Fleo, pomyślała ze ściśniętym sercem. W wieku czternastu lat Flea cudem ocalała z pożaru. W mieście plotkowano, że ogień podłożył jej ojciec, by uzyskać pieniądze z ubezpieczenia. Flea nie przejmowała się tymi podłymi kłamstwami. Ludzie często oczerniali ją i jej przyjaciółki.

- Mówią tak dlatego, że jesteście ładne, mądre i miłe - tłumaczyła mama Holly, gdy córka wracała do domu ze łzami w oczach. - Nie jesteście bogate, ale za to macie charakter. W końcu zdobędziecie wszystko, czego pragniecie.

Rano przed wyjazdem Holly zadzwoniła do matki na Florydę i przekazała jej sensacyjną wiadomość o ślubie Lizzie z jednym z Dunhillów. Dodała, że spędzi w Troutville weekend, a może i najbliższe trzy tygodnie.

- Zapomnij o przeszłości, kochanie - poradziła matka. -I nie martw się o Lizzie. Jest roztrzepana, ale ma głowę na karku. Jeśli wychodzi za Dunhilla, to znaczy, że jest on dobrym człowiekiem. Kto wie, może tam wreszcie coś się zmieniło?

Dylan Dunhill nie jest dobrym człowiekiem. To po prostu niemożliwe. I co mogłoby się zmienić w Troutville? Przecież przez osiemnaście lat,

które Holly tam przeżyła, nie zmieniło się nic. Może słońce, ciepło i palmy na Florydzie miały tak zbawienny wpływ na jej mamę, że zapomniała o przykrościach, które spotykały jej rodzinę w Troutville. Zresztą mama zawsze była typem człowieka, który nadstawia drugi policzek.

- Wiemy, kim jesteśmy, i znamy własną wartość - mawiała często. - Po co przejmować się tym, co myślą o nas niektórzy ludzie?

Ale Holly się przejmowała. Zawsze. Ona, Lizzie, Gayle i Flea starały się nie myśleć o docinkach i oszczerstwach, lecz żadnej z nich się to nie udało. Wszystkie bardzo cierpiały z tego powodu.

Holly westchnęła. Z ciężkim sercem wstała, zdjęła walizkę z półki i ustawiła się w kolejce do wyjścia. Wyrzała przez okno i zobaczyła inne jasne włosy.

Zesztywniała.

To była Prudence Dunhill.

Pru stała pośrodku peronu. Holly rozpoznała ją natychmiast, choć od ich ostatniego spotkania upłynęło dziesięć lat. Pru, której przyznano tytuł „najpiękniejszej w klasie”, miała wielkie, niebieskie oczy, długie blond włosy i idealną figurę. W wieczór balu na zakończenie szkoły, tuż przed kłótnią z Jakiem, Holly natknęła się na Pru i jej przyjaciółkę Ariannę, kłócące się na boisku. Arianna, która została królową balu, była zła, że Pru otrzymała tytuł „najpiękniejszej w klasie”. Uważała, że tytuł należał się jej (zajęła drugie miejsce), ponieważ Dylan, z którym się wtedy spotykała, został uznany za „najprzystojniejszego w klasie” oraz króla balu. Holly była wstrząśnięta. Dziewczyny przyjaźniły się od zawsze, ale w tej wymianie zdań nie było nic przyjacielskiego.

- Cóż, to ja wygrałam, Arianno - warknęła Pru. - Co na to poradzę? Jeśli wszyscy uważają, że jestem najpiękniejszą dziewczyną w klasie, to najwyraźniej nią jestem.

Arianna fuknęła.

- Mam bardziej klasyczne rysy niż ty, Pru. To ja doszłam do finału konkursu piękności. Nie ty.

Ta wstrętna rozmowa wydawała się szpecić piękny ogród z wypiełgnowanymi trawnikami i niskim, kamiennym murkiem, na którym wygodnie się siedziało, kwitnącymi rabatami i wysokimi drzewami. Dziewczyny kłóciły się do chwili, gdy zauważyły Holly.

- Hej, patrz, Arianno! - krzyknęła Pru. - Ona dostała tytuł „największej dziwki”.

- I najobrzydliwszej - dodała Arianna.

- Skąd wzięłaś suknię na bal? - zapytała Pru. - Ze śmietnika? Moda ze śmietnika! Może to będzie hit przyszłego sezonu.

- Kieckę na pewno uszyła Dziewczyna z Blizną - wtrąciła Arianna. -
Brudna Flea zawsze łązi z igłą, nitką i skrawkami tanich materiałów.

- Jak śmiecie! - oburzyła się Holly. - Jak możecie tak mówić o mojej przyjaciółce?

- Domyśliłaś się, o kim mówimy? - zapytała niewinnie Pru, oglądając sobie paznokcie.

Podłe słowa Pru i Arianny zawsze wprawiały Holly w takie osłupienie, że nie mogła się bronić albo bronić swoich przyjaciółek. Dopiero po fakcie umiała wymyślić ciętą odpowiedź. A wtedy było już za późno.

- Patrz, Puszczalska Holly stoi z otwartymi ustami - powiedziała Pru. -
W pobliżu nie ma żadnego faceta, więc możesz je zamknąć.

- Właśnie że jest - odezwał się niski, męski głos. - Gdyby przyznawano tytuł „najpodlejszego człowieka na świecie”, zdobyłybyście go razem.

Trzy dziewczyny obróciły się i zobaczyły Jake'a Boone'a w smokingu; patrzył z groźną miną.

Pru spojrzała na niego tak, jakby miała się rozpłakać; Arianna objęła przyjaciółkę ramieniem i mruknęła:

- Jakby twoje zdanie coś znaczyło, Jake. -I obie odeszły.

Jake odprowadził je gniewnym wzrokiem i pokręcił głową.

- Gdyby przyznawano tytuł „najwspanialszej pod każdym względem”, ty byś go zdobyła - powiedział do Holly. - Jesteś najpiękniejszą, najinteligentniejszą, najbardziej twórczą, interesującą, jednym słowem najwspanialszą dziewczyną w tej głupiej szkole.

Holly wybuchła płaczem, więc Jake ją objął.

- Nie słuchaj tych czarownic, Holly! Nie bierz tego do siebie. Są podłe. To one są dziwkami!

- Nie mogę się doczekać wyjazdu z tej dziury! - mruknęła Holly. Łzy płynęły jej po policzkach. W wakacje miała pracować jako wychowawczyni na obozie dla dzieci, a potem wybierała się na studia do dobrego college'u, oddalonego o godzinę drogi, gdzie uzyskała stypendium; - Nigdy tu nie wrócę.

- Pozwolisz im wygrać? - zapytał Jake.

- Nie jestem taka jak ty - odparła. - Nie potrafię ignorować tego, co mówią o mnie ludzie.

- Może chociaż przekonam cię, żebyś została tu pięć minut, a ja w tym czasie przyniosę poncz?

Holly się uśmiechnęła. Cały Jake - umiał zmienić temat i rozweselić ją w mgnieniu oka.

-I, przy okazji - dodał, obracając się. - Ja uważam, że masz przepiękną sukienkę.

Puścił do niej oko i zniknął w sali gimnastycznej. Holly oparła się o murek. Postanowiła już nie myśleć o słowach Pru i Arianny. Zamierzała cieszyć się tą nocą, ostatnią w Troutville, i spędzić ją z przyjaciółmi. Wskoczyła na murek i wpatrzyła się w gwiazdy.

Wtedy wróciła Pru. Gdyby tylko tego nie zrobiła...

- Gdzie Jake? - zapytała, opierając ręce na biodrach.

Holly zastanawiała się, jak ktoś o tak anielskim wyglądzie może być takim potworem. Pru miała na sobie śliczną suknię, różową* powiewną i kobiecą, oraz pasujące do niej, różowe sandałki,

- Poszedł po poncz.

- Jesteś dziwką! - syknęła Pru. - Jake łązi za tobą jak pies, bo z nim sypiasz. Ty żałosna dziwko! Nic dziwnego, że wołał tańczyć z tobą i z mną...

- Zamknij się, Pru Dunhill! - rozległ się głos Flei. Słabo widoczna w przyćmionym świetle, padającym z okien sali gimnastycznej, stała w swojej pięknej, czarnej sukni, którą sama uszyła, ściskając w dłoniach obszywaną paciorkami torebkę, również własnej roboty. Flea, podobnie jak Gayle, nie miała partnera na bal, przyszły więc same. - Zamknij się!

Pru tylko się uśmiechnęła.

- Och, oto Brudna Flea... Ty nie jesteś dziwką, bo nie tknąłby cię żaden facet!

Holly z przerażeniem wciągnęła powietrze, słysząc te podłe słowa. Dolna warga Flei drżała, ale dziewczyna nie rozpłakała się ani nic nie powiedziała. Wbiła wzrok w ziemię.

- Pru, chodź, graj naszą piosenkę! - zawołał dziewczęcy głos z drzwi sali gimnastycznej.

- Mdli mnie na wasz widok! - warknęła Pru do Holly i Flei, a potem pobiegła do sali.

Holly wypuściła powietrze.

- Wiem, że nie powinnam czuć do nikogo nienawiści. Wiem, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Ale jej nienawidzę. Naprawdę.

- Nie jest tego warta - powiedziała Flea, poprawiając czarny szalik na szyi.

- Nawet nie całowałam się z Jakiem. Jak ona śmiała? Jak śmiała?

Flea objęła przyjaciółkę ramieniem.

- Nie myśl o tym, Holly. Ona się w nim kocha, dlatego zawsze ci dokuca. Szaleje za nim i jest wściekła, że nie może go mieć, a ty możesz.

- Jake i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi! - oświadczyła Holly. - Tylko przyjaciółmi. Tak będzie zawsze.

- Nigdy tego nie zrozumie! powiedziała Fłea. Jest bardzo przystojny, miły i uwielbia cię. Jesteście najlepszymi przyjaciółmi. Holly, najlepszego przyjaciela się poślubia!

- Ja miałabym wyjść za Jake'a Boone'a? Nie bądź głupia, Fleo! -burknęła Holly. - Pewnie już nigdy go nie zobaczę, kiedy wyjadę z Troutville. I dobrze! On uosabia wszystko, od czego odchodzę... Wszystko, czego tu nienawidzę. To ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła! - Głos jej się załamał.

Wcale tak nie myślała, ale wydarzenia wieczoru wytrąciły ją z równowagi.

Te słowa zakończyły jej przyjaźń z Jakiem. Gdyby się odwróciła, gdyby wiedziała, że stoi za nią, w drżących dłoniach trzymając dwie szklaneczki z ponczem...

Zrozumiała, że nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy, słów, które wypowiedział, oraz tego, jak postawił szklaneczki, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nigdy już nie widziała Jake'a Boone'a. Następnego dnia nie przyszedł na ceremonię zakończenia szkoły. Dzwoniła do niego, poszła nawet do jego domu, ale się z nim nie zobaczyła. Szukała go w miejscach, gdzie kiedyś razem bywali, ale bez skutku. Po kilku miesiącach zebrała się na odwagę, żeby znów zadzwonić, ale poruszył ją jego głos w słuchawce. „Halo? Halo?” - mówił Jake, a ona zaczęła płakać. Kilka tygodni później zadzwoniła jeszcze raz, ale kiedy powiedziała: „Jake, to ja, Holly”, odłożył słuchawkę.

Więcej już nie próbowała.

- Stacja Troutville, proszę wysiadać! - zawołał konduktor, wrywając Holly z rozmyślań. - Drzwi zamkną się za pół minuty.

Holly się poruszyła i uświadomiła sobie, że od pasażera przed nią dzieli ją kilka metrów. Pobiegła do drzwi. Zerkając na zewnątrz, zobaczyła Pru Dunhill, prowokującą przytuloną do bardzo przystojnego mężczyzny. Stała na jednej nodze, drugą uwodzicielsko machając. Obok stała Arianna Miller. Szarpnęła Pru za włosy z taką samą - podobno żartobliwą - agresją, jaka zawsze cechowała ich stosunki. Mężczyzna odsunął się od Pru i ruszył przez peron, a one jak zwykle zaczęły zżywieniem szeptać.

Zawsze było wiadomo, że nigdy się nie zmienia, pomyślała Holly, potrząsając głową.

Odetchnęła głęboko i wysiadła z pociągu.

Rozdział 3

Na peronie było tłoczno. W weekend odbędzie się zjazd absolwentów, przypomniała sobie Holly. W sierpniu, gdy dni były upalne i rozleniwiające, ludzie chętnie brali urlopy. Wydawało się, że dziś do Troutville wrócił każdy, kto kiedykolwiek tu mieszkał. Holly uniosła podbródek, mocno ścisnęła torbę i zaczęła się przeciskać przez tłum. Zbliżając się do przyjaciółek, zauważyła, że kobiety na peronie z pogardą omiatają je wzrokiem. Mężczyźni jak zwykle typali na nie pożądliwie. Choć minęło dziesięć lat, nic się nie zmieniło.

- Założę się, że zmusza go do małżeństwa szantażem - powiedziała kobiecie głos gdzieś za Holly.

- Na pewno - zawtórował drugi głos. - Niemożliwe, żeby Dylan Dunhill zainteresował się kimś takim jak Lizzie Morrow. Na pewno ma coś na niego.

- Dziesięć do jednego, że jest w ciąży - dodała pierwsza kobieta.

Holly zeszytniała i odwróciła się.

- Przykro mi, ale przegrałaby pani ten zakład - powiedziała. - Lizzie nie jest w ciąży. A nawet gdyby była, to i tak nie pani sprawa.

- To prywatna rozmowa. Niech się pani zajmie swoimi sprawami!

- To właśnie robię - odparła Holly. - Plotkują panie o mojej kuzynce. Kobiety wbiły w nią wzrok.

- To Puszczalska Holly! - wykrzyknęła jedna z nich.

Holly przez chwilę była tak oszołomiona, że nie mogła wydobyć słowa. Przyjechała tu zaledwie przed minutą, a już poczuła się jak w czasach szkoły średniej.

Dwie kobiety szły dalej, jakby nie stało się nic niezwykłego. Holly usłyszała, jak jedna z nich mówi:

- Dobrze wygląda. Bardzo elegancko. Może została ekskluzywną prostytutką.

Nie do wiary.

- Holly-Molly!

Holly odwróciła się, słysząc głos Lizzie. Kuzynka z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. Holly postawiła walizkę i mocno uściskała Lizzie.

- Och, Lizzie, jak dobrze cię widzieć - powiedziała, wdychając znajomy różany zapach perfum. Odsunęła się trochę, spojrzała w orzechowe oczy Lizzie i odgarnęła niesforny, jasny lok za jej ucho. Długi kolczyk, taki, jakie zawsze nosiła kuzynka, musnął jej palec.

Gdy pociąg wjechał na dworzec w Troutville, wzrok Holly przykuła blondynka w eleganckim, czarnym kostiumie, z włosami upiętymi w gładki kok. Przez ułamek sekundy Holly zastanawiała się, czy to Lizzie. Dostosowała się do Dunhillów i kręgu ich znajomych? Już po chwili dostrzegła kuzynkę, w krótkiej, powiewnej, kolorowej spódnicy i wielkich kolczykach w kształcie kwiatów. Westchnęła z ulgą. Lizzie pozostała sobą.

A Troutville pozostało Troutville.

- Wspaniale wyglądasz, Holly! - wykrzyknęła Lizzie. - Pięknie ci w tej fryzurze.

Holly co pół roku prostowała swoje kręcone włosy w salonie fryzjerskim. Chociaż bardzo podobały jej się loki Lizzie, własnych nie mogła znieść.

- To niesamowite! Prawie bez makijażu, a taka piękna! - pożaliła się Gayle, przytulając przyjaciółkę. Gayle dorabiała, sprzedając kosmetyki, i uwielbiała sprawdzać je na sobie. - Uściskaj mnie natychmiast!

Holly roześmiała się i objęła ją.

- Naprawdę wspaniale wyglądasz, Holly - powiedziała Flea. - Tak dobrze cię widzieć!

Holly uściskała swoje najlepsze przyjaciółki co najmniej trzy razy.

- Chodźmy do restauracji - zaproponowała Lizzie. - Zjadłabym cheeseburgera z bekonem i frytki z sosem.

Holly znów się roześmiała i westchnęła z ulgą. Jeśli to nadal ulubiony lunch Lizzie, to kuzynka nie zmieniła się ani trochę.

Gdy cztery kobiety szły do pobliskiej restauracji, przechodnie zerkali na nie i rzucali kąśliwe uwagi.

.- Nie zwracaj uwagi, Holly-Molly - szepnęła Lizzie. - Wtedy nie będzie ci przykro.

Dlaczego wszystkie jeszcze mieszkacie w tym mieście?! - chciała krzyknąć Holly. Dlaczego godzicie się na takie traktowanie?

- Nie mogła już włożyć krótszej spódnicy? - usłyszała zrzędlawy głos kobiety.

- Ma na twarzy z pół kilograma makijażu!

- Powinna się podzielić z tą, jak jej tam... Z tą małą w czarnym szaliku. Tej przydałby się makijaż.

- Czy to Holly Morrow? Ładnie wygląda.

- Jak na dziwkę.

Śmiech.

I zmieniły temat. Tak było zawsze. Ludzie zaczęli potem mówić o pogodzie lub o jakimś programie telewizyjnym. Holly zawsze się dziwiła, że można kogoś tak dotkliwie zranić, podle i nie przebijając w słowach,

a chwilę później jak gdyby nigdy nic rozmawiać o odcieniu błękitu na niebie albo o filmie.

Zerknęła na Lizzie. Kuzynka rozmawiała z Gayle i Fleą o sukni, która spodobała jej się w Salonie Mody Ślubnej Bettiny. Czy one tego nie sły-
szały? - zastanawiała się. Nie przyjmują tego do wiadomości? Takie do-
cinki to dla nich codzienność?

- Jesteśmy na miejscu - rzekła Lizzie, otwierając drzwi do Troutville
Cafe, eleganckiej restauracji, której progu nigdy nie przestąpiły jako na-
stolatki. Nie byłyby mile widziane.

Gdy kelnerka zaprowadziła je do małego stolika przy kuchni, mimo że
były wolne dwa czteroosobowe stoliki pod oknami, Holly głośno zaka-
sała.

- Przepraszam, ale wolałybyśmy usiąść tam. - Wskazała ręką.

Kelnerka zerknęła na nią, a potem pogardliwym spojrzeniem obrzuciła
Lizzie.

- Obowiązują pewne zasady co do stroju. Szorty są niedozwolone. A pani
spódnica - popatrzyła gniewnie na mini Lizzie - jest tak krótka, że moż-
na ją uznać za szorty.

- Czy regulamin określa długość spódnicy? - zapytała Holly kelnerkę.

- Nie, ale... - zaczęła kobieta.

- Czy ona ma na sobie szorty? - przerwała jej w pół słowa.

- Nie, ale... - powtórzyła kelnerka.

- Holly. - Lizzie delikatnie dotknęła ramienia kuzynki. - Nie warto.
Chodźmy gdzie indziej.

- Nie - wtrąciła się Flea. - Holly ma rację. Chciałybyśmy usiąść przy
którymś z tych stolików. W regulaminie nie ma mowy o długości spódni-
cy.

Kelnerka wzięła menu z małego stolika i zaprowadziła całą czwórkę do
stolika pod oknem.

- Życzę miłego lunchu - warknęła.

- Dziękujemy - odparła Gayle z promiennym uśmiechem.

Zanim weszły do restauracji, Holly umierała z głodu. Teraz zupełnie
straciła apetyt. Przez sześć minut, które spędziła w Troutville, została
obrażona niezliczoną ilość razy. A Lizzie, Gayle i Flea wytrzymują to
codziennie? Dlaczego?

- Może oddamy frytki do analizy, żeby sprawdzić, czy nie zostały za-
trute? - zapytała ze śmiechem Gayle, gdy usiadły i zaczęły czytać karty.

- W krzesłach na pewno są pineski - dodała Flea.

- Dziewczyny... - Lizzie rzuciła Gayle i Flei ostrzegawcze spojrzenie,
mówiące, żeby się zamknęły.

- Co? - zapytała Holly. Myślała, że Gayle i Flea podkpiwały sobie z kelnerki, ale teraz odniosła wrażenie, że mówią o czymś zupełnie innym.

- Nic - odparła Lizzie, zamykając kartę. - Tylko żartują. Zjem sałatkę z kurczakiem. A ty, Holly?

Holly nie miała wątpliwości: coś było nie tak.

- Co jest zabawnego w zatrutych frytkach i pineskach na krzesłach? - zapytała.

- To nic takiego. Nie ma się czym martwić. Zdarzyło się kilka incydentów. Głupie kawały. Lizzie zbagatelizowała sprawę.

- Incydentów? - powtórzyła Holly. - Lizzie, o czym mówisz?

Lizzie zagryzła wargę i przez chwilę milczała.

- To naprawdę drobiazg, Holly. Nic. Zapomnijmy o tym i zjedźmy lunch. Proponuję zamówić smażoną cebulkę i frytki.

- Gdybym to ja miała za trzy tygodnie wyjść za mąż - powiedziała Gayle, odgarniając za ramię swoje długie, rude włosy - musiałabym w ogóle zrezygnować zjedzenia. Lizzie, jesteś szczęściarą, jesz, co chcesz, i nawet gram ci nie przybywa!

Gdy Lizzie, Gayle i Flea rozmawiały o dietach, gimnastyce, zjeździe absolwentów, a potem o potrawach na wesele, Holly poczuła się tak, jakby nagle wpadła w Strefę Mroku. Jak jej przyjaciółki mogły beztrudno - radośnie! - mówić o kolorach i upominkach dla gości weselnych, gdy nienawidziła ich połowa miasta? Na szczęście właśnie w tym momencie przysłała kelnerka, żeby przyjąć zamówienie.

- Nie chcę naciskać - powiedziała Holly, gdy tylko kelnerka odeszła. - Naprawdę. Ale czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się dzieje w tym przekłętym mieście?

- Przytyłam dwa kilogramy, chociaż... - zaczęła Gayle.

Holly musiała się uśmiechnąć. Gayle miała obsesję na punkcie diet.

- Nie, kotku. Chodzi mi o te kawały. Incydenty.

- Och, to jak zwykle z zazdrości. Możemy albo się nimi przejąć, albo je ignorować. Jeśli nie będziemy zwracać na nie uwagi, temu, kto to robi, na pewno się to znudzi i przestanie. Dlatego nie chce nam się nawet o tym rozmawiać - wyjaśniła Gayle.

- Co przestanie robić? - zapytała Holly. - Co się dokładnie stało?

Milczenie. Holly spojrzała na Lizzie, ale kuzynka zagryzała dolną wargę, odwracając wzrok. Flea patrzyła w serwetkę, leżącą na jej kolanach, a Gayle zawiązała na palcu kosmyk włosów jak zawsze, gdy czuła się nie-swojo.

- Niech mi ktoś powie, co się tu dzieje - nalegała Holly. - Bo inaczej... jeszcze nie wiem, co zrobić, ale coś na pewno.

Gayle spojrzała na Lizzie, która kiwnęła głową.

- W porządku, Hol - zaczęła Gayle. - Ale to ci się nie spodoba. W zeszłym tygodniu ktoś zamknął Fleę na zapleczu jej sklepu, zablokował zamek w drzwiczkach mojego samochodu, wrzucił cuchnącą petardę przez okno sypialni Lizzie i zostawił kilka wstrętnych wiadomości w jej skrzynce na listy.

Holly przeszył zimny dreszcz.

- Jakich wstrętnych wiadomości?

- Och, zapomnijmy o tym - poprosiła Lizzie. - Hol, nie po to przyjechałaś do Troutville pierwszy raz od tylu lat, żeby słuchać o jakichś głupich dowcipach. Zmieńmy temat.

Flea upiła łyk wody.

- Nie sądzę, żeby to naprawdę były głupie dowcipy, Liz. Wydaje mi się, że powinnaś potraktować je poważnie.

- Och, cholera - mruknęła Gayle. - Flea ma rację. Ta sprawa bardzo mnie niepokoi, chociaż nie daję tego po sobie poznać.

- Chyba ktoś próbuje zastraszyć Lizzie i skłonić ją do odwołania ślubu - powiedziała Flea. - W jednym z listów było napisane, że do wesela nigdy nie dojdzie.

- Co?! - krzyknęła przerażona Holly. Kilka osób przy sąsiednich stolikach spojrzało w jej stronę, więc dodała ciszej: - Czyli ktoś ci grozi.

- Nie grozi, tylko dokucza - poprawiła Lizzie. - Jak zwykle tutaj. Nie ma się czym przejmować.

- Mówiłaś o tych incydentach Dylanowi? - zapytała Holly.

Kelnerka przyniosła lunch. Przy stoliku zapadła cisza.

Lizzie zjadła frytkę.

- Tak - odparła po chwili. - Powiedziałam Dylanowi. On też to zbagatelizował. Ktoś po prostu jest bardzo niedojrzały. I tyle.

Flea odłożyła kanapkę z indykiem.

- Wszystko zaczęło się wtedy, gdy ty i Dylan ogłosiliście swoje zaręczyny - zauważyła. - Sądzę, że ktoś jest z tego powodu niezadowolony.

Holly wyobrażała sobie, ile osób te zaręczyny mogły rozżłościć.

- Cóż, ostatnio Dunhillowie odnoszą się do mnie grzeczniej - szepnęła Lizzie. - Bardzo się starają. A kiedy już będą po naszej stronie, całe miasto weźmie z nich przykład.

Wcale tak nie musi być! - chciała krzyknąć Holly.

- Jak tam moja przyszła żona?

Holly odwróciła głowę i zobaczyła Dylana Dunhilla. Wysoki, muskularny, z gęstymi, jasnymi włosami, ciemnoniebieskimi oczami i dołkami w policzkach, wyglądał naprawdę jak gwiazdor filmowy. Przesunął sobie

dotąd krzesło, usiadł przy Lizzie, pocałował ją w policzek, a potem wziął za rękę.

- Holly! - wykrzyknął. - Miło mi cię widzieć! Lizzie, nie powiedziałaś mi, że Holly przyjedzie do domu.

Znów padło to słowo: dom. Chyba nie mogłaby być dalej ód domu.

- Chciałam zrobić wszystkim niespodziankę- wyjaśniła Lizzie. - Poza tym wiesz, jakie to plotkarskie miasteczko. Gdybym zdradziła to chociaż jednej osobie, zaraz dowiedziałoby się całe Troutville, a chciałam mile zaskoczyć Gayle, Fleę i mamę.

- Najbardziej zaskoczony jestem ja - powiedział niski, męski głos za plecami Holly.

Jake Boone!

Holly energicznie się odwróciła. Jake Boone, dziesięć lat starszy i jeszcze przystojniejszy niż kiedyś, wysoki i silny, stał tuż przy niej z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Z zielonych oczu nic nie mogła wyczytać.

Nie, to niemożliwe, pomyślała. Przecież to ten sam mężczyzna, do którego na dworcu tuliła się Pru Dunhill.

Jake Boone i Pru Dunhill? W głowie miała zamęt, poczuła ucisk w żołądku.

- Cześć, Jake - wykrztusiła.

Nie zdziwiłaby się, gdyby odparł: „Kto to jest Jake? Nazywam się tak i tak”. Ale nie, Jake'a Boone'a nie można było z nikim pomylić. Teraz, patrząc na niego z bliska, rozumiała, dlaczego nie rozpoznała go na dworcu kolejowym. Jake, którego znała, chodził w dżinsach i T-shirtach, a gęste włosy opadały mu na oczy. Jedyne garnitur, w jakim go widziała, w noc balu, pochodził ze sklepu z używaną odzieżą, gdzie i ona kupiła sobie suknię. Ten Jake miał na sobie elegancki garnitur i krawat, a jedwabiste włosy były starannie ostrzyżone, na pewno u drogiego fryzjera. Teraz, po dziesięciu latach, wyglądał na bardzo zadbanego.

- Jake jest moim drużbą - oznajmił Dylan, wstając i poklepując go po ramieniu.

Holly ze zdziwienia otworzyła usta, ale szybko je zamknęła. Co? Jake Boone drużbą Dylana Dunhillja? Jake wychował się w tej samej dzielnicy, co Holly, i był traktowany tak samo jak ona, jeśli nie gorzej. W czasach szkoły średniej nie cierpiał paczki Dylana.

W końcu zniechęcił też Holly.

Z wyrazu jego oczu, gdy wymamrotał szybkie pożegnanie i odszedł, jasno wynikało, że to się nie zmieniło.

„Głupie dowcipy”, świadomość, że Jake Boone jest w mieście, oraz widok Lizzie i Dylana, siedzących blisko siebie, objętych i od czasu do czasu całujących się w szyje, sprawiły, że Holly nie mogła zebrać myśli i całkowicie straciła apetyt. W ciągu trzydziestu minut, które spędzili w Troutville Café, Holly przekonała się, że Dylan i Lizzie są w sobie zakochani do szaleństwa. Patrzyli sobie w oczy, bawili się swoimi włosami, opowiadali wesołe historyjki o sobie nawzajem, trącali się nosami i raz po raz wyznawali sobie miłość. Pięć minut temu, przed wyjściem Dylana, uściskali się tak czule, jakby rozstawali się na kilka miesięcy.

- O, rany, Lizzie - powiedziała Holly, gdy wszystkie cztery wyszły z restauracji.

- Och, Holly! - westchnęła Lizzie. - Tak bardzo go kocham!

Holly się uśmiechnęła.

- Widziałam. A on kocha ciebie.

- Mogliście sobie darować te czułości - stwierdziła z szerokim uśmiechem Flea.

- Tak - zgodziła się Gayle. - Bo traficie do *Księgi rekordów Guinnessa* w kategorii „publiczne okazywanie uczuć” oraz „najbardziej zakochana para gołąbków”.

- A to działo się w dzień - dodała Flea, puszczając oczko i żartobliwie szturchając Lizzie łokciem. - Zobaczysz, jak się zachowują, gdy idą gdzieś wieczorem.

- Mówię ci, ludzie krzyczą do nich: „Idźcie do hotelu!” - zażartowała Gayle. - Sama się przekonasz w przyszły weekend, jeśli nie wcześniej.

- W przyszły weekend? - powtórzyła Holly. Nagle przypomniała sobie aż nazbyt dobrze, co ma się odbyć w weekend.

- Zjazd absolwentów.- wyjaśniła Lizzie. - Wszystkie się tam wybieramy. Och, Holly, musisz pójść z nami. Obiecuję, że będzie dobra zabawa.

Dobra zabawa na zjeździe absolwentów szkoły średniej w Troutville? Raczej nie.

- Nie wiem - odparła. - Nie mam ochoty wracać do szkolnych czasów. Zwłaszcza z Jakiem.

- Co do tego się z tobą zgadzam - wtrąciła Flea. - Ale będzie inaczej, niż myślisz. Będziemy się dobrze bawić, uczymy ważne wydarzenia.

- Flea ma rację - zgodziła się Gayle.

- Którą sukienkę włożysz? - zapytała ją Flea. - Tę czerwoną, którą uszyłam ci w zeszłym roku na przyjęcie gwiazdkowe w firmie?

Holly patrzyła to na Gayle, to na Fleę, to na Lizzie, jakby wszystkie oszalały. Po pierwsze, chyba całkowicie zapomnieli o niedawnych „żartach” i incydentach. Po drugie, nie mogli się doczekać zjazdu absolwentów.

Holly nie miała wątpliwości, że dokuczał im dawny znajomy z klasy, ktoś, kto lubił wykrzykiwać przezwiska Ladacznica Lizzie i Puszczańska Holly.

Nic z tego nie rozumiem, pomyślała.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć. Kupiłam nową sukienkę w centrum handlowym - tłumaczyła się Gayle. - Greg już widział mnie w czerwonej, a ponieważ chcę na nim zrobić wrażenie, kupiłam nową. Jest bardzo dopasowana i obszyta złotą lamówką.

- Gayle! - Flea zrobiła groźną minę. - Przecież mówiłam, żebyś po prostu pokazała mi sukienkę, którą chcesz, a uszyję ci taką samą. Po co wydawać pieniądze na coś, co ja mogłabym uszyć za darmo?

- Fleo, jesteś kochana. - Gayle uściśnęła dłoń przyjaciółki. - Bardzo ci dziękuję. Ale ostatnio masz tyle pracy! Wielkie zamówienie na sukienki ze sklepu Clarka, tyle prywatnych klientek... Przyjaciółki powinny cię oszczędzać, a nie prosić o przysługi.

Flea poprawiła szalik.

- Wierz mi, wolę szyć za darmo suknie dla przyjaciółek niż bardzo drogie kreacje dla tych snobek z Górnego Troutville.

- A w co ty się ubierzesz na zjazd? - zapytała ją Lizzie. - W tę cudowną, czarną suknię, którą uszyłaś kilka tygodni temu?

- Nie wiem - odparła Flea. - Jest zbyt pretensjonalna. Chyba włożę coś prostszego.

- Ja pójdę w granatowej, dżersejowej sukni z wielkim dekoltem - oświadczyła Lizzie. - Dylan uwielbia mnie w granacie. A snoby z miasta na pewno będą się rozwodzić nad niestosownością tego stroju.

- Kogo obchodzi, co pomyślą inni! - burknęła Holly.

- Teraz traktujemy to jak zabawę - wyjaśniła Gayle. - Czasami ubieramy się wyzywająco, żeby dać im powód do gadania. Ja w zeszłym tygodniu poszłam do centrum handlowego w kostiumie z pomarańczowego spandeksu, drukowanego we wzór pantery. Żałuj, że nie widziałas min co niektórych.

Holly opadła na krzesło. Przyjaciółki jej zaimponowały. Nie były już zahakanymi nastolatkami, co to płaczą z powodu każdej złośliwej uwagi.

- Przyjdiesz na zjazd absolwentów, prawda, Holly? - zapytała Gayle. - Wiem, że wydaje ci się to idiotyczne, bo przecież w szkole średniej wszyscy nas dręczyli. Tylko że teraz bawimy się razem i nie obchodzi nas nikt inny.

- Tak - potwierdziła Lizzie. - Przyjdzie cała grupa z Dolnego Troutville! Będzie super! Poza tym to świetna okazja, żebyś lepiej poznała Dylana.

Holly z przerażeniem pomyślała o zjeździe absolwentów. Ale dla Lizzie była gotowa tam pójść.

- Zgoda. Może rzeczywiście nie będzie tak źle.

Lizzie zaklaskała w dłonie.

- Świetnie! To już poważny postęp!

Ustały, że następnego ranka spotkają się w Salonie Mody Ślubnej Bettiny, żeby wybrać suknie, potem Gayle i Flea poszły każda do swojej pracy, a Holly ruszyła z Lizzie w stronę jej domu w Dolnym Troutville.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Jake przyjaźni się z Dylaniem? - zapytała Holly.

Lizzie zerknęła na nią.

- Naprawdę nie przypuszczałam, że cię to zainteresuje. Nie rozmawiałam z nim od dziesięciu lat, od tamtego balu. Zgadza się?

Holly skinęła głową, czując ucisk w gardle.

- Hoł, wszystko w porządku? - zapytała Lizzie.

- Po prostu jestem zaskoczona - Holly wykrztusiła wreszcie. - Nie spodziewałam się go zobaczyć. Nigdy bym nie pomyślała, że będzie drużba Dylana Dunhilla. Jak to możliwe?

- Przyjaźnią się od lat - wyjaśniła Lizzie. - Aż trudno uwierzyć, że kiedyś obracali się w całkiem innych kręgach.

Raczej w innych światach, pomyślała Holly.

- Kiedy zaprzyjaźnił się z Dylaniem? - zapytała, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Przyjaciele? Czy to w ogóle możliwe?

- Siedem, może osiem lat temu - odparła Lizzie. - Jake jest bardzo bliski wszystkim Dunhillom. Pomógł im kiedyś, chodziło o jakiś skandal czy coś takiego, i od tamtej pory traktują go jak członka rodziny.

- Skandal? - powtórzyła Holly. - Jaki skandal?

Lizzie pokręciła głową.

- Nie wiem. Pytałam Dylana o początki jego przyjaźni z Jakiem i o to, jak Jake stał się tak bliski Dunhillom, ale powiedział, że wolałby nie rozmawiać o skandalu i że wszystko już minęło. Jake był wtedy policjantem. Chyba któryś z Dunhillów miał kłopoty, a Jake jakoś sprawę wyprostował.

- Był policjantem? - zapytała Holly. - Już nie jest?

Lizzie pokręciła głową.

- Odszedł z policji kilka lat temu i otworzył własną agencję detektywistyczną. Nie narzeka na brak zleceń. Kilka miesięcy temu odnalazł porwaną córkę Cardwellów.

- Prywatny detektyw - zdziwiła się Holly.

- Hol, opowiedziałabym ci o tym i o wielu innych rzeczach - tłumaczyła się Lizzie - ale sama mówiłaś, że nie chcesz słyszeć żadnych wieści z Troutville i że wolisz odgrodzić się od tego miasta i ludzi. Uszanowałam twoje życzenie. Teraz widzę, że jednak interesuje cię los Jake'a Boone'a - dodała, robiąc do niej oko.

- Lizzie, tylko nie zaczynaj mnie swatać. Jake Boone i ja nie jesteśmy już przyjaciółmi.

- Och, Holly, to było tak dawno.

Tak dawno, powtórzyła w myślach Holly.

Idąc z kuzynką przez miasto, Holly zauważyła, że Dolne Troutville wygląda znacznie lepiej niż wtedy, gdy je opuszczała. Zwróciła uwagę na nowe sklepy i przytulną kawiarnię z wyściełanymi kanapami i jaszkrawo pomalowanymi ścianami. Budynki, które za jej czasów były niemal ruinami, odnowiono i pięknie pomalowano. Przydomowe trawniki, kiedyś pożółkłe i zarosłe chwastami, teraz miały kolor soczystej zieleni.

- Dolne Troutville wygląda pięknie - powiedziała zachwycona Holly, patrząc na niewielki dom obok stacji benzynowej, w którym się wychowała. Jej ojciec latami prowadził tę stację. Dom, o który jej rodzice bardzo dbali, teraz był jeszcze ładniejszy, miał większy ganek i drzwi. Na placu obok niewielkiego parku powstało nowe boisko oraz zamknięty teren do wyprowadzania psów. Dzieci bawiły się wesoło, a psy aportowały frisbee i piłki, - Wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Mówiłam ci, że dużo się zmieniło, Hol. - Lizzie uśmiechnęła się do kuzynki. - Jesteśmy na miejscu - dodała, wskazując wesoły, żółty bungalow na końcu drogi.

- Twój dom zawsze mi się podobał - powiedziała Holly.

- Nie widziałaś jeszcze moich zdjęć, które powiesiłam na ścianach. Zrobiłam duży postęp, Holly. Kilka zdjęć mojego autorstwa opublikowano w „Gazecie Troutville”.

- To wspaniale, Lizzie! - ucieszyła się Holly.

- Fotografowanie nie zapewnia mi takiego dochodu, żebym mogła porzucić pracę w pubie - ciągnęła Lizzie - ale przynajmniej zaczęłam zbierać port folio. Może w przyszłym roku...

-Tyle że...

- Co? - zapytała kuzynka. - Myślisz, że skoro wychodzę za Dylana Dunhilla, to już nigdy nie będę pracować?

- Cóż, tak właśnie myślę - przyznała Holly. - Chyba że to też zmieniło się w Troutville. Dunhillowie zbiednieli?

Lizzie się roześmiała.

- Nie, są jeszcze bogatsi niż kiedyś. Ale ja nigdy nie rzucę pracy, Holly. Cieszę się, że jestem barmanką w rodzinnym pubie. Poznałam wiele osób, w tym wydawcę gazety, który uwielbia ten pub. To wcale nie jest bezmyślna robota, jak uważają niektórzy. Lubię pracować wśród ludzi. Poza tym cieszy mnie, że pomagam mamie i zawsze mogę jeść jej smakołyki domowej roboty.

- Dylanowi nie przeszkadza, że pracujesz jako barmanka?

- Dylanowi nie przeszkadza nic, co wiąże się ze mną, Holly - powiedziała Lizzie.

Holly zerknęła na kuzynkę i zobaczyła, jak poważną ma minę.

- Powiedz mi wreszcie, jak zaczął się twój związek z Dylanem. Mów wszystko!

Przysiadły na ławeczce w parku, naprzeciwko huštawek. Kiedy Lizzie zaczęła opowiadać, Holly przypomniały się dawne czasy, gdy w tym samym miejscu godzinami rozmawiały o swoich młodzieńczych miłościach.

- Przyszedł z Jakiem do pubu, jakiś rok temu, żeby obejrzeć mecz Jankeśów - mówiła Lizzie. - Zamówili skrzydełka i dzbanek piwa. Zamiast oglądać mecz, Dylan wciąż o coś mnie prosił: o kolejną serwetkę czy dodatkowy talerz. Z początku sądziłam, że chce mi dokuczyć, rozstawiając mnie po kątach, i chwali się pieniędzmi. Ale on wciąż miło mnie zagadywał, zadawał pytania, prawił komplementy.

- Pamiętał cię ze szkoły? - zapytała Holly.

- Tak. Mówił, że zawsze mu się podobałam, bo jestem z natury pogodna, ale miał dziewczynę, właściwą, oczywiście w cudzysłowie. Wtedy był pod tak silnym wpływem ojca, że nie zrobiłby nic wbrew jego woli. Kilka lat temu w jego rodzinie stało się coś strasznego, wciąż nie wiem co, i Dylan powiedział, że to go odmieniło. Uwolnił się od swojego narzuconego wizerunku i stał się sobą, człowiekiem, jakim chciał być. Zaczął pracować jako wolontariusz, co doprowadzało jego matkę do szału, wyprowadził się z Dunhill Mansion, a kilka miesięcy temu zaczął spotykać się ze mną.

Holly powoli przyjmowała to wszystko do wiadomości.

- Jaki więc jest? - zapytała, a oczy Lizzie rozblęły.

- Och, Holly, to mężczyzna, o jakim zawsze marzyłam. Romantyczny. Dobry. Kochany. Dzwoni do mnie pięć razy dziennie tylko po to, żeby usłyszeć mój głos. Przynosi mi prezenty, polne kwiaty, które sam zrywa, lub piękne albumy. Przy nim czuję się jak najbardziej wyjątkowa osoba na świecie.

- Lizzie, bardzo się cieszę z twojego szczęścia! - Holly powiedziała to szczerze, z głębi serca. - Zasłużyłaś na nie.

Lizzie uściśnęła kuzynkę.

- W zeszłym miesiącu poprosił mnie o rękę i postanowiliśmy pobrać się jak najszybciej. Po kilku dniach już mieliśmy wydrukowane zaproszenia. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa.

- To dla mnie zaszczyt, że będę twoją pierwszą druhną, Lizzie. W sumie będzie nas trzy?

- Cóż, miały być cztery - powiedziała Lizzie, marszcząc brwi - ale...

- Ale? - zapytała Holly.

Lizzie wbiła wzrok w ziemię, nic nie mówiąc.

- Lizzie?

- Chciałam, żeby siostra Dylana była moją druhną. Pru się nie zgodziła. Poprosiłam ją osobiście. Powiedziałam, że byłabym zaszczycona, gdyby zechciała zostać moją druhną, a ona... - Lizzie odetchnęła głęboko.

Holly nie naciskała, widząc, jak kuzynka to przeżywa.

- Pru przez chwilę tylko na mnie patrzyła, a potem się roześmiała. Śmiała mi się w twarz. „Nie mówisz poważnie - powiedziała. - Nie możesz mówić poważnie”. I odeszła.

- A to świnią! - oburzyła się Holly.

-Holly...

- Jak mogła! Powiedziałaś Dylanowi?

- Oględnie - wyznała Lizzie - ale zrozumiał, o co chodziło. Zdenerwował się i powiedział, że z nią poważnie porozmawia. Przekonywała go, że nic się nie stało i wcale nie muszę się z nią przyjaźnić, ale on oświadczył, że Pru i ja będziemy rodziną, więc jego siostra powinna zacząć okazywać mi szacunek.

- Zaczęła? - zapytała Holly.

- Jeśli wredne spojrzenia i aluzje można uznać za oznakę szacunku... - Lizzie się zaśmiała. Chyba nic nie mogło popsuć jej nastroju.

Holly potrząsnęła głową.

- Niepotrzebna ci Pru Dunhill. Twoimi druhnami będą trzy najlepsze przyjaciółki.

Lizzie ją uściskała.

- Chodźmy. Koniecznie muszę ci pokazać dom!

Podskakując, dobiegły do końca alejki, tak jak to robiły jako dzieci i nastolatki, a potem przeszły na drugą stronę ulicy i poszły Piper Lane do domu Lizzie.

Otwierając drzwi, Lizzie szeroko się uśmiechnęła.

- Kochany Dylan! Zrobił ścieżkę z płatków róż.

Holly weszła za kuzynką do przytulnego domu. Rzeczywiście, ścieżka z płatków prowadziła do drzwi w końcu przedpokoju. Holly bardzo się cieszyła ze szczęścia Lizzie.

- Twój facet jest naprawdę romantyczny. - Rozejrzała się po bungalowie. - Masz taki ciepły, cudowny dom. Bardzo mi się podoba, jak go urządziłaś. - Ulubiony kolor Lizzie, jaskrawy fiolet, był wszędzie: na poduszkach, dywanikach, a nawet na ścianach.

- Dzięki - powiedziała Lizzie, podnosząc do nosa płatek róży. - Ach, mogłabym je wachać cały dzień. - Wskazała koniec ścieżki z płatków. - Tam jest moja sypialnia - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - Dylan na pewno zarzucił całe łóżko różami. Och, Holly, on jest taki cudowny!

Lizzie pobiegła korytarzem i otworzyła drzwi. Na łóżku nie było róż, tylko kupka ziemi, a na niej kartka z napisem:

Jesteś śmieciem.

Lizzie krzyknęła i opadła na kolana. Holly znalazła się przy niej w mgnieniu oka.

- Chodź - powiedziała łagodnie. - Wyjdźmy stąd.

Lizzie pozwoliła się wyprowadzić do salonu. Osunęła się na kanapę.

- Nie zniósę tego! - Ukryła twarz w dłoniach. - Kto mi to robi?

- Nie wiem - powiedziała Holly. - Ale na pewno ktoś bardzo zazdrośny. I bardzo niedojrzały.

Lizzie kiwnęła głową.

- Może powinnam odwołać ślub. Kto wie, do czego jest zdolna ta osoba? Zadaje sobie dużo trudu, żeby uprzykrzyć mi życie.

- Czyli jednak się martwisz - zauważyła Holly. - W restauracji nie sądziłam, że bierzesz te sprawy poważnie.

Lizzie odetchnęła głęboko.

- Naprawdę chciałam wierzyć, że to był zbieg okoliczności. Seria głupich dowcipów. Nic wielkiego. Ale dłużej nie mogę udawać. Ten człowiek wszedł do mojego domu. Nie wystarcza mu wkładanie listów do skrzynki, wtargnął do mojej sypialni. To już nie zabawa. Nie chcę, żeby coś złego stało się moim przyjaciołom lub rodzinie. Odwołam ślub.

- Mowy nie ma! - zaprotestowała Holly, zadziwiona własną stanowczością. - Masz prawo wyjść za mężczyznę, którego kochasz, i nikt ci tego nie zabroni! Żaden zazdrośny wariat! Nie pozwolimy mu wygrać. Nie będzie miał satysfakcji jak ci, którzy w szkole obrzucali nas wyzwiskami.

Do oczu Lizzie napłynęły łzy.

- Jestem nikim i to się nigdy nie zmieni.

- Lizzie Morrow - skarciła ją łagodnie Holly. - Nie jesteś nikim. Ludzie odnosili się do nas źle, a my byłyśmy zbyt młode, niepewne siebie i zagubione, żeby sobie z tym poradzić. Ale już wtedy znałyśmy własną wartość i to się nie zmieniło. Jesteś piękną, inteligentną, cudowną kobietą, Lizzie. A ten, który próbuje cię zastraszyć, jest zerem.

Lizzie głęboko odetchnęła.

- Wszystko to mnie przytłacza, Hol. Odkąd Dylan i ja ogłosiliśmy nasze zaręczyny, otacza mnie nienawiść. Od gniewnych spojrzeń i okropnych komentarzy na ulicy po listy z wyzwiskami.

- Och, Lizzie, kiedy rozmawiałyśmy przez telefon, myślałam, że wszystko jest w porządku. Dlaczego mi nie powiedziałaś, co się dzieje? Mogłam pomóc.

- Jak? - Po jej policzkach płynęły łzy. - Tak daleko mieszkasz! Odciełaś się od Troutville.

- Ale nie od ciebie, Liz - zapewniła ją Holly. - Kocham cię. Należysz do mojej rodziny. W naszych żyłach płynie ta sama krew. Jesteś też moją najlepszą przyjaciółką. To, gdzie mieszkam, nie ma żadnego znaczenia.

Lizzie z trudem łąpała powietrze. Holly przytuliła ją i przysięgła sobie, że dowie się, kto próbuje skrzywdzić jej kuzynkę.

Rozdział 4

Hej, Jake, ilu trzeba prywatnych detektywów, żeby wydedukować, że Holly Morrow przyjedzie do domu na ślub kuzynki - chociaż ten ślub odbędzie się w Troutville, gdzie przysięgła już nigdy nie wracać?

Łubudu! Gdyby Jake chciał myśleć o Holly, przywołać obraz jej twarzy i ciała, a także wspomnienia o niej, to może domyśliłby się, że ona przyjedzie. Ale spotkanie w Troutville Cafe, zaledwie przed kilkoma godzinami, było dla niego kompletnym szokiem. Gdy wszedł za Dylanem do restauracji i uświadomił sobie, że elegancka brunetka, siedząca tyłem do niego, to Holly Morrow, poczuł się tak, jakby otrzymał silny cios w brzuch. Przez chwilę nie potrafił zebrać myśli, sklecić słowa, zdania. Reszką woli przybrał obojętny wyraz twarzy. Myślał o Holly w czasie ostatnich dziesięciu lat, bo jego serce wielokrotnie wygrało walkę z rozumem, ale nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś ją zobaczy, a zwłaszcza w Troutville. Wiedział, że Lizzie i jej przyjaciółki odwiedzają Holly w Hoboken, gdzie przeniosła się po ukończeniu szkoły średniej i została nauczycielką. Przez pierwsze lata, gdy rany były jeszcze świeże, gdy płonęła w nim miłość do niej, przesiadywał w pubie Morrow's i, jedząc kolejne dania, słuchał rozmów Lizzie z matką - chociaż udawał, że pochłania go mecz transmitowany w telewizji.

Przysłuchiwał się jednak bardzo uważnie. Czasami zastanawiał się, czy Lizzie podawała tyle szczegółów ze względu na niego, bo wiedziała, co czuł do Holly. Nie był tego pewien. Najprawdopodobniej dużo mówiła o kuzynce, bo kochała ją i bardzo za nią tęskniła.

Słuchał, jak Lizzie i jej matka - a czasami także Felicia i Gayle, jeśli akurat wpadły na lunch - mówiły, jakie ładne jest mieszkanie Holly i gdzie się znajduje (jakby kiedykolwiek miał ją odwiedzić). Opowiadały, że ślicznie wygląda, że nie ma chłopaka, że skończyła studia i została nauczycielką, spełniając swoje marzenie. Rozmawiały też o tym, że piecze pyszne torty i zastanawia się, czy oprócz pracy w szkole nie zająć się pieczeniem ciast dla restauracji albo na przyjęcia.

Gdy rozmawiały o Holly, czuł się tak, jakby też ją odwiedzał. Wychodził z pubu zadowolony, a nie zdenerwowany. Tłumaczył to sobie tym, że bardzo ją kochał, i niezależnie od tego, jak w końcu go potraktowała, jej szczęście było dla niej ważne.

Holly Morrow we własnej osobie. W rodzinnym Troutville. Jake potrząsnął głową. Gdyby sam jej nie widział, nie uwierzyłby, że przyjechała. Był naprawdę zaskoczony.

Natomiast wcale go nie zaskoczyło, że pięknie wygląda. Już jako nastolatka była bardzo ładna: drobnej budowy, z kręconymi, jasnobrązowymi włosami, które próbowała ujarzmić, wiążąc je w koński ogon, i urzekającymi, ciemnoniebieskimi oczami. Teraz, jako kobieta, wyglądała wprost oszołamiająco. Szczerze mówiąc, wołał dzikie, niesforne loki od prostej, gładkiej fryzury, jaką teraz nosiła, ale mimo to była cudowna.

Oparł się na krzesło, nie zwracając uwagi na akta sprawy na biurku i dwie nowe wiadomości od Pru Dunhill „na temat zjazdu absolwentów”. Wyrzwał przez okno swojego gabinetu na trzecim piętrze.

To chyba dobrze, że przyjechała do miasta, pomyślał. Może wreszcie przestane ją kochać. Zobaczę, że jest zwykłą kobietą, kolejną snobką. Nie wyśnioną boginią, którą była przez pierwszych osiemnaście lat mojego życia.

Zapisał interkom.

- Jake, przyszła pani Holly Morrow - usłyszał głos sekretarki.

Wyprostował się i odruchowo wygładził krawat i włosy, jakby był nastolatkiem, który za chwilę spotka się z uwielbianą dziewczyną, a nie z kobietą, która złamała mu serce. Odchylił się na krzesło, przyjmując bardziej swobodną pozycję, i przypomniał sobie, co powiedziała tamtego straszliwego wieczoru przed dziesięciu laty. Wiedział, że jeśli nie przygotuje się psychicznie na jej widok, wpadnie jak śliwka w kompot.

Interkom zapisał jeszcze raz.

- Jake? Mam poprosić, żeby zaczekała?
- Tak, Sally - odpowiedział. - Tylko chwilę. Kończą papierkową robotą. Holly Morrow przysłała się z nim zobaczyć.

A to niespodzianka, pomyślał. Zaskoczyła go dwa razy jednego dnia. Nie sądził, że do niego przyjdzie.

- Sally, wprowadź panną Morrow, proszę - powiedział i odetchnął głęboko.

Lekki kwiatowy zapach perfum, których Holly używała od piętnastego roku życia, zapowiedział jej wejście. Jake wciągnął aromat w nozdrza i przez chwilę poczuł się tamtym piętnastolatkiem. Szesnastolatkiem. Siedemnastolatkiem. Chłopakiem zakochanym do szaleństwa. W dziewczynie, która nie interesowała się takimi jak on. Nie rozumiał, dlaczego Holly nim gardziła.

Drnął, gdy weszła do gabinetu. Stonowany, beżowy żakiet i pasujące do niego spodnie nie kryły krągłości jej sylwetki. Jake'owi przyszło do głowy słowo „gustowna”. Holly właśnie tak chciała wyglądać. Gustownie. Rodziny nie było stać na eleganckie stroje dla niej - nie mówiąc o nowych - więc dziewczyna zarabiała jako opiekunka do dzieci i kupowała sobie ubrania na wyprzedażach i w sklepach z używaną odzieżą. Ubierała się najlepiej, jak tylko mogła.

Gdy usiadła w fotelu dla gości, naprzeciwko jego biurka, i rozglądała się po gabinecie, byle nie spojrzeć na niego, on przyjrzał jej się uważnie. Wciąż żyje przeszłością, podpowiedział mu instynkt detektywa. Zachowywała się z rezerwą, była bardzo starannie ubrana, wyglądała „właściwie”. Próbowwała panować nad sobą bardziej niż kiedyś.

Ale przecież kiedyś była cudowna. Przynajmniej Jake'owi tak się wydawało, dopóki nie zrozumiał swojego błędu.

- Słyszałam od Lizzie, że jesteś prywatnym detektywem - powiedziała. - Przysłałam tu, bo chciałam dać ci zlecenie.

Kiwnął głową.

- Przypuszczam, że chodzi o Lizzie i to, co ostatnio spotyka ją i jej przyjaciółki.

Otworzyła szerzej oczy.

- Wiesz o tym?

- Badam tę sprawę, odkąd Dylan powiedział mi o pierwszych anonimowych liścikach w skrzynce Lizzie - wyjaśnił Jake.

- Dowiedziałeś się czegoś?

Pokręcił głową.

- Nie udało mi się stwierdzić, czy te „dowcipy” miały związek z listami, czy też był to zbieg okoliczności. Wiesz, że ktoś zamknął Felicię na

zapleczu jej sklepu, wrzucił cuchnącą petardę przez okno sypialni Lizzie i zablokował drzwi samochodu Gayle. Nie zdołałem ustalić, czy te incydenty były powiązane z listami z pogrózkami, które dostała Lizzie.

- Były dwa takie listy, zgadza się? - zapytała.

- Tak. Napisane na komputerze i wydrukowane. Nie da się określić, kto to zrobił.

- Ale czy ty uważasz, że incydenty i listy mają ze sobą jakiś związek? - zapytała. - Sądziś, że to robota jednej osoby?

- Instykt podpowiada mi, że tak - odparł Jake. - Chodzi o czas. Pierwszy incydent zdarzył się w dniu, gdy podrzucono pierwszy list. Gdy Flea została zamknięta w sklepie, w skrzynce na listy Lizzie znalazła się wiadomość: *Ladacznicza Lizzie nigdy nie wyjdzie za Dylana*. Oczywiście mógł to być zbieg okoliczności: ktoś wykręcił podły numer Felicii, a ktoś inny chciał dopiec Lizzie. Ale jedno i drugie stało się w dniu, gdy zaproszenia na ślub dotarły do adresatów. Następnego dnia ktoś zablokował drzwi samochodu Gayle. Trzeciego dnia podrzucono cuchnącą petardę i drugi list.

- Gayle i Flea będą druhami na ślubie Lizzie - powiedziała Holly. - Myślisz, że ktoś próbuje je zastraszyć właśnie z tego powodu?

- Tak. Osoba, która chce przeszkodzić w zawarciu tego małżeństwa, wie, że Lizzie bardziej troszczy się o bezpieczeństwo przyjaciół niż o swoje. Dlatego też muszę cię ostrzec. Bądź bardzo ostrożna podczas pobytu w mieście. Ty też będziesz na ślubie.

- Będę pierwszą drużną.

- Nigdy nie zostawaj sama - poradził Jake.

- Słyszałam, że ty będziesz pierwszym drużbą. - Powiedziała to z niedowierzaniem.

Kiedyś myślałem, że jestem pierwszym mężczyzną w twoim życiu, pomyślał ni stąd, ni zowąd. Weź się w garść, Boone!

- Zgadza się. - Po chwili dodał: - Dylanowi i jego drużbom oszczędzono tych niedojrzałych żartów.

Wpatrywała się w niego.

- Czyli sprawca krzywdzi tylko Lizzie i jej przyjaciółki, drużny. Mamy wskazówkę. Osoba, która to wszystko robi, nie lubi Lizzie, ale nie ma nic przeciwko Dylanowi i jego kumplom.

- Zastanawiałem się nad tym. Od rozesłania zaproszeń minął dopiero tydzień, ale w tym czasie nikt nie starał się dopiec Dylanowi, mnie ani dwóm pozostałym drużbom, którzy mieszkają w innym stanie. To jego przyjaciele ze studiów.

- Dziwne, że jego drużbami nie będą liczni przyjaciele ze szkoły średniej - zauważyła Holly lodowatym tonem.

- Prawda jest taka - odparł Jake - że w szkole średniej Dylan z nikim się nie przyjaźnił. Był bardzo lubiany, miał mnóstwo znajomych i każdy chciał być z nim blisko, ale on zawsze utrzymywał dystans.

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież grupy koleżeńskie tworzą osoby, które się lubią.

- Nie zawsze - powiedział Jake.

Zerknęła na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi, ale się nie dopytywała. Jake wiedział, że myliła się co do Dylana. Uważała go za zadzierającego nosa, bogatego dzieciaka, otoczonego grupą bezczelnych kumpli, którym wszystko uchodziło na sucho. W rzeczywistości Dylan był inteligentny i wrażliwy, lecz za długo pozostawał pod wpływem ojca. Bojąc się jego gniewu, robił to, czego on od niego oczekiwał: był kapitanem drużyny futbolowej, spotykał się z odpowiednimi dziewczynami, został przyjęty przez wszystkie elitarne uczelnie, do których wysłał zgłoszenia, a po ukończeniu studiów wrócił do domu, żeby kiedyś przejąć rodzinne imperium. Dylan prawdopodobnie i tak zbuntowałby się z biegiem czasu, ale pewne wydarzenie przyspieszyło to. Poznał prawdę o swoim ojcu i od tamtej pory stał się sobą. Na pewno wyjechałby z Troutville, gdyby nie Ośrodek dla Chłopców, gdzie on i Jake pracowali jako wolontariusze.

- Cóż, chyba nie będzie łatwo ustalić, kto stoi za tymi „incydentami” i listami - stwierdziła Holly. - Wielu ludzi w tym okropnym mieście wołałoby, żeby Lizzie raczej cierpiała, niż poszła do ołtarza z Dylanem.

- Okropnym mieście? - powtórzył Jake. Miał więc rację. Wciąż żyła przeszłością.

- Wiesz, o co mi chodzi, Jake.

Przyglądał się jej uważnie.

- Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz byłaś w Troutville.

- Kiedy tylko przyjechałam, nazwano mnie Puszczalską Holly. Pięć minut później moją kuzynkę obrażono w restauracji.

Skrzywił się.

- Rozumiem twoją złość. Wiem, że ludzie wciąż bez powodu obrażają Lizzie i jej przyjaciółki, Ale dziewczyny już się tym nie przejmują. Zachowują dystans.

Jej niebieskie oczy złowieszczo zaśniły.

- Przepraszam? - zapytała z niedowierzaniem. - Chcesz powiedzieć, że już w szkole powinniśmy nabrać dystansu, żeby zmienić sposób, w jaki nas traktowano?

- Nie - odparł. - Tylko wyrobić sobie własną reakcję na zaczepki.

Holly pokręciła głową.

- Bardzo rozsądne podejście, Jake. I bardzo trudne do zrealizowania, gdy ma się trzynaście lat.

- Nie mówię o czasach szkolnych, lecz o teraźniejszości. Gdyby ktoś nazwał cię Pu... - urwał. - Czy gdyby ktoś cię przezwał, to by bolało? Czy raczej pomyślałabyś, że jakiś niedojrzały dupek nie ma nic lepszego do roboty?

- To drugie - odpowiedziała.

- O to właśnie mi chodzi.

Jej oczy znów załśniły.

- A mnie chodzi o to, że godzinę temu poszliśmy z Lizzie do jej domu. Na łóżku była kupka ziemi i kartka z napisem: *Jesteś śmieciem*. Jak, twoim zdaniem, powinna zareagować Lizzie?

Westchnął głęboko i pokręcił głową.

- Cholera. Jak ona się czuje?

- Tak jak można się spodziewać - odparła Holly z troską. - Jest bardzo zdenerwowana. Przeżona. Uspokajałam ją pół godziny.

Jake uderzył pięścią w blat biurka.

- Dowiem się, kto to wszystko robi! Możesz być pewna.

Wyraźnie jej ulżyło.

- Czyli oficjalnie pracujesz nad sprawą?

- Tak. Oficjalnie.

Kiwnęła głową.

- Kogo podejrzewasz?

- Nie jesteś moją klientką, Holly.

- Słucham? - zapytała, wpatrując się w niego.

- Nie jesteś moją klientką. Sam prowadzę sprawę i nie będę o niej z nikim rozmawiał.

- Dobrze. W takim razie porozmawiajmy o moich przemyśleniach. - Holly patrzyła na niego gniewnym wzrokiem. - Lizzie powiedziała, że Pru Dunhill nie chce być jej druzną. Pru zachowała się wyjątkowo podle. Przypuszczam, że jest numerem jeden na twojej liście podejrzanych.

Jake oparł się wygodnie,

- Nie jest.

- Bo to twoja dziewczyna? - zapytała Holly.

Jake omal nie zakrztusił się kawą.

- Teraz ty słuchasz plotek?

- Widziałam was w namiętym uścisku dziś rano na dworcu kolejowym - wyjaśniła obojętnie.

- Mylisz się - odparł Jake. - Co do obu spraw. Pru nie jest moją dziewczyną ani nie było żadnego namiętnego uścisku, jak to ujęłaś.

- Dlaczego więc nie jest pierwszym numerem na liście podejrzanych?
- Bo pierwszy jest ktoś inny.
- Kto?
- Powtarzam, nie jesteś moją klientką. Sam prowadzę śledztwo. Z nikim nie będę się dzielił informacjami.
- Tu chodzi o moją kuzynkę! - warknęła Holly.
- Cóż. Zapewniam cię, że pracuję nad tą sprawą - odpowiedział spokojnie.
- Dobrze. Przypuszczam, że na liście podejrzanych są inni Dunhillowie. Rodzice Dylana?
- Myślisz, że nie są zadowoleni ze zbliżającego się ślubu?
- A są? - zapytała Holly.
- O tym porozmawiaj ze swoją kuzynką. Ale Lizzie i Dylan chyba nie będą mieli mi za złe, jeśli ci powiem, że ojciec Dylana zmarł kilka lat temu. - Jake'a zalała fala wspomnień. Tamta noc zapoczątkowała łańcuch zdarzeń, które zmieniły jego spojrzenie na wielu ludzi. Odmieniły jego życie.
- Och. Nie wiedziałam.
- Nie wiesz o wielu sprawach, Holly. Jak już mówiłem, długo nie było cię w Troutville.
- Splotła ręce na piersi.
- Jak ci już mówiłam, po minucie przekonałam się, że nic się tu nie zmieniło. Ludzie traktują mnie i moje przyjaciółki równie podle jak zawsze. Komentują nasz wygląd, związek Dylana z Lizzie... - Urwała i zagryzła wargę.
- O co chodzi? - zapytał Jake.
- Gdy rano wysiadłam z pociągu, dwie kobiety na peronie mówiły, że Lizzie na pewno zmusiła Dylana do małżeństwa szantażem. Lista podejrzanych będzie bardzo długa. Nawet nie znam tych kobiet. A ponieważ w mieście jest teraz pełno ludzi z powodu zjazdu absolwentów... - Oparła się na krzesło... - To sprawcą może być dosłownie każdy.
- Tak, ale incydenty zaczęły się przed tym weekendem - zauważył Jake.
- Prawdopodobnie robi to ktoś stąd.
- Holly drgnęła.
- Wiem, kto jeszcze chciałby zaszkodzić Lizzie. Arianna Miller. Lizzie mówi, że Arianna od dawna kocha Dylana. Zaczęło się to jeszcze w szkole, zanim zostali królem i królową balu.
- Jake cofnął się myślami o dziesięć lat, do tamtego wieczoru, gdy Dylan Dunhill i Arianna Miller, którzy od dawna byli parą i najpopularniejszymi osobami w szkole, zostali oficjalnie koronowani podczas balu. Jake zapro-

sił Holly. Przyszli na bal jako przyjaciele i Jake właśnie miał wyznać jej miłość, gdy usłyszał, jak mówiła Felicii, co naprawdę do niego czuje.

Nic nie sprawiło mu takiego bólu, jak słowa Holly tamtej nocy. Nigdy dotychczas nie czuł się tak zdruzgotany.

Jake kochał Holly od pierwszej klasy szkoły podstawowej, gdy jego rodzina zamieszkała w pobliżu domu Morrowów. Po beztrudnie z czasów dzieciństwa ustąpiła miejsca nadwrażliwość wieku dojrzewania. Holly zdała sobie sprawę, jak mieszkańcy Dolnego Troutville, w tym ona, są postrzegani przez innych, i bardzo się tym przejmowała. Może bardziej niż ktokolwiek inny.

- Co nas od nich odróżnia? - pytała raz po raz. — To, że oni mają pieniądze, a my nie? Ładne ubrania i wielkie domy?

Holly nie chciała być taka jak mieszkańcy Górnego Troutville. Jake wiedział, że ona ma poczucie własnej wartości, choć nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. Była dumna ze swojej rodziny i przyjaciół. Ale Jake zawsze czuł, że nie ma u niej szans, bo zawsze marzyła o innym życiu, podobnym do życia mieszkańców Górnego Troutville. Dobrze ją wtedy rozumiał.

Tylko raz, po tamtym balu, zastanawiał się, czy jej zła reputacja była zasłużona. Czy oddawała się chłopakom z Górnego Troutville, by zyskać ich sympatię, z nadzieją, że któryś się w niej zakocha i zabierze ją do swojego świata? Natychmiast skarcił się za takie podejrzenia. Po prostu czuł się dotkliwie zraniony i chciał jej dokuczyć choćby w myślach.

Tylko raz, gdy mieli piętnaście lat, Holly powiedziała mu, że w tych pogłoskach nie ma ani krzty prawdy, że nigdy nie spała z żadnym z tych chłopaków, a opinia ludzi o niej jest całkowicie nieuzasadniona. Uwierzył jej. Nigdy nie musiała mu tego powtarzać. Wiedział, że plotki, opowiadane w całej szkole, oraz napisy w łazienkach dla chłopców to zwykłe kłamstwa. Na temat Holly, Gayle, Lizzie i Felicii, a także kilku innych dziewcząt z Dolnego Troutville. Gdy miał szesnaście, siedemnaście lat i był bardzo zakochany w Holly, chciał jej wyznać miłość, ale bał się. Wiedział, że ona marzy o kimś lepszym niż chłopak z Dolnego Troutville, chociaż nigdy mu tego nie powiedziała. Nie chciał odbierać jej marzeń. Zaslugiwała na kogoś lepszego niż on. Kochał ją więc skrycie. Jednak w dniu balu, ponieważ miała wyjechać za dwa dni — po odebraniu dyplomu ukończenia szkoły - nie mógł już opanować własnych uczuć. Zamierzał zapytać, czy może z nią wyjechać, ale usłyszał, jak mówiła Felicii, że go nie chce,

On sam zresztą uważał, że nie jest dla niej dość dobry, Ale gdy usłyszał, jak Holly głośno to potwierdziła, załamał się.

- Ja miałabym wyjść za Jake'a Boone'a? - zapytała wtedy Holly, oparta o niski, kamienny murek na szkolnym boisku. - Nie bądź głupia, Fleo! On uosabia wszystko, od czego uciekam. To ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła!

- Zapewniam więc, że nigdy ci się nie oświadczę, Holly - powiedział beznamiętnie.

Holly i Felicia odwróciły się przerażone. Holly otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale on tylko postawił szklaneczki z ponczem i odszedł w noc.

- Jake, zaczekaj! - krzyczała Holly. - Zatrzymaj się, proszę!

Ale on się nie zatrzymał. I już nigdy więcej jej nie zobaczył.

„On uosabia wszystko, od czego uciekam. To ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła!”

- Jake? - Holly wyrwała go z rozmyślań. - Słyszysz mnie? Wyglądasz, jakbyś był milion kilometrów stąd.

- Nie milion. Nawet nie kilometr - odparł ze smutnym uśmiechem.

Patrzyła na niego, a on zastanawiał się, czy uznała jego słowa za aluzję do tamtego balu.

- Arianna Miller ma wiele wad - wrócił do tematu rozmowy - ale nigdy nie działa po kryjomu. Mówi wprost, że chce Dylana dla siebie. Wydaje mi się, że walczyłyby o niego całkiem jawnie. Nie próbowałyby podstępem skrzywdzić Lizzie ani doprowadzić do zerwania zaręczyn. Z Pru jest podobnie.

Przeglądała mu się przez chwilę, a potem zarzuciła torebkę na ramię.

- Słuchaj, Jake, nie wiem, co cię wiąże z Pru Dunhill ani z całą tą rodziną. Lizzie powiedziała, że bardzo się z nimi zżyłeś. Może więc powinnam pracować z kimś bardziej bezstronnym.

- Nie wiedziałem, że razem pracujemy, Holly - odparł chłodno.

- Jake, ja naprawdę bardzo się martwię. Nie wiem, co robić. Może powinnam po prostu zawiadomić policję.

- Strata czasu! Rozmawiałem już z nimi o tej sprawie. Odpowiada im, że prowadzę śledztwo za nich.

- Dobrze - oświadczyła. - W takim razie będę szukać na własną rękę.

Usiadł prosto i spojrzął jej w oczy.

- Holly, te incydenty i listy bardzo mnie niepokoją. Zaręczyny naprawdę kogoś zdenerwowały. Nie chcę, żebyś zajmowała się tym sama.

- Ale przed chwilą powiedziałeś, że nie będziesz ze mną pracować. Zresztą nie wydaje mi się, żebyśmy tworzyli dobry zespół.

- Co do tego się zgadzamy. Dlatego zostaw tę sprawę mnie.

Miała taką minę, jakby chciała zaprotestować, ale po chwili się rozmyśliła.

- Dziękuję, że poświęciłeś mi czas.

Wstała i wyszła, zostawiając delikatny zapach perfum i zbyt wiele wspomnień.

- Holly Morrow, natychmiast przestań się przejmować tą kupką ziemi - skarciła kuzynkę Lizzie, wchodząc z nią do pubu Morrow's. - To stało się trzy godziny temu, a ja zdążyłam już zapomnieć.

- Ale... - zaczęła Holly. Dręczyła ją myśl o tej kupce ziemi, listach i wszystkim innym, o czym opowiedziała jej Lizzie. Nie mogła też przestać myśleć o Jake'u Boonie. Od godziny starała się skoncentrować na Lizzie, ale jego twarz wciąż stawała jej przed oczami.

- Ale nic, Hol - ucięła Lizzie, ujmując podbródek kuzynki. Czcze rozmyślania nic tu nie pomogą. Nie chcę cierpieć i denerwować się właśnie teraz, gdy nigdy nie czułam tak szczęśliwa!

Holly uściśnęła dłoń Lizzie. Zawsze imponował jej optymizm kuzynki. Mogłabym się od niej dużo nauczyć, pomyślała.

- Jak najszybciej zapomnij o tej sprawie. Jestem pewna, że ci się uda, gdy tylko skosztujesz słynnego makaronu z serem roboty mojej mamy. Będą się liczyć tylko twoje kubki smakowe!

- Ona nie żartuje - powiedział znajomy, kobiecy głos.

Holly odwróciła się i zobaczyła ciocię Louise, uśmiechając się do niej, niosła tacę z dwoma wielkimi talerzami makaronu i dwiema wysokimi szklankami z lemoniadą.

- Lizzie, kotku, weź to ode mnie, żebym mogła uściskać moją ukochaną siostrzenicę.

Lizzie postawiła tacę na stoliku obok wielkiego okna, a Holly padła w objęcia cioci. Louise Morrow pachniała pysznym jedzeniem i swoimi ulubionymi perfumami white shoulders. Miała pięćdziesiąt pięć lat, krótkie, siwiejące blond włosy i chrypkę palaczki. Mocno przytuliła Holly.

- Ślicznie wyglądasz - powiedziała, odgarniając pasmo brązowych włosów siostrzenicy za ucho. — Jak dziewczyna z miasta, którą zawsze chciałaś być.

- Dziękuję, ciociu Louise. Ty też cudownie wyglądasz. Tak się cieszę, że cię widzę!

- Dobrze, dziewczyny. Usiądźcie i jedzcie. Gdybyście czegoś potrzebowały, zawołajcie.

Lizzie i Holly usiadły i zaczęły jeść. To była rodzinna tradycja: gdy ktoś przyjeżdżał do domu po dłuższej nieobecności, jadło się makaron z serem. A Louise najlepiej na świecie przyrządzała ulubione danie Holly.

- Och, Holly, bardzo bym chciała jak najszybciej pokazać ci suknię ślubną- zaczęła Lizzie z pełnymi ustami. ^ Kilka miesięcy temu zobaczyłam ją na wystawie Salonu Mody Ślubnej Bettiny i od razu się w niej zakochałam. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ja, Lizzie Morrow, kupię u Bettiny suknię ślubną i wyjdę za najwspanialszego, najukochańskiego mężczyznę na świecie. Czuję się jak w bajce... Tylko że te głupie incydenty,.. - Upiła łyk lemoniady. - Nie pozwolę, żeby to zepsuło mi nastrój, Holly. Miałaś rację. Nikt nie zabroni mi poślubić człowieka, którego kocham.

Holly się uśmiechnęła, bo Lizzie zacytowała jej słowa. Rzeczywiście tak powiedziała. Chociaż nie podobało jej się to, co działo się w Troutville, kuzynka miała prawo kochać mężczyznę, którego sobie wybrała, bez względu na opinie innych.

- Tak trzymać, Liz! Masz całkowitą rację. A teraz opowiedz mi o sukni. Lizzie uśmiechnęła się szeroko.

- Jest zupełnie inna niż suknie, które sobie wyobrażałam. Pamiętasz, jak godzinami gadałyśmy o wymarzonych sukniach ślubnych, a Flea je szkicowała?

Holly uśmiechnęła się na to wspomnienie. Cztery przyjaciółki spędziły wiele popołudni na pogawędkach o stylu, kroju i długości swoich wymarzonych sukien ślubnych. Lizzie zawsze wyobrażała sobie lśniąca suknię z głębokim dekoltem, taką, jaką niejedna znana aktorka chciałaby włożyć na ceremonię rozdania Oscarów. Holly marzyła o koronkach i długim trenie.

- Bettina powiedziała, że to suknia w stylu wiktoriańskim - ciągnęła Lizzie. - Pod szyję, z długimi rękawami i małymi bufkami. Bardzo prosta. Naprawdę prześliczna.

Holly zerknęła na Lizzie. Wiktoriańska? Pod szyję? Bufki?

Prosta?

Poza tym stroje, które zwykle podobały się Lizzie, nie były „prześliczne”. Wymyślne, tak. Wesołe. Nakręcone. Bajeczne. Holly nie pamiętała nawet, żeby to słowo kiedykolwiek przedtem padło z ust kuzynki.

- Gdy tylko zobaczyłam ją na wystawie - wyznała Lizzie - wiedziałam, że właśnie w niej poślubię Dylana. Weszłam do sklepu i poprosiłam Bettinę, żeby pozwoliła mi ją przymierzyć. To było dwa miesiące przed naszymi zaręczynami. Już wtedy wiedziałam, że za niego wyjdę, Holly. To po prostu się czuje.

Holly się uśmiechnęła.

- Bardzo się cieszę z twojego szczęścia, Liz. Jesteś taka zakochana! Bettina Tutweller pewnie zażądała, żebyś pokazała pierścionek zaręczynowy, zanim pozwoliła ci przymierzyć którąś ze swoich sukien.

- Och, zachowała się o wiele gorzej - powiedziała Lizzie. - „Na pewno wolałabyś rzeczy od Mary Lou w Dolnym Troutville”, oświadczyła tym swoim wyniosłym tonem. „Mają tam kilka sukien ślubnych, na które będzie cię stać”.

- A to wiedźma! - krzyknęła oburzona Holly. - Jak śmiała!

- Stwierdziłam, że bardziej podoba mi się suknia z jej wystawy - mówiła dalej Lizzie - i powtórzyłam, że chcę ją przymierzyć. A Bettina na to, że po pierwsze trzeba się umówić, a po drugie zgodnie z tradycją suknie przymierzają tylko kobiety zaręczone.

Holly osłupiała.

- Dodała jeszcze: „A na twoim palcu nie widzę pierścionka z diamentem, Lizzie”.

Holly z trudem łąpała oddech.

- Mimo to chcesz tam jutro pójść?

- Tam jest moja wymarzona suknia ślubna, Holly. Wierz mi, gdyby Flea szyła suknie ślubne i suknie dla druzhen, poszłabym tylko do niej. Ale ona nie zajmuje się modą ślubną, więc kupię suknię u Bettiny.

- Ta czarownica nie zasługuje, żebyś wydawała u niej pieniądze! - jęknęła Holly.

- Mam zrezygnować z marzeń? - zapytała Lizzie. - Nie iść do najlepszego sklepu w hrabstwie, bo jego właścicielka jest kretynką? Czy raczej kupić tę suknię i nie przejmować się Bettiną?

Holly musiała się nad tym zastanowić.

- Myślisz, że dam satysfakcję Bettinie, nie kupując sukni, która bardzo mi się podoba? - ciągnęła Lizzie. - Mowy nie ma!

- Sama nie wiem, Lizzie. Może rzeczywiście stracisz, nie idąc do Bettiny. Nie pomyślałam o tym w ten sposób.

- Och, Holly. O tych sprawach można myśleć bardzo różnie. Gdybym przejmowała się każdym drobiazgiem, musiałabym się cały czas kryć w domu lub, co najwyżej, w Dolnym Troutville.

Drobiazg? Bettina bardzo cię uraziła! Zresztą, co to za życie? Od „drobiazgu” do „drobiazgu”?

- Hol, zemszczę się na Bettinie. Będzie nam usługiwać, kłaniając się w pas - zapowiedziała Lizzie z uśmiechem. - Najedz się więc, kochana kuzynko. Musisz mieć siłę, żeby jutro rano przymierzyć dużo sukien.

Holly nie była pewna, czy zadowoliliby ją taka zemsta, ale to już było coś.

- Doprowadźmy ją do szału - zaproponowała. - Wciąż zmieniamy zdanie i żądamy różnych rozmiarów.

Lizzie się uśmiechnęła.

- No pewnie. - Wzięła swoją szklankę z lemoniadą i trąciła szklanką Holly.

- Przestańcie gadać i jedźcie! - skarciła je mama Lizzie. - Mam dla was jeszcze dwie dokładki. Bardzo chcą się znaleźć w waszych brzuchach!

Holly zaśmiała się i zaczęła jeść. Pyszne danie od razu poprawiło jej nastrój.

Mogę się dużo nauczyć od Lizzie, pomyślała znowu. Gdybym tylko potrafiła przestać się przejmować. Już się tak nie martwić.

To jednak było niemożliwe. Przed godziną, gdy wypadła z gabinetu Jake'a Boone'a, natychmiast pobieгла do Lizzie. Postanowiła za wszelką cenę znaleźć osobę odpowiedzialną za „incydenty” i kupkę ziemi. Z pomocą Jake'a lub bez.

Prawdopodobnie bez, pomyślała, przesuwając na talerzu makaron i ser.

Dlaczego to wszystko musi być takie skomplikowane? - zastanawiała się. Przez tyle lat był moim najdroższym przyjacielem, a wystarczyła jedna źle zrozumiana uwaga, żeby.

Czy Jake źle zrozumiał jej słowa? A może powiedziała dokładnie to, co miała na myśli? I on dobrze usłyszał?

„On uosabia wszystko, od czego uciekam. To ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła!”

Przecież tak nie myślała. To nie była prawda. Holly podświadomie broniła się przed swoim uczuciem do Jake'a.

Bardzo cię kochałam, Jake'u Boonie. Och, jak bardzo. Ale ty chciałeś zostać w Troutville i udowodnić, ile jesteś wart. Nie pozwoliłbyś, żeby ktoś ci dyktował, co masz czuć i gdzie mieszkać. A ja chciałam stąd uciec.

- Przepraszam cię na chwilę, Lizzie - powiedziała.

Lizzie kiwnęła głową i zaczęła rozmawiać z kilkorgiem stałych klientów, a Holly jak najnormalniejszym krokiem poszła do toalety dla pań. Tam oparła się o wyłożoną płytkami ścianę, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się.

Rozdział 5

Jestem nikim i tak już zostanie, więc po co się starać, Jake? Szesnastoletni Jimmy Morgan splótł ręce na piersi i gniewnie kopał krawężnik przed Dunhill Mansion. Jake zerknął na zegarek, mając na-

dziewią, że Dylan niedługo się zjawi. Razem z Dylanem obiecali, że zabiorą Jimmy'ego na koncert rockowy w sąsiednim mieście. Jeśli Dylan nie przyjedzie w ciągu minuty, będą musieli wyruszyć bez niego. Jimmy, choć podekscytowany koncertem, był w złym nastroju. Jake pomyślał, że najlepiej pocieszyłby go Dylan.

To Dylan kilka lat temu zaproponował, żeby Jake poświęcił trochę czasu Ośrodkowi dla Chłopców w River County, założonemu pół wieku wcześniej przez jego dziadka. Dziadek buntował się przeciwko rodzinie i z pewnością uciekłby z domu, gdyby nie dowiedział się o nieformalnej drużynie koszykówki, która co sobotę rozgrywała mecze i przyjmowała każdego, kto chciał się przyłączyć. Ta drużyna, złożona z nastolatków i dorosłych z różnych środowisk, których łączyła chyba tylko miłość do koszykówki, odmieniła życie Rockwella Dunhilla. Założył ośrodek dla nastolatków z okolicy. Jimmy, który spędził jakiś czas w poprawczaku za wandalizm i bójki, zaczął tu przychodzić kilka miesięcy temu. Jake i Dylan, którzy w środowe popołudnia i wieczory pracowali tam jako wolontariusze, powoli zaprzyjaźnili się z nastolatkiem, głównie dzięki koszykóвке. Dylan grał świetnie, a gdy Jimmy dowiedział się, że to jeden z Dunhillów, dosłownie się w nim zakochał. Fakt, że Dunhill mógł być „taki fajny” i traktował Jimmy'ego jak wartościowego człowieka, wywarł duży wpływ na chłopca. Za zgodą samotnej matki Jimmy'ego, Jake i Dylan kilka razy w miesiącu zabierali go na różne imprezy. Jego nastawienie do życia zaczęło się zmieniać.

- Jimmy, możesz osiągnąć wszystko, co zechcesz — powiedział chłopcu Jake. - Ja jestem tego dowodem. Liczy się tylko charakter, a nie pieniądze. Co tam przeszłość. Masz w sobie moc, żeby ukształtować swoją przyszłość. I terazniejszość.

- Jenny Johnson wcale tak nie uważa - burknął Jimmy.

- Kto to jest Jenny Johnson? - zapytał Jake, nagle rozumiejąc przyczynę złego humoru chłopca. Chodziło o dziewczynę.

- Najładniejsza, najmilsza i najinteligentniejsza dziewczyna w szkole - odparł Jimmy. - Ale nigdy się ze mną nie umówi. Pochodzi z Górnego Troutville, a ja nie. To wszystko.

- Bzdura - powiedział Jake. - Skąd wiesz, że ci odmówi, jeśli nawet nie próbowałeś jej gdzieś zaprosić?

- Po co? - zapytał Jimmy. - Nigdy by się nie zgodziła. Nie odzywa się do mnie.

- Więc coś mi powiedz - poprosił Jake. - Zauważyłeś, że często na ciebie patrzy?

Jimmy kiwnął głową.

- Cały czas. Bo myśli, że jestem zerem.

Jake się uśmiechnął.

- Nie, Jimmy. Patrzy na ciebie, bo się jej podobasz. Nieważne, co robi i mówi kobieta. Jeśli często na ciebie patrzy, to znaczy, że jest tobą zainteresowana.

- Naprawdę? - zapytał Jimmy, już pogodniej.

Jake kiwnął głową, a Jimmy zagryzł wargę. Wskoczył do samochodu Jake'a i oparł się wygodnie, rozpościerając ramiona.

- Naprawdę jest niezła. Mądra.

- To dobrze - powiedział Jake.

- Kiedy bierze udział w dyskusji na lekcjach angielskiego - ciągnął Jimmy - widać, że naprawdę przeczytała książkę. Zależy jej.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Jake przeniósł się myślami dziesięć lat wstecz, na lekcję angielskiego, kiedy Holly z pasją dyskutowała o *Romeo i Julii*, oburzając się, że dwie kochające się osoby nie mogły być razem z powodu presji otoczenia.

Przypomniał sobie również, jak Holly na niego patrzyła. Podnosił wzrok - w klasie, w parku, w ich domach - i z zaskoczeniem stwierdzał, że ona mu się przygląda. Czasami przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, aż któreś oprzytomniało i ze wstydem uciekało spojrzeniem. Musiała wiedzieć, jak bardzo ją kocha: dowodziło tego jego zachowanie. Ale on nie wiedział, czy jego uczucie jest odwzajemnione, więc nigdy nie zdobył się na odwagę, żeby wyznać jej miłość.

Pokręcił głową - ale był wtedy głupi. Powinien był po prostu pójść do niej i powiedzieć, co czuje. Wtedy nie umiał tego zrobić.

I miałem rację, pomyślał. W końcu okazało się, że Holly wcale mnie nie kocha.

Dlaczego więc powiedział Jimmy'emu Morganowi, że Jenny jest nim zainteresowana, bo często na niego patrzy? Gdyby Jimmy uwierzył w jego słowa i wyznał dziewczynie miłość, a ona by go odrzuciła, dodatkowo pogłębiłoby to jego kompleksy.

Ale przecież gust dziewczyny nie zależy od mężczyzny, pomyślał. Trzeba się pogodzić z tym, że cię nie chce, pocierpieć trochę i żyć dalej;

Tak jak ty, Boone? - zapytał siebie samego. W ciągu dziesięciu lat do żadnej kobiety nie czuł tego, co kiedyś do Holly. Chodził na randki, miał kochanki, był w krótkotrwałych związkach. Żadna z kobiet nie podbiła jego serca tak jak Holly.

Dziwił się, że po tylu latach ona tak silnie na niego działa. Po południu, w swoim gabinecie, bardzo pragnął pogładzić jej jedwabiste włosy, dotknąć jej dłoni, przytulić ją pod byle pretekstem - byle być blisko niej.

Ale ten pretekst się nie znalazł. Jake był pewien, że nigdy się nie znajdzie.

Przed kilkoma godzinami wpadł do Lizzie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i żeby zobaczyć kupkę ziemi i wiadomość. Bał się, że Holly zaczęła śledztwo na własną rękę, chociaż nie miała prawie żadnych poszlak. Lizzie zapewniła go, że Holly bezpiecznie drzemie w pokoju gościnnym, a potem powtórzyła to, co już wiedział: że po powrocie do domu znalazły na łóżku kupkę ziemi i kartkę.

Wiadomość została napisana na komputerze i wydrukowana tak jak poprzednie. Nic jej nie wyróżniało, nic nie wskazywało, że komputer był nietypowy ani że drukarka miała jakąś charakterystyczną wadę, co mogłoby pomóc w ujęciu sprawcy. Jake porozmawiał z sąsiadami, mając nadzieję, że ktoś zauważył osobę wchodzącą do domu Lizzie lub wychodzącą z niego, ale nic nie ustalili.

Cholera, kto to zrobił? Jake sporządził listę podejrzanych, ludzi, którzy nie lubili Lizzie albo nie byli zadowoleni z przysięgu związku Dunhillów z Morrowami. Lista była bardzo długa.

- Ktoś do ciebie macha - powiedział Jimmy, wskazując podbródkiem duży ganek Dunhill Mansion.

Jake zerknął w tamtą stronę i zobaczył matkę Dylana, Victorię Dunhill, z sekatorem w jednej ręce i swoim boston terierem pod pachą.

- Zabije psa sekatorem? - zapytał Jimmy.

Jake klepnął chłopca w ramię „Gazeta Troutville”, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Chyba idzie przyszyć żywoplot.

Jimmy spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Sama?

- Tak, sama.

- Nie ma ogrodnika? Mogłaby wynająć kogoś do tej pracy.

- Oczywiście, ale lubi sama pielęgnować ogród.

Jimmy rozejrzał się po zadbanej okolicy.

- Chciałbym kiedyś być bogaty i robić to, co lubię, chociaż mógłbym kogoś wynająć.

- Na przykład? - zapytał Jake.

- Sam myłbym swojego harleya-davidsona - powiedział Jimmy. - Kiedyś będę coś takiego miał i nikomu nie pozwolę go dotknąć.

- To bardzo dobry pomysł - odparł Jake, machając do Victorii Dunhill, która szła alejką. Piesek dreptał za nią. - Dzień dobry, pani Dunhill! - zawołał. - Widziałą pani Dylana?

- Nie! - Siwy kok nawet nie drgnął, gdy pokręciła głową. - Ale dziś jest na mnie trochę obrażony, więc może się ukrywa.

Jake dobrze wiedział, że nie należy się dopytywać. Wystarczyło słuchać, a ludzie sami mówili wszystko, co chciał wiedzieć. Przez ostatnie lata dość dobrze poznał Victorię Dunhill. Lubiła mówić. Był to jeden z powodów, dla których znalazła się tak daleko na liście podejrzanych. Gdyby Victoria zapłaciła komuś za straszenie drухen Lizzie lub za podrzucenie kupki ziemi do jej łóżka, z pewnością opowiadałaby o tym godzinami każdemu, kto miałby ochotę słuchać.

- Pozwoliłam sobie na drobną uwagę na temat Lizbeth-ciągnęła Victoria zgodnie z przewidywaniami Jake'a - i Dylan się zdenerwował. Ostatnio jest bardzo drażliwy.

Victoria nie chciała nazywać Lizzie zdrobniałą formą imienia, co irytowało Dylana.

Prychnęła.

- Wyraziłam tylko nadzieję, że przyjmie moją propozycję; chciałam zapłacić za przygotowanie jej do ślubu, żeby nie wystąpiła w krzykliwym makijażu i nastroszonej fryzurze. A on uparł się, że Lizzie podoba mu się taka, jaka jest. Ciskał się, jakbym ją obraziła!

- Cóż, tak właśnie było - mruknął pod nosem Jimmy.

- Chodź, Louis - zagruchała do pieska. - Przytniemy krzewy różane. - Odwróciła się do Jake'a. - Pa, mój drogi. Jeśli spotkasz Dylana, proszę, przemów mu do rozsądku. Niech już przestanie się dąsać. To naprawdę nie do zniesienia. Jeśli zamierza się tak zachowywać na przyjęciu zaręczynowym, może powinien jeszcze raz przemyśleć swój wybór. Najwyraźniej nie jest szczęśliwy z tą dziewczyną. Chodź, Louis. Nie guzdraj się!

Pani Dunhill okrążyła trawnik i poszła na tył domu, ciągnąc na smyczy podskakującego Louisa, a Jimmy wysiadł z samochodu i szeroko się uśmiechnął.

- To wprost nie do zniesienia, Louis! - przedrzeźniał jej akcent. - Natychmiast przestań się guzdrać, Louis!

Jake nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Traktuje tego psa jak własne dziecko.

Jimmy prychnął.

- Raczej swoje dzieci traktuje jak psy, a nie myślących ludzi. Chciałbym być przy tym, jak Dylan mówił najdroższej mamusi, że zamierza poślubić Lizzie.

Jake zerknął na Jimmy'ego. Często dziwiło go, jak bystry był ten nastolatek, ile rozumiał z zachowania otaczających go ludzi.

- Na pewno była zachwycona, że jej syn się zakochał i znalazł kobietę, z którą chce przeżyć resztę życia - powiedział, rzucając Jimmy'emu karzącą spojrzenie.

- Ha! Jakby królowa Dunhill chciała mieć synową z Dolnego Troutville - mruknął Jimmy.

Miał co do tego rację, ale Jake nie zamierzał rozmawiać z nim o prywatnych sprawach rodziny Dunhillów. Jake był przy tym, jak Dylan powiedział matce o planowanym małżeństwie z Lizzie. Nie w tym samym pokoju, ale tuż obok. W przeddzień planowanej rozmowy z matką o zaręczynach Dylan poprosił Jake'a, żeby pod jakimś pretekstem przyszedł do niej około południa. Stwierdził, że jeśli jego matka wpadnie w szał, to Jake, którego bardzo lubi i darzy zaufaniem, uspokoi ją i przemówi jej do rozsądku.

Rzeczywiście, wpadła w szał.

Gdy Jake przeglądał dokumenty w bibliotece przy gabinecie pani Dunhill, Dylan i Lizzie usiedli naprzeciwko niej i powiedzieli, że chcą się pobrać.

Ale najpierw Dylan musiał przestawić Lizzie. Panie widziały się po raz pierwszy.

- Przedstawiasz mnie swojej przyszłej żonie? - zapytała pani Dunhill, podnosząc się ze swojego cesarskiego fotela za ogromnym, mahoniowym biurkiem. - Zamierzasz za trzy tygodnie poślubić kobietę, której nie zna twoja rodzina?

- Chciałem... - zaczął Dylan.

- Dylanie - przerwała matka. - Jak na młodego człowieka z głową na karku, chyba niezbyt dobrze to przemyślałeś. Skoro ja nawet nie wiedziałam, że umawiasz się z tą... młodą kobietą, jak to możliwe, że spotykaliście się tak długo, żeby zdecydować się wziąć ślub?

- Pani Dunhill - odezwała się Lizzie ciepłym, mocnym głosem. - Przede wszystkim chciałabym powiedzieć, jak bardzo mi miło panią poznać. Słyszałam...

- Niewątpliwie jesteś uroczą osobą, Elizabeth - przerwała jej pani Dunhill. - Jednakże...

- Mam na imię Lizabeth, nie Elizabeth - poprawiła wesoło Lizzie. - Ale nikt tak do mnie nie mówi. Wszyscy nazywają mnie Lizzie.

Pani Dunhill zmierzyła ją wzrokiem.

- Cóż, Lizabeth, jak już mówiłam, na pewno jesteś uroczą dziewczyną, ale co mogłoby cię łączyć z Dylanem? Pochodzicie z różnych światów. Może więc spotykajcie się dalej, jeśli lubicie swoje towarzystwo, ale na życiowych partnerów wybierzcie odpowiednie osoby. Na pewno czeka na ciebie jakiś cudowny, młody człowiek. Bardzo niedawno, kiedy zepsuł mi się samochód, przy placu Troutville, z pomocą przyszedł mi przystojny mechanik. Nie miał obrączki i...

Dylan poderwał się na nogi.

- Mamo! Wystarczy!

Lizzie nic nie powiedziała.

- Ja tylko chciałam... - Pani Dunhill zrobiła niewinną minę.

- Wiemy, co chciałaś powiedzieć - warknął Dylan. - A ja oświadczam, że nie będę tego tolerował. Kocham Lizzie, a ona mnie, i weźmiemy ślub. Utrzymywaliśmy nasz związek w tajemnicy, żeby uniknąć komentarzy. Nie chcieliśmy słuchać takich właśnie złośliwości.

- Oczywiście spodziewałaś się, że wasz związek nie zostanie zaakceptowany - odparła pani Dunhill. - Nie rozumiem więc, dlaczego tak bardzo irytuje cię moje... zaskoczenie tą wiadomością.

Dylan pokręcił głową z niedowierzaniem, ale usiadł.

- Chcę, żebyś cieszyła się z mojego szczęścia, mamo. Bardzo kocham Lizzie. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, czym jest miłość.

- Och, Dylanie... - Pani Dunhill cmoknęła, jakby jej syn był nastolatkiem. - Nie myl zauroczenia z prawdziwym, trwałym uczuciem. Oczywiście, że jesteś zakochany. Ona jest... bardzo atrakcyjna. - Zlustrowała Lizzie krytycznym spojrzeniem, od niesfornych blond loków po jaskraworóżowe szpilki.

- Mamo - powiedział Dylan. - Przyszliśmy tu z Lizzie, żeby powiedzieć ci osobiście, że się kochamy i weźmiemy ślub za trzy tygodnie. Chciałem, żebyś dowiedziała się od nas, a nie od kogoś innego. Żebyś to wiedziała, zanim otrzymasz zaproszenie.

Pani Dunhill zamarła.

- Zaproszenie? Co?

- Przyjdzie pocztą jutro lub pojutrze - poinformowała ją Lizzie. - Jest śliczne. Złote litery...

- Rozesłaliście już zaproszenia? - przerwała jej pani Dunhill, blednąc.

- Tak, mamo - odpowiedział Dylan.

- Czyli myślisz o tym poważnie.

- Bardzo poważnie.

Pani Dunhill spojrzała na Dylana i Lizzie, a potem zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem, z którym nigdy się nie rozstawała. Walker, jej lokaj, szybko wszedł do pokoju.

- Walker, trochę mi słabo. Odprowadzisz mnie na górę?

- Oczywiście, proszę pani - odpowiedział Walker. - Czy mam powiedzieć panu Boone'owi, żeby przyszedł kiedy indziej?

- Jake tu jest? - zapytała, wyraźnie się odprężając. - Nie, nie, Walker. Zobaczę się z nim. Przyślij go tu. - Lokaj wyszedł. - Jeśli to już wszystko... - powiedziała do Dylana i Lizzie - mam ważną sprawę do omówienia z Jakiem.

Dylan się uśmiechnął.

Dobrze, mamó. Może zaprosisz mnie i Lizzie na kolację, żebyście mogły lepiej się poznać?

Pani Dunhill uśmiechnęła się nerwowo i wstała zza biurka, gdy Jake zajrzał do pokoju.

- Ach, Jake. Wejźdź dalej, proszę. Do zobaczenia, Dylan. Lizabeth...

Lizzie uśmiechnęła się ciepło.

- Proszę mnie nazywać Lizzie. Naprawdę bardzo bym chciała panią lepiej poznać...

- Dobrze, moja droga. Zamknijcie za sobą drzwi.

Dylan pokręcił głową, a Lizzie zagryzła wargę. Jake usiadł na krześle, na którym wcześniej siedział Dylan. Wiedział, że czeka go męczące popołudnie.

Odgłos nadjeżdżającego samochodu wyrwał Jake'a z rozmyślań. Jimmy wyskoczył z auta i kopnął oponę.

- To nie Dylan - mruknął, kiedy samochód minął ich i pojechał dalej. - Gdzie on się podziewa? Miał tu być dwadzieścia minut temu.

Jake objął chłopaka ramieniem.

Na pewno Dylanowi wypadło coś w pracy. Pojedziemy więc we dwóch.

Jimmy zrobił ponurą minę.

- Wystawia mnie do wiatru już chyba piąty raz. Pewnie teraz uprawia seks z Lizabeth.

- Hej! - warknął Jake. - Uważaj na słowa!

- Odkąd zaczął się z nią widywać, w ogóle nie ma dla mnie czasu! - poskarżył się Jimmy. - Miałem już takiego kumpla. Odstawił mnie, kiedy poderwał dziewczynę. Beznadzieja! - Podniósł z ziemi kamień i rzucił nim w drzewo na podwórku. - A co tam.

Jake spojrział uważnie na chłopaka. Jimmy był zły i czuł się odtrącony.

Czy na tyle, żeby próbować straszyć Lizzie i nie dopuścić do ślubu?

Gdy chłopak wsiadł do samochodu, Jake z przykrością pomyślał, że musi go umieścić na swojej długiej liście podejrzanych.

- Dzień dobry, Lizzie i druhy. Witam w Salonie Mody Ślubnej Bettiny.

Bettina Tutweller, właścicielka sklepu i okropna snobka, przytrzymała drzwi do swojego eleganckiego salonu przy najdroższej ulicy handlowej w Troutville i uśmiechała się z przymusem. Po obu jej stronach stały asystentki, każda z centymetrem na szyi.

Gdy Lizzie, Holly, Gayle i Flea weszły do salonu, asystentki zaczęły się uwiijać jak w ukropie. Podały im herbatę w delikatnych filiżankach z chińskiej porcelany oraz szklanki z wodą, w której pływały plasterki cytryny.

- Nie posiadam się z radości, że wybrałaś mój sklep, żeby kupić suknię ślubną i stroje dla drухen - ćwierkała Bettina. Jej półdługie, kręcone jasne włosy podskakiwały przy każdym słowie.

Oczywiście, pomyślała sarkastycznie Holly. Teraz, kiedy Lizzie wchodzi do rodziny Dunhillów i wydaje ich pieniądze, jest tu bardzo mile widziana.

A ty ciężko zapracujesz na każdego centa! - poprzysięgła w myślach Bettinie.

- Bardzo ci dziękuję, Bettino - odparła Lizzie. - Oczywiście znasz Fleę. Pracowała trochę dla ciebie. A to Gayle i moja kuzynka, Holly, Druhny.

- Prudence nie przyjdzie? - zapytała Bettina, wyglądając przez okno. - Ma doskonały gust.

Lizzie posmutniała.

- Pru nie będzie moją druhną.

- Nie będzie druhną? - powtórzyła Bettina. - Przecież jest siostrą pana młodego. Zwykle...

- Lizzie przedstawiła pani wszystkie druhny - przerwała Holly. - To my.

Bettina przez chwilę patrzyła na nią, a potem przeniosła wzrok na Lizzie.

- Rozumiem. - Głośno zaklaskała w dłonie. Natychmiast podbiegły asystentki. - Zaczynicie się rozglądać, dziewczęta - powiedziała. - Gdybyście czegoś potrzebowały, Jenny i Mary zaraz wam pomogą. Zamknęłam sklep, żebyśmy mogły poświęcić wam całą uwagę. - I uśmiechając się, odeszła wraz z asystentkami, ale Holly zauważyła, że stanęła za biurkiem z marmurowym blatem i przygląda się im jastrzębim wzrokiem.

- Nie przejmuj się jej uwagą na temat Pru - szepnęła Holly do kuzynki.

- Już o tym zapomniałam - odparła Lizzie. - Jestem taka szczęśliwa, że nic nie zepsuje mi nastroju! - Z trudem powściągała entuzjazm. - Gzuje się jak małe dziecko w cukierni! Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, że zgodziłyście się być moimi druhnami, wspierać mnie duchowo, cieszyć się moją radością. Bardzo kocham was wszystkie! - Jej oczy zalśniły łzami szczęścia.

Holly zaśmiała się i przytuliła kuzynkę.

- Och, Lizzie. My też cię kochamy.

- Oczywiście - potwierdziła Gayle.

Flea kiwnęła głową.

- Ja zwłaszcza za to, że pierwszy raz w życiu nie muszę sobie szyć sukienki.

Lizzie parsknęła śmiechem.

- W porządku, zaczynamy. Ponieważ każda z was ma inny gust, wybierzcie suknie, które wam się podobają. A potem zobaczymy, czy uda nam się zdecydować na jeden model.

Gayle skinęła głową i mrugnęła do Lizzie.

- Och, proszę pani! - zawołała do Bettiny. ~ Chciałabym obejrzeć te seksowne, czerwone suknie dla drухen w rozmiarze osiem i dziesięć!

- A ja wolałabym zobaczyć bardziej konserwatywne, czarne sukienki, szóstka - oświadczyła Flea.

Holly uśmiechnęła się do Lizzie. Najwyraźniej kuzynka mówiła Gayle i Fłei o tym, jak niedawno potraktowała ją Bettina.

- Ja najpierw się rozejrzę. Powiem, kiedy będę potrzebowała pomocy - poinformowała właścicielkę sklepu.

Bettina zdobyła się na wymuszony uśmiech, a potem dwa razy klasnęła w ręce. Asystentki jak automaty zaczęły chodzić po sklepie i przynosić sukienki.

- Och spójrzcie na tą - wykrzyknęła Gayle, wpatrując się w jaskrawoczerwoną, drapowaną suknię z wielkim dekoltem. - Bardzo seksowna!

Holly zauważyła bladą suknię z empirowym stanikiem, obszywaną delikatnymi paciorkami.

- No, no... ta jest piękna.

- Bardzo mi się podoba! - zgodziła się Flea z podziwem, fachowym okiem oceniając wykonanie sukni. - Ten róż będzie odpowiedni dla nas wszystkich.

- Pasuje nawet do moich rudych włosów - stwierdziła Gayle, gładząc jedwab. - Holly, chyba znalazłaś nam suknie w niecałą minutę!

Bettina, wiedziona ciekawością i zawodowym instynktem podeszła do czterech kobiet.

- To suknie z czystego jedwabiu, ręcznie wyszywane. Prześliczne.

Znów padło to słowo: prześliczne. Holly zerknęła na Lizzie, która przyglądała się sukni na jednym z manekinów. Rzeczywiście, była wiktoriańska, ale absolutnie nie pasowała do Lizzie. Nic w tej sukni nie wyrażało jej charakteru. Jeśli taka jej się podoba, to taką trzeba kupić, skarciła się w myślach Holly.

- Czyż nie jest piękna? - zachwycała się Lizzie. - Taka elegancka! Ta i żadna inna.

Gayle przyjrzała się sukni.

- Bardzo ładna, Lizzie. Chociaż nie przypuszczałam, że właśnie taką wybierzesz.

- Właśnie, Liz. Nie jest w twoim stylu - zgodziła się Flea. - Dziwi mnie, że w ogóle ci się spodobała.

- Wiem. - Lizzie gładziła koronkę na stojce, przypominającej Holly śmieszny golf. - Sama siebie zadziwiłam! Ale kiedy zobaczyłam ją na wystawie, wiedziałam, że właśnie w niej pójdę do ślubu.

- Koronka ma bardzo misterny wzór - zauważyła Holly.

- Będzie ci ślicznie w tej sukni - dodała Gayle.

- Bufki to piękny dodatek w stylu retro - podchwyciła Flea. - Trudno jest uszyć taką suknię. Na pewno kosztuje fortunę!

Lizzie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie patrzmy na metki. Tak kazał Dylan.

- Będzie ci w niej ślicznie, Lizzie - wtrąciła się pośpiesznie Bettina. - Zaniose ją do przymierzalni.

- Zanim to zrobisz, Bettino - powiedziała Gayle - bądź tak dobra, odwieś je wszystkie na stojaki. - Rzuciła jej stos czerwonych sukienek.

Holly się uśmiechnęła.

- Te też. - Flea dołożyła kilka czarnych sukienek. - Może oprócz tej - dodała, biorąc suknię z góry. - Jest tak śliczna, że bardzo chciałabym ją przymierzyć i zobaczyć z bliska, jak jest uszyta.

Bettina prychnęła, a potem klasnęła w ręce i oddała sukienki asystentkom.

- Przyniosę dla ciebie suknię ślubną - powiedziała. - Rozmiar czternaście?

- Osiem - poprawiła Lizzie.

- Czasami trudno to stwierdzić, kiedy kobieta ma duży biust - odparła chłodno Bettina. - Muszę iść do magazynu. Tutaj mam tylko czwórkę i szóstkę.

Holly wzniosła oczy do nieba, a Lizzie się zaśmiała.

- Najpierw przymierzę tę suknię, dopiero potem różową- oświadczyła Flea. - Zaraz wrócę. - Poszła do przymierzalni.

Lizzie gładziła różową, jedwabną suknię, przewieszoną przez ramię Holly.

- Masz wspaniały gust, Hol. Zawsze miałaś. Bardzo ci tego zazdroścę. Nawet kiedy obiecuję sobie, że włożę coś „stosownego”, i tak sięgam po jakiś szalony ciuch. Takie chyba do mnie pasują.

- Lizzie, bardzo mi się podoba twój styl - zapewniła ją Holly. - Jesteś sobą. Masz cudowną, barwną osobowość.

- Usłyszała od Dunhillów kilka komentarzy na temat „niestosowności” niektórych jej ubiorów. - Gayle wzniosła oczy do nieba. - Kilka dni temu spotkałyśmy na ulicy Victorię Dunhill i jej nadętą przyjaciółkę. Gdy się

mijałyśmy, Victoria powiedziała głośno, że sukienka Lizzie to „najbardziej niestosowny strój dla kobiety zaręczonej!” - Pokręciła głową. - A Lizzie była ubrana bardzo tradycyjnie!

Lizzie uśmiechnęła się, ale zaraz zagryzła wargę.

- Dylan mówi, że podobam mu się taka, jaka jestem, i że jeśli zmienię choćby najdrobniejszy szczegół, to odwoła ślub. Ale może powinnam się trochę dostosować do Dunhillów. Ubierać się inaczej. Tak jak oni.

- Wtedy ucieknie ci narzeczony! - zauważyła z uśmiechem Holly.

- Właśnie - zgodziła się Gayle. - Chyba musisz pozostać sobą!

Lizzie się roześmiała.

- Dzięki, dziewczyny. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

- Muszę przyznać, Lizzie - mruknęła Holly - że Dylan bardzo dobrze się spisuje.

- A nie mówiłam? - Lizzie dała kuzynce prztyczka w nos.

Holly się uśmiechnęła.

- Naprawdę chciałam go lepiej poznać.

- Bardzo się z tego cieszę, Holly. Na pewno...

Nagle rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Z przymierzalni dobiegł krzyk.

- Flea! - zawołała Holly. Pobiegła do przymierzalni. Lizzie, Gayle i asystentki Bettiny były krok za nią.

Flea leżała przy ścianie naprzeciwko wielkiego, trzyczęściowego lustra. Z rozciętego czoła płynęła jej krew.

- O, mój Boże, Fleo! - przeraziła się Lizzie. - Wezwijcie pogotowie! - nakazała asystentkom, po czym podbiegła do przyjaciółki i uklękła przy niej. - Co się stało?

Flea otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć głosu. Wskazała tylko ręką kamień obok niej.

Holly stłumiła krzyk. Spojrzała na wielkie okno za lustrem. Podbiegła tam i rozsunała zasłony. W szybie była dziura wielkości kamienia.

- Fleo, co z tobą? - zapytała, klękając obok przyjaciółki. - Rana wygląda na głęboką.

- Wszystko w porządku... chyba... - powiedziała Flea, delikatnie dotykając palcem rozcięcia na czole. Próbowwała usiąść prosto, ale zaraz opadła z powrotem na ścianę. - Trochę kręci mi się w głowie.

Holly wzięła kamień.

- Jest przy nim jakaś kartka. - Zdjęła gumkę, którą przymocowano do kamienia połówkę kartki z bloku, z wiadomością. Przeczytała dwie linijki, a potem, przerażona, złożyła kartkę.

- Holly? - zapytała Lizzie. - Co tam jest napisane?

Teraz to Holly nie mogła wydobyć głosu.

- Holly? - powtórzyła Lizzie.

Gdy Holly nie poruszyła się ani nie odezwała, Lizzie wzięła od niej kartkę.

- „Dziwki nie noszą bieli” - przeczytała ze łzami w oczach. - „Odwołaj ślub, bo inaczej zlikwiduję ciebie i twoje przyjaciółki”. - Zgniotła kartkę i cisnęła nią w ścianę. Energicznie wytarła oczy. Po chwili przyklękła obok Flei. - Bardzo mi przykro, Fleo. To moja wina, że jesteś ranna. Bardzo mi przykro. - Po jej policzkach popłynęły łzy.

Do przymierzalni wpadła Bettina.

- Trzeba było posłuchać przyjaciółek i innych właścicieli sklepów przy placu Troutville! Wszyscy mi mówili, że jeśli wpuszczę do salonu ciebie i twoje przyjaciółki, będę miała poważne kłopoty!

Lizzie wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

- Wyoście się stąd! - wrzasnęła Bettina. - Precz! Powinam była posłuchać życzliwych ludzi!

- Chętnie wyjdziemy, kiedy przyjedzie policja i pogotowie - warknęła Holly.

Bettina prychnęła i wyszła z przymierzalni, ale po chwili wróciła.

- Na moim nowym, beżowym dywanie jest krew! Wyślę ci rachunek z pralni, Lizzie Morrow!

- Będzie pani musiała walczyć o to w sądzie - oznajmiła Gayle. - A mój szef do tego nie dopuści. Na pewno!

- Macie stąd wyjść, kiedy tylko przyjedzie policja i karetka! - krzyknęła Bettina. - Nie jesteście mile widziane w moim sklepie!

- Lizzie z przyjemnością wyda dziesiątki tysięcy dolarów gdzie indziej - oświadczyła z godnością Holly.

Bettina zadarła nos i wyszła.

-Bardzo mi przykro, Lizzie -jęknęła Flea. Skrzywiła się, dotykając skóry przy rozcięciu. - Wszystko zepsułam. Twoja suknia... I te piękne, różowe suknie dla drухen...

- Znajdziemy takie w innym sklepie. Poza tym nic nie zepsułaś. Fleo, na miłość boską, jesteś ranna! To moja wina! - obruszyła się Lizzie.

- Uszyję ci identyczną sukienkę - obiecała Flea. - Nawet gdybym miała pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez najbliższe dwa tygodnie.

- Fleo, kochanie, nie musisz tego robić - zaprotestowała Lizzie. - Powinnaś wypoczywać i dochodzić do siebie. Nie zgodzę się, żebyś pracowała jeszcze ciężiej niż do tej pory.

- Uszyję ci tę suknię! - upierała się Flea. - A potem podetknę ją pod nos Bettinie!

- Chętnie ci pomogę - wtrąciła się Gayle. - Przy szyciu i podtykaniu pod nos.

Flea się roześmiała.

Lizzie głęboko odetchnęła.

- Dzięki Bogu, że się śmiejesz. Och, Fleo, tak mi przykro.

- Chyba słyszysz syrenę - oznajmiła Holly.

- Jest już karetka pogotowia i policja! - zawołała lodowatym tonem Bettina. - Zawiadomię policjantów, że słyszałam tu śmiech. Jeśli spróbujecie pozwać mnie do sądu, żeby uzyskać odszkodowanie, przegracie! Już ja o to zadbam!

Gayle pokręciła głową.

- A to jęcza!

- Wciąż myślę o tym liście - wyznała Lizzie. - I o kamieniu. Dlaczego ktoś to robi? Dlaczego jest aż tak okrutny? Flea mogła zginąć!

„Dziwki nie noszą bieli. Odwołaj ślub, bo inaczej zlikwiduję ciebie i twoje przyjaciółki”.

Złowieszcze słowa odbijały się echem w głowie Holly.

Co się dzieje, do jasnej cholery? - zastanawiała się. Kto za tym wszystkim stoi?

- Zadzwońię do Dylana - oznajmiła Lizzie, wyjmując telefon komórkowy. - Przyjęcia zaręczynowego nie będzie. Nie ma mowy, żebym narażała na niebezpieczeństwo przyjaciół i rodzinę. Odwołuję przyjęcie! I zapomnijcie o zjeździe absolwentów. Myślę, że każda z nas powinna zostać u siebie. - Ściskając telefon, rozpłakała się i opadła na podłogę obok Flei.

Dowiem się, kto to wszystko robi, przysięgła w myślach Holly. Znajdę cię, draniu, i spotka cię zasłużona kara.

Rozdział 6

Jake przez trzy godziny zaglądał pod każdy kamyk, liść i patyk w alejce za Salonem Mody Ślubnej Bettiny. Nic. Ktoś, kto rzucił kamieniem, wiedział, co robi.

I chyba miał szczęście. Okno w przymierzalni przesłaniała przejrzysta zasłona, więc widać było sylwetkę przed lustrem. Czy celem ataku miała być Lizzie?

Ponieważ Lizzie i jej druhny umówiły się w sklepie Bettiny i wiadomość ta trafiła do rubryki towarzyskiej „Gazety Troutville” - a takie rzeczy

zawsze wzbudzały wielkie zainteresowanie - dosłownie wszyscy mieszkańcy miasta mogli przeczytać czarno na białym, gdzie się spotkają. Może dla sprawcy nie miało znaczenia, którą z nich skrzywdzi? Czy była w to zamieszana właścicielka sklepu lub któraś z jej asystryntek? Czy powiadomiły kogoś, że jedna z drухen jest w przymierzalni? Czy sprawca kręcił się przed sklepem, a kiedy zauważył, że jedna z przyjaciółek weszła do przymierzalni, szybko pobiegł w alejkę za sklepem i rzucił kamieniem?

Jake pchnął podwójne drzwi Szpitala Ogólnego w Troutville. W głowie kłębiły mu się pytania bez odpowiedzi. Policja uznała incydent za przejaw zwykłego wandalizmu. Przeprowadzono krótkie śledztwo, które nie przyniosło efektów, i poproszono go, by przekazywał organom ścigania wszystkie nowe informacje. Policja uznała, że to był po prostu wybrak zbuntowanych nastolatków.

Zatrzymał się w recepcji, żeby zapytać o numer pokoju Felicii, a potem wjechał windą na trzecie piętro.

- Jake!

Gdy tylko otworzyły się drzwi windy, zobaczył Holly, biegła w jego kierunku. Lizzie i Gayle były w poczekalni. Krążyły po niej nerwowo, kręciły głowami i miały bardzo zatroskane miny.

- Jak się czuje Felicia? - zapytał.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Holly. - Trzeba było szyć, bo skaleczenie okazało się głębokie, i niestety zostanie blizna, ale zdaniem lekarzy miała szczęście, że kamień nie trafił w oko.

Znów to słowo: szczęście. Jake nie uważał, żeby szczęście miało tu coś do rzeczy. Sprawca wiedział, gdzie i kiedy rzucić kamieniem. Jake miał przeczucie, że ten człowiek celował w twarz, żeby widok rannej osoby zawsze przypominał Lizzie, co się stanie, jeśli dojdzie do ślubu.

- Czy ktoś jest przy Felicii? - zapytał. - Chciałbym jej zadać kilka pytań, jeśli będzie mogła porozmawiać.

- Policjanci jakiś czas temu spisali jej zeznania i wyszli. Jest teraz sama, ale odpoczywa.

Jake kiwnął głową.

- Za godzinę ją wypiszą - powiedziała Holly. - Przez kilka dni będzie mieszkać z Lizzie i ze mną. Możesz wpaść jeszcze dziś lub jutro.

- Dziękuję, wpadnę. Felicia wiele przeszła.

Holly łagodnie się uśmiechnęła.

- Tylko ty nazywasz ją pełnym imieniem.

- Jest bardzo ładne - stwierdził. - Nie rozumiem, dlaczego woli, żeby mówiono do niej Flea, czyli Pchła. Nigdy tego nie rozumiałem.

- Jej ojciec dziwnie to wymawiał: Flea-liszia - wyjaśniła Holly. - Dlatego w dzieciństwie, ucząc się swojego imienia, zapamiętała tylko tyle.
- W takim razie to bardzo miłe przezwisko - orzekł Jake. Przypomnił sobie pierwszy dzień w gimnazjum, gdy mieli po trzynaście lat. Nauczycielka sprawdzała listę. Gdy doszła do Felicii Harvey, kilkoro dzieci z Dolnego Troutville powiedziało, że wszyscy nazywają ją w skrócie Fleą. A Pru Dunhill prychnęła:
- Mój pies chętnie pożycz ci obrożę przeciwpchelną.
- Cała klasa wybuchła śmiechem, a Pru została wezwana do dyrektora. Ale zdążyła wyrzucić Flei dużą krzywdę.
- Pewnie dokładnie zbadałeś okolicę Salonu Mody Ślubnej? - zapytała Holly.
- Tak - potwierdził. - Ale pamiętaj, że z nikim nie rozmawiam o toczących się śledztwach.
- Jake, Flea mogła zginąć - powiedziała Holly, splatając ręce na piersi.
- Tu już nie chodzi o liściki z pogrózkami i uszkodzone samochody. To sprawa życia i śmierci.
- Jestem tego świadom, Holly.
- Przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Wciąż bardzo dobrze go znała. Nie miała wątpliwości, że nie uzyska od niego żadnych informacji. A on widział, jak sobie to uświadamia. Widział też jej gniew.
- Usiadła na twardym, plastikowym krześle, a on naprzeciwko niej.
- Lizzie chce odwołać przyjęcie zaręczynowe - powiedziała. - Dylan był tu kilka godzin temu, ale pilnie wezwał go klient, więc musiał jechać. On też uważa, że należy odwołać przyjęcie. - Ukryła twarz w dłoniach, a Jake'a kusiło, żeby ją objąć. Splótł ręce, żeby się przed tym powstrzymać, chociaż bardzo chciał odgarnąć grube pasmo brązowych włosów, które zawsze opadało jej na twarz, gdy spuszczała głowę. Chciał ją pocieszyć. Odpędzić jej troski. Powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.
- Bardzo pragnął to wszystko zrobić.
- Rozmawiałem z Dylanem przez telefon - powiedział. - Przekonałem go, żeby nie odwoływał przyjęcia.
- Co? - zapytała Holly, podrywając się na nogi. - Nie mówisz poważnie!
- Holly, przyjęcie zaręczynowe odbędzie się za dwa tygodnie. Mam nadzieję, że przedtem schwytam tego drania. Jeśli nie, to spodziewam się, że przyjdzie na bankiet. Praktycznie wszyscy moi podejrzani są na liście gości. Będą w jednym miejscu w jednym czasie. Zauważę każde nietypowe, podejrzane zachowanie. Dyskretnie przesłucham kogo trzeba. Poza tym, jeśli Lizzie i Dylan odwołają przyjęcie zaręczynowe, to równie dobrze mogą od razu odwołać ślub.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- A jeśli nie to sprawca będzie wiedział, że Lizzie i Dylan nie dadzą się zastraszyć. I jeżeli zaatakuje z jeszcze większym okrucieństwem? Zamiast kamienia sięgnie po nóż, pistolet albo... - Urwała i potrząsnęła głową, zamykając oczy. - Bardzo boję się o Lizzie. O nas wszystkie. Nie wiem, co myśleć i z kim rozmawiać.

- Holly, uspokój się. Zajmuję się tą sprawą. Dylan wynajął ochroniarzy, żeby cały czas pilnowali każdej z was. Spójrz w prawo, na potężnie zbudowanego mężczyznę, który udaje, że czyta gazetę. - Zerknęła w tamtą stronę. - Bardzo uważnie wszystko obserwuje.

- Czuję, że muszę zrobić coś więcej. - Nie wytrzymała. - Razem z tobą prowadzić śledztwo.

- Nie.

- Podaj choć jeden dobry powód.

- Podam trzy. Po pierwsze, nie jesteś detektywem. Po drugie, może ci się stać coś złego. A po trzecie, nie chcę z tobą współpracować.

- Z powodu tego, co zaszło między nami? - zapytała łagodnie.

- Między nami nic nie zaszło.

- Wiesz, o czym mówię - nalegała.

- Nie dlatego nie zgadzam się na współpracę.

Więc?

- Podałem ci trzy powody, Holly. Nic więcej nie powiem.

- Policja traktuje tę sprawę jak zwykłe, szczeniackie wybryki - poskarżyła się. - Jakby we Fleę rzucono torebką z wodą.

- Śledztwo nic nie wykazało - tłumaczył. - Nie tylko w sprawie zdarzenia u Bettiny, ale i poprzednich incydentów. Wiedzą, że pracuję nad sprawą, i o wszystkim będę ich informował na bieżąco.

- Dobrze, w takim razie ja też tak zrobię - powiedziała, wstając.

On też podniósł się z krzesła.

- O czym mówisz?

- Przeprowadzę własne śledztwo - oznajmiła. - I będę cię na bieżąco informować o postępach.

Patrzyła na niego wyczekująco. Wiedziała, co spodziewała się usłyszeć: że na pewno tego nie zrobi, że mogłoby jej się coś stać, że mogłaby zginąć, więc dobrze, będą współpracować, ale on jest szefem, a ona powinna zawsze o tym pamiętać.

- Nie zrobisz tego - zaczął.

Przez jej umalowane na czerwono usta przebiegł cień uśmiechu.

.- Zaczniemy w sobotę wieczorem, podczas zjazdu absolwentów - powiedział z nadzieją, że nie popełnia ogromnego błędu. Przynajmniej,

współpracując z nią, mógł ją mieć na oku. Miała całkowitą rację co do tego, jak groźny jest sprawca. - Podobnie jak na przyjęciu zaręczynowym, będzie tam większość podejrzanych z mojej listy.

- Ale czy nam nic nie grozi? - zapytała.

- Zapewnię wam ochronę - odparł.

Kiwnęła głową.

- Dziękuję ci, Jake. Za to, że pozwoliłeś mi ze sobą pracować. Muszę działać. Muszę pomóc.

- Rozumiem. - Zerknął na zegarek. Za dziesięć minut był umówiony na rozmowę z Bettiną Tutweller. - W takim razie do zobaczenia na zjeździe absolwentów. Spotkamy się na miejscu.

Zamarł, kiedy uświadomił sobie swoje słowa sprzed tamtego szkolnego balu. Chciał po nią pojechać do domu; całe popołudnie mył i polerował swój zniszczony samochód. Holly jednak wolała spotkać się w sali gimnastycznej, gdzie miał się odbyć bal. Był rozczarowany, bo chciał należycie spędzić ten wieczór: przyjechać po nią, zapukać do drzwi, porozmawiać z jej rodzicami, zaczekać w napięciu, aż zjeździe na dół w pięknej sukni z broszką na gorsecie, Ale chciała się z nim spotkać na balu, powiedział więc: „Spotkamy się na miejscu”.

Jeśli nawet pamiętała, to tego nie okazała. Zresztą, dlaczego miałyby pamiętać? Był tylko jej kolegą, nie wielką miłością.

Tymczasem ona była jego wielką, jedyną miłością.

Holly była w Troutville już od dwóch tygodni. Sama nie mogła w to uwierzyć. Jeszcze niedawno nie sądziła, że dotrwa do weekendu. Jednak pozostała tu, mieszkała u kuzynki, spotykała się z przyjaciółkami, spędzała dużo czasu z cicią Louise i Lizzie, no i oczywiście z Jakiem Boone'em.

Oczywiście? W ciągu ostatnich dwóch tygodni widziała go kilka razy. W pierwszych dniach po wypadku odwiedzał Fleę, w dodatku Holly natknęła się na niego w pubie Morrow's. Był dla niej serdeczny: ni mniej, ni więcej. Zapytała, czy jest coś nowego w śledztwie - nie było - i na tym zakończyła się ich rozmowa.

A raczej nie na tym, chyba że miała urojenia. Dziwnie na nią patrzył swoimi inteligentnymi oczami. Nie było w nich gniewu, urazu ani zapiekłej goryczy.

To było spojrzenie pełne... pożądania.

Może zwariowała. Może zbyt długo była sama. Ale Jake patrzył na nią jak mężczyzna na kobietę, która bardzo go pociąga. W tym spojrzeniu nie było nic otwarcie seksualnego. Wyraz jego oczu i mowa ciała świadczyły o głębokim uczuciu.

A dziś mieli się spotkać tam, gdzie się rozstali przed dziesięciu laty. W szkole. Na zjeździe absolwentów.

Trudno uwierzyć, że naprawdę tam pójdę, pomyślała Holly, przeglądając się w lustrze nad toaletką Lizzie. Ona, Lizzie, Gayle i Flea były w sypialni. Lizzie siedziała przy toalecie, bez przekonania robiąc makijaż i smutno zerkając na Fleę, która leżała w łóżku Holly, trzymając na kolanach tacę z ciasteczkami i imbrykiem herbaty oraz gruby romans w miękkiej okładce. Gayle szukała w szafie Lizzie seksownych butów, w których chciała podbić serce szefa, również zaproszonego na bal. Na szczęście nosiła ten sam rozmiar co Lizzie.

- To naprawdę nie będzie w porządku, jeśli pójdziemy na głupi zjazd absolwentów, kiedy Flea jeszcze nie wyzdrowiała - powiedziała Lizzie, mechanicznym ruchem nakładając róż na policzki. - Może lepiej dajmy sobie spokój ze zjazdem, zostaniemy tutaj i przegadajmy całą noc. Jak za dawnych, dobrych czasów.

Żadna z nich nie ucieszyła się z tego pomysłu. Dawne czasy wcale nie były dobre, ale przynajmniej nikt nie rzucał kamieniami ani nie zostawiał sterty ziemi na łóżku. Teraz przyjaciółki musiały się trzymać razem, dla bezpieczeństwa. Nie mogły ani na chwilę zapomnieć o groźnych wydarzeniach.

Minał tydzień, odkąd Flea została ranna w salonie Bettiny. Nie wydarzył się żaden incydent, a śledztwo nie posunęło się ani krok naprzód. Flea dochodziła już do siebie. Lekarz z izby przyjęć poradził jej, żeby wypoczywała dwa tygodnie. Chciała wrócić do pracy, ale Lizzie uparła się, żeby posłuchała zaleceń lekarza. Dziś przyjaciółka nocowała u niej, bo Lizzie miała telewizję kablową, a Flea chciała obejrzeć film o dziewczętej. Pod domem stał ochroniarz.

- Lizzie Morrow, jeśli zostaniesz w domu z mojego powodu, będę się czuła okropnie - oświadczyła Flea. - Mam ciasteczka, świetną książkę i kablówkę. Pełen komfort. Poza tym przecież wiesz, że wolę być w domu niż w tłumie ludzi.

Lizzie wzięła ciasteczko z tacy Flei.

- Wiem, ale to jest zjazd absolwentów naszego rocznika. Czym będzie bez naszej czwórki? W dodatku Holly jest tu z nami. Nie sądziłam, że dożyję tego dnia.

Holly się uśmiechnęła.

- Ja też.

- Lizzie, kochanie - upierała się Flea. - Idźcie i dobrze się bawcie. Czuję się wspaniale tutaj. Zresztą bardzo chcę obejrzeć film, który leci dziś w telewizji. Pamiętaj, co powiedział Jake w zeszłym tygodniu: osoba odpowiedzialna za te wszystkie zdarzenia, może być na balu. Może

ktoś się wygada albo będzie próbował zrobić coś złego i zostanie schwytany na gorącym uczynku.

- Ale... - zaczęła Lizzie.

- Chcesz się sprzeczać z ranną? - zapytała Flea, uśmiechając się szeroko. - Na zjeździe będzie mnóstwo ludzi niezadowolonych z faktu, że nasza Lizzie wychodzi za Dylana Dunhilla.

- Świetnie! - jęknęła Lizzie, opadając na łóżko. - Wspaniały argument, żeby tam iść. Już nie mogę się doczekać, jak wejść do sali pełnej ludzi, którzy mnie nienawidzą i źle mi życzą.

- Pieprzyć ich! - wykrzyknęła Gayle. - Zresztą nie szukamy „mnóstwa ludzi”, ale jednego drania.

- Właściwie - wtrąciła Holly - tego dokładnie nie wiemy. To nie musi być tylko jedna osoba. Mogą być dwie, a nawet więcej.

- Jeszcze lepiej! - Lizzie złapała się za głowę.

Holly usiadła przy kuzynce i wzięła ją za rękę.

- Kochanie, wiesz, że nie chcę cię narażać. Przecież będą nad nami czuwać Dylan, Jake i ochroniarze. Nie obawiam się o nasze bezpieczeństwo.

- A gdzie najprawdopodobniej uderzy sprawca - wtrąciła Gayle - jak nie na zjeździe absolwentów naszej szkoły?

- Kiedy tylko spróbuje - dodała Flea - Dylan i Jake go schwytają.

Lizzie aż podskoczyła.

- O Boże! A jeśli Dylanowi lub Jake'owi coś się stanie? - Znów opadła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach. - Tego już za wiele. Za duże ryzyko. Za duża stawka.

- Żeby złapać tego... człowieka lub grupę ludzi, trzeba się bardzo uważnie rozglądać - stwierdziła Flea. - Myślę, że Jake ma rację. Znajdzie tego potwora wśród nas. Na zjeździe absolwentów, na przyjęciu zaręczynowym albo na ulicy.

- To przerażające - mruknęła Holly.

- Dopadniemy go. Ją. Ich. Wszystko jedno - mówiła Gayle. - Jake jest świetnym detektywem.

- To prawda - potwierdziła Lizzie. - Wiedząc, że Jake pracuje nad tą sprawą, czuję się znacznie lepiej. Bezpieczniej.

- Poza tym to bardzo dobry człowiek - dodała Flea. - Miło z jego strony, że wpadł do szpitala, żeby dowiedzieć się, jak się czuję. W zeszłym tygodniu dwa razy odwiedził mnie w domu. Jeśli ktokolwiek potrafi rozwiązać tę zagadkę, to właśnie Jake Boone.

Oby tak się stało, pomyślała Holly. Bo ja nie mam pojęcia, jak ugryźć tę sprawę. Wstała i podeszła do okna. Czy przeciwnik jest w pobliżu? Obserwuje? Słucha?

Holly zadrżała i zamknęła okno.

- Wciąż nie mogę zrozumieć, że ten psychopata nie zostawił żadnych śladów. Ani razu! - powiedziała, siadając obok Flei. - W filmach nawet najostrożniejsi przestępcy popełniają błędy i zostawiają wskazówki policji.

- Może dziś - zastanawiała się Lizzie - podczas balu ten drań powie lub zrobi coś przeciw sobie. Wszystkie musimy być czujne.

- Chcemy, żeby zaatakował, żebyśmy mogli go schwytać - oświadczyła Holly. - Ale też drżymy o własne bezpieczeństwo.

- Chyba już nie pamiętamy, co to jest poczucie bezpieczeństwa - zauważyła Lizzie. - Chcę zostać w domu z Flea.

- Bo tak jest bezpiecznie - stwierdziła Flea. - Ale tak nie można. Musisz pomóc Dylanowi i Jake'owi złapać tę osobę. Najlepiej, żebyś żyła normalnie i nie pozwoliła się zastraszyć!

- Masz rację, Fleo - zgodziła się Holly. - Ja też boję się o Lizzie, ale całkowicie cię popieram.

Lizzie się wyprostowała.

- Świetnie. Nie dość, że ściga mnie szaleniectwo, to jeszcze muszę pomóc go schwytać. - Uśmiechnęła się blado. - Wiem, że masz rację, Fleo. Ale czy naprawdę uważasz, że powinniśmy iść na bal bez ciebie?

Flea kiwnęła głową.

- Oczywiście. Poza tym przecież wiecie, że nienawidzę przyjęć. Jestem zbyt nieśmiała.

- Jeśli mamy iść, to zacznijmy się przygotowywać - poradziła Gayle. - Bal zaczyna się za czterdzieści pięć minut.

- Nie mam żadnych wieczorowych strojów - wyznała Holly. - Mogę wystąpić w eleganckim kostiumie.

- Niech zgadnę - powiedziała z uśmiechem Lizzie. - Jest beżowy?

- Beż to klasyka - odparła Holly. - Pasuje do wszystkiego.

- Oprócz dobrej zabawy - skwitowała kuzynka. - Beż nie ma nic wspólnego z wesołością.

- Święte słowa - zauważyła Flea.

Gayle wciąż grzebała w szafie Lizzie.

- Och, Holly, chciałabym cię zobaczyć w tym! Ten delikatny róż bardzo by pasował do twoich brązowych włosów i niebieskich oczu. Byłby dramatyczny, a jednak kobiecy... albo... Może to? - Wyciągnęła długą, czerwoną, jedwabną sukienkę. - Liz, co myślisz?

- Będzie ci w tym świetnie, Holly! - wykrzyknęła Lizzie. - Przymierz ją. Ładna, co?

- Rzeczywiście - zgodziła się Holly, gładząc dłonią zwiewny materiał.

- Taka miękka. I ma piękny kolor.

Lizzie wepchnęła Holly za staromodny parawan.

- Szybciotko, kochanie. Masz tylko pół godziny!

Holly zdjęła eleganckie spodnie i bluzkę, po czym włożyła sukienkę. Pasowała jak ulał. Jedwab był bardzo miły w dotyku.

- Dobra?! - zawołała Gayle.

- Idealna! - odpowiedziała Holly. - Lizzie, pożyczysz mi buty? Moje beżowe czółenka raczej nie będą pasować.

Czyjaś dłoń wetknęła za parawan czerwone sandałki na dziewięciocentymetrowych obcasach.

Holly roześmiała się i wsunęła stopy w buty. Na szczęście nosiła ten sam rozmiar co Lizzie.

- Wyjdź już - ponagliła Flea. - Chcemy zobaczyć.

Holly wyszła, a przyjaciółki aż krzyknęły z podziwu.

- Ślicznie wyglądasz! - zachwycała się Lizzie. - Och, Holly, jak prawdziwa księżniczka!

- Tak, tak, tak - wtórowała Gayle. - Czerwień to twój kolor.

- Po prostu ślicznie, Holly - dodała Flea, uśmiechając się słodko. - To cudowna sukienka. Nie mojej roboty, ale jednak cudowna. - Zaśmiała się. - No dobrze, dziewczyny, kończcie przygotowania, bo się spóźnicie.

W ciągu kilku chwili Gayle i Lizzie wyjęły suknie z szafy i włożyły je na siebie.

Lizzie opadła na łóżko obok Flei.

- Bardzo mi głupio. Ja się stroję na przyjęcie, a jedna z moich najlepszych przyjaciółek leży w łóżku, z bandażem na głowie. Nie pójdę.

- Lizzie Morrow - skarciła ją Flea. - Już o tym rozmawialiśmy. Pójdziesz i tyle. Poza tym wyglądasz zbyt pięknie, żeby zostać w domu.

- Tak, Lizzie - poparła ją Holly. Lizzie miała na sobie długą, granatową suknię z jedwabiu, z dużym kwiatem przyszytym do jednego z ramiączek.

- A ja nie mogę się nadziwić, jak ty pięknie wyglądasz, Holly - powiedziała Lizzie. - Ta suknia jest jak komunikat: „Jake'u Boone, nie odezwiesz ode mnie wzroku!”

- Lizzie! - wykrzyknęła Holly zaczerwieniona po uszy. - Wcale nie chcę, żeby Jake na mnie patrzył! Zresztą wcale mu się nie podobam. Wręcz przeciwnie.

- On cię nie pociąga - oznajmiła Lizzie. - Ani trochę.

- Nie - odparła Holly. - Ani trochę.

- Kłamczucha! - zanuciła kuzynka. - Dobrze cię znam, Holly Morrow. Umiem rozpoznać, kiedy jesteś zainteresowana mężczyzną.

Holly miała nadzieję, że nie każdy potrafi czytać w niej jak w otwartej księdze. Czy Jake wie, że jej się podoba? Nie zorientował się, kiedy byli nastolatkami, więc chyba jednak nie była całkiem przejrzysta.

- Widziałam, jak na niego patrzyłaś, kiedy przyszedł w tym tygodniu przesłuchać Fleę - oznajmiła Lizzie. - Już w szkole średniej wiedziałam, że jesteś w nim zakochana.

Holly była czerwona jak burak.

- Wcale na niego nie patrzyłam - skłamała.

W rzeczywistości nie mogła oderwać od niego wzroku. Był taki przystöjny, taki... męski. Taki...

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie jego twarz oraz szerokie ramiona.

- Och, tak, patrzyłaś. - Lizzie się uśmiechnęła. - I wiem, że kochałaś go w szkole średniej. Walczyłaś z tym uczuciem, bo nie chciałaś, żeby zatrzymało cię w Troutville. Kochałaś go jednak. Myślisz, że mogłabyś ukryć coś takiego przed kuzynką? Wiedziałam wszystko, Hol.

- Ja też - dodała Flea z łóżka. -I Gayle.

Holly zagryzła wargę.

-Ja...

- My to rozumiemy - zapewniła Lizzie. - Desperacko chciałaś wyjechać z Troutville. Marzyłaś o tym. Gdybyś poddała się uczuciu do Jake'a, może wcale byś nie wyjechała.

- Bardzo dobrze się stało, że usłyszałaś tamte słowa w wieczór balu, Holly - rzuciła Flea. - Inaczej wyjechałby za tobą, a bardzo chciał zostać w Troutville i udowodnić wszystkim, że się co do niego mylili.

- Pojechałby za mną? - zapytała Holly. - Dlaczego miałyby to zrobić?

- Bo się w tobie kochał - wyjaśniła Flea. - Do szaleństwa.

- Co?! - krzyknęła Holly. - Jake Boone kochał się we mnie?

Lizzie kiwnęła głową.

- Wszyscy to widzieli.

- Oprócz mnie - szepnęła Holly.

- Czasami widzimy tylko to, co chcemy widzieć - powiedziała Flea. Gdybyś dopuściła do świadomości jego uczucia i swoje, oboje zaprzepaścilibyście swoje marzenia.

- Ale ich prawdziwym, największym marzeniem było być razem - zauważyła Lizzie. - Nie?

- Wtedy chciałam tylko wyjechać - przyznała Holly. - Teraz mi tego wstyd, ale wtedy, w wieku osiemnastu lat, nie myślałam o niczym innym.

- Cóż, teraz oboje jesteście dorośli. A tamto nieporozumienie było dawno temu - stwierdziła Lizzie.

- On mnie nienawidzi -jąknęła Holly. - Znienawidził mnie w wieczór tamtego balu i nienawidzi do dziś.

- To nieprawda! - zaprzeczyła Lizzie. - Tak, Fleo? Byłaś tam wtedy. Czy w jego oczach widziałas nienawiść? Czy raczej cierpienie?

Holly zerknęła na Fleę, która zawsze mówiła prawdę, nawet najbardziej bolesną.

Flea milczała.

- Fleo? - zapytała Holly.

.- Nie wiem... Bardzo się wtedy rozgniewał. Ale był taki młody...

Holly odetchnęła głęboko i przejrzała się w lustrze.

- Chyba jednak się przebiorę. Wygodniej mi będzie w kostiumie.

- Pójdiesz w tej sukni, czy ci się to podoba, czy nie - zdecydowała Lizzie. - Nawet jeśli będę musiała pomazać ci marynarkę różową szminką!

- Nie zrobisz tego! - obruszyła się Holly.

- Och, nawet się nie zawaham! - odparła Lizzie z szatańskim uśmiechem. - W końcu byś mi wybaczyła, bo zrobiłabym to w słusznej sprawie, dla miłości twojego życia. - Pomachała szminką i wycelowała ją w Holly. - To jak będzie?

Holly ustąpiła.

- Wygrałaś.

- Szkoda, że nie ma czasu, żeby zrobić ci pedikiur, Holly - powiedziała Flea. - W tych butach powinnaś mieć czerwone paznokcie.

Holly się uśmiechnęła.

- Dziewięciocentymetrowe szpilki i pedikiur? To za dużo jak na jeden wieczór.

Panna Ellie na pewno ucieszyłaby się, widząc Holly w takich butach.

A Jake? - zastanawiała się.

O czym ja myślę? Ten człowiek nie chce nawet pracować ze mną nad naszą wspólną sprawą; ani trochę nie interesuję go jako kobieta. Może kiedyś mnie kochał, jak twierdzą Lizzie i Flea. Ale teraz już nie. Wiem to, bo prawie na mnie nie patrzy.

Zadawała sobie pytanie, z jakiego to tajemniczego powodu on nie chce z nią współpracować. Jeśli nie chodzi o przeszłość, to o co?

Jestem teraz detektywem amatorem, powiedziała sobie. I mam całą noc, żeby rozgryźć tę łamigłówkę. Jeśli nie przewrócę się w tych szpilkach.

Rozdział 7

Jake obserwował tłum gości w sali balowej hotelu Plaza. Ostatnie dni spędził na zbieraniu informacji o swoich dawnych kolegach z klasy, zwłaszcza tych, którzy wciąż mieszkali w Troutville. Spośród dwustu dziesięciu uczniów z ich rocznika siedemdziesięcioro sześćcioro zostało w mieście.

Z łatwością wybrał z tej grupy osoby, które miały coś wspólnego z Lizzie lub Dylanem. Interesowały go dawne związki, sympatie i antypatie. Wyłonił z tej grupy osiemnaścioro dawnych znajomych z klasy, którzy mogli mieć motyw z powodu popularności Dylana i niezasłużonej reputacji Lizzie. Spośród tych osób tylko pięć miało wziąć udział w zjeździe absolwentów.

Jake przyjrzał się liście. Prudence Dunhill. Arianna Miller. Corey Forge. Bobby Jones. Erika Erikson.

Pru należała do kategorii „niełubiących Lizzie”. Arianna była dziewczyną Dylana w szkole średniej i wszyscy wiedzieli, że wciąż się w nim kocha. Corey Forge był z Lizzie w szkole średniej i załamał się, kiedy go rzuciła. Jake dobrze o tym wiedział, bo wraz z Coreym po szkole pracował w supermarkecie Mott's. Chłopak bez przerwy mówił, jak bardzo Lizzie go skrzywdziła.

Jake uśmiechnął się na to wspomnienie. Myślał wtedy: „Nie narzekaj, bo ty przynajmniej jesteś ze swoją miłością”. Holly przychodziła do sklepu po artykuły spożywcze dla rodziców swoich lub Lizzie (Lizzie nie wchodziła do Mott's, bo Corey na jej widok zaczynał głośno śpiewać romantyczne piosenki), a Jake zachowywał się najswobodniej, jak potrafił. Holly niby była tylko przyjaciółką, ale gdy ją widział, drżały mu kolana i szalały zmysły.

Corey Forge był teraz głównym mechanikiem w najlepszym warsztacie w Troutville i Jake czasami go widywał. Facet nie mógł się nadziwić, że miał tyle kobiet, a żadna nie zbliżyła się nawet do jego ideału.

Lizzie?

Czy Corey był tak zakochany w Lizzie i tak zazdrosny o jej zaręczyny z Dylanem, że przekroczył wszelkie granice?

Bobby Jones. Jake pokręcił głową na myśl o ociężałym, hałaśliwym chłopaku z Górnego Troutville. Bobby szalał za Arianną Miller, ale ona widziała tylko Dylana. Bobby wdał się w niejedną bójkę z Dylanem i przegrał.

Bobby był prawdziwym „dopustem bożym”, jak mawiała babcia Jake'a. Lubił się chwalić, zwłaszcza swoimi podbojami miłosnymi. W szkole

średniej prowadził listę w jednej z kabin w toalecie na drugim piętrze. Prawie codziennie dopisywał jakąś nową dziewczynę. Holly, Lizzie i Gayle zawsze były na liście. Czasami Holly pojawiała się dwa razy tego samego dnia - i to w dni, gdy nawet nie było jej w szkole, albo w wieczory, które spędzała u babci w innym miasteczku. Jake codziennie zamazywał nazwiska czarnym flamastrem.

Kiedyś Bobby i jego kumple postanowili dowiedzieć się, kto zamazuje nazwiska. Gały dzień czatowali - na zmianę - w sąsiedniej kabinie. Gdy Jake wyszedł stamtąd, żeby umyć ręce, chwycili go, a któryś z łobuzów zajrzał tam, żeby sprawdzić, czy dopisane rano nazwisko jest czytelne.

Jake został przyłapany cztery razy - i cztery razy mocno oberwał w brzuch. Dwa razy Bobby rzucił się na niego po szkole i zagroził, że go zabije, jeśli jeszcze raz „popieprzy coś w liście dziwek”. „No to, już, zabij!” - wrzasnął Jake, plując krwią z rozciętych ust, ale Bobby już sobie poszedł.

Jake wciąż zamazywał nazwiska, a Bobby wciąż go napadał. Czasami bójkę wygrywał Bobby, czasami Jake. Raz, w połowie walki na trawniku za szkołą, Bobby powiedział:

- Wiesz, że szanuję to, co robisz, ale i tak muszę ci dokopać.
- A ty wiesz, że uważam cię za największego palanta na świecie - odparł Jake.

I bili się dalej.

Walki trwałyby jeszcze dłużej, po ukończeniu szkoły, gdyby Jake nie został policjantem. Mijając Bobby'ego na ulicy, poklepywał kaburę i kiwał głową.

- Ładny dziś dzień, Bob - mówił i szedł dalej.

Właściwie uważał Bobby'ego za nieszkodliwego byczka, który natychmiast się wycofuje, czując, że przeciwnik jest silniejszy.

Podejrzana numer pięć ze szkoły średniej w Troutville, Elissa Erikson, była koleżanką Arianny i Pru. Nigdy nie była związana z Dylaniem ani nie zasłynęła z nienawiści do nikogo - uważano ją za sympatyczną, ale jednak przyjaźniła się z Arianną i Pru. Ponieważ przyjechała na zjazd, Jake uznał, że warto ją obserwować.

W sali balowej hotelu rozlegały się krzyki:

- Patrzcie, kto to!
- Wcale się nie zmieniłeś!
- Ten sam nadęty dupek - powiedział męski głos.

Jake odwrócił się i zobaczył Coreya Forge'a, w marynarce od garnituru i dzinsach. Corey patrzył na Dylana, który właśnie wszedł z Lizzie.

W sali zapadła cisza.

Jake szybko się rozejrzał. Wszystkie oczy były zwrócone na tę parę.

Ale on patrzył na kobietę, która weszła za Lizzie i Dylanem. Na piękną kobietę w czerwonej sukni, z lśniącymi, brązowymi włosami opadającymi na ramiona.

Och, Holly, pomyślał. Jak to możliwe, że wciąż tak bardzo na mnie działasz?

- A to ci oryginalna para - zarechotał Corey wskazując podbródkiem Dylana i Lizzie. - Tych dwoje? Skąd! Nic ich nie łączy. On dostaje świetny seks, a ona biżuterię i kolacje w eleganckich restauracjach. Tylko o to tu chodzi!

- Wybacz, Corey- Jake nie wytrzymał - ale sędzę, że Dylan i Lizzie naprawdę się kochają.

Prychnął.

- Wiem, co to jest miłość. Wreszcie znalazłem swoją drugą połówkę, której szukałem całe życie. - Pomachał do rudowłosej kobiety, zmierzającej w ich kierunku z dwoma kieliszkami wina. - Gino, poznaj mojego starego kumpla. To jest Jake Boone. Pracowaliśmy razem w Motfs i...

Corey gadał, wymarzona kobieta słuchała każdego jego słowa, uśmiechając się i potakując, a Jake rozglądał się, szukając wzrokiem Bobby'ego i Eriki.

- Jesteśmy! Można zacząć imprezę! Hej!

Na salę weszły Pru, Arianna i Erika. Przepychając się przez tłum, dotarły na środek parkietu i zaczęły tańczyć. Rozległ się chórek:

- Mój Boże, to Pru! To Arianna. To Erika! Ślicznie wyglądacie! Nie zmieniłyście się ani trochę!

Pru i Arianna z pewnością się nie zmieniły. Pru złapała Erikę za rękę i pociągnęła za sobą, żeby szepnąć jej coś do ucha. Erika skrzywiła się i odsunęła. Pru szarpnęła znowu, a Erika ją odepchnęła - prosto na stojącą za nią kobietę.

Niezła awantura wisała w powietrzu.

Jake pokręcił głową. Tego można było się spodziewać. Ale trzy przyjaciółki zaraz zaczęły się obejmować, śmiać i tańczyć.

- Dobrze, że nie było mnie na parkiecie. W tych butach chyba bym nie przeżyła.

Jake odwrócił się i zobaczył Holly, przyglądającą się swoim sandałkom na wysokim obcasie. Nawet stopy miała piękne.

- Bardzo ładnie wyglądasz...- To było stanowczo za mało powiedziane. - Cieszę się, że przyszłaś.

- Dziękuję. Chyba powinnam powiedzieć, że też się z tego cieszę, ale na razie się wstrzymam.

- Jak się tu czujesz? - zapytał.

- Dziwnie. Patrzą na te same twarze, no, dziesięć lat starsze, ale czuję, że już nic mnie z nimi nie łączy. Pamiętasz wakacyjną potańcówkę w trzeciej klasie?

Jake nigdy by tego nie zapomniał. Wybrali się tam grupą: on, Holly, Corey, Lizzie, Gayle z chłopakiem oraz Felicia. Choć zdarzyło się to ponad dziesięć lat temu, wciąż pamiętał wszystkie szczegóły: białą sukienkę w różyczki, którą miała na sobie Holly, zapach jej włosów... a także wyzwiska, które zaczęły się, gdy tylko weszli na salę.

- Patrzcie, to Ladacznica Lizzie, Puszczalska Holly, Brudna Flea i Rozrywkowa Gayle! - krzyknęła Arianna. - Chłopcy, do kolejki!

Rozległ się śmiech. Kilku chłopaków na wyścigi ustawiło się w kolejce. Żartowali, kto pierwszy.

- Nie, ty wyciągnąłeś najkrótszą słomkę w losowaniu, więc dostanie ci się Brudna Flea! - krzyknął jeden.

- Spokojnie, po prostu włóż jej worek na głowę albo i na całe ciało, oprócz najważniejszych części, a będzie jak każda inna dziewczyna! odpowiedział drugi.

Znów salwy śmiechu.

Cztery dziewczyny i ich przyjaciele zamarli, oszołomieni. Stali, otoczeni tłumem wrogo nastawionych ludzi, aż Felicia wybiegła z sali.

- Nienawidzę was wszystkich! - krzyknęła Lizzie.

- Do diabła z wami! - wrzasnęła Gayle do chłopaków, stojących w kolejce.

A Jake czuł się bezradny, postąpił więc tak jak zawsze. Rzucił się w tłum, wymachując pięściami. Pomagali mu Corey, chłopak Gayle, który wstąpił do wojska i wyniósł się z miasta, oraz dwóch chłopaków z Dolnego Troutville. Jak zwykle, porządnie oberwali.

Dylan Dunhill nigdy nikogo nie wyzywał ani nie brał udziału w bójkach. Był na parkiecie; wchodząc na salę, Jake widział go tańczącego z Arianną, która była wtedy jego dziewczyną. Po okrutnych słowach Arianny szepnął jej coś do ucha i wyszedł. Potem zaczęła się bójka i Jake już go nie widział.

Dylan na pewno skarcił Ariannę i pojechał do domu, nie chcąc jej widzieć. Taki był Dylan, którego znał teraz. Ale wtedy Jake pomyślał, że Dylan po prostu powiedział Ariannie, by przysłała na krótki numer do samochodu.

To był okropny wieczór. Ostatnia potańcówka, na jakiej był z Holly. Musiał ją długo przekonywać, żeby jednak wybrała się na bal z okazji ukończenia szkoły. A potem ona wszystko zepsuła.

Teraz patrzył na nią i nie wiedział, co myśleć o tamtych wydarzeniach. W przeszłości nie było im łatwo: jako dzieci i nastolatki próbowali zrozumieć rzeczywistość i siebie samych. Chciał wziąć Holly w ramiona i powiedzieć, żeby zapomnieli o wszystkim i zaczęli od nowa jako dorośli. Kiedyś byli przyjaciółmi, teraz powinni zostać kochankami.

Ale on sam za bardzo się wszystkim przejmował.

Ktoś postukał w mikrofon, wrywając Jake'a z rozmyślań.

- Witam na zjeździe! - powiedział Michael Donner, dawny przewodniczący samorządu klasowego. - Fantastycznie jest zobaczyć tyle znajomych twarzy... - mówił dalej, a gdy odczytywał listę osób, które przyszły na spotkanie, wybuchały brawa i okrzyki. Kiedy wesołym tonem ogłosił, że dwie osoby z rocznika niedawno się zaręczyły i że jest to najbardziej nieprawdopodobna para, przez tłum przeleciał szmer wyczekiwania. W końcu powiedział:

- No dobrze, nie będę was już trzymał w niepewności. Chodzi o Dylana Dunhilla, gwiazdę futbolu, króla balu i najpopularniejszego ucznia, oraz Lizzie Morrow!

Dylan wybrał właśnie tę chwilę, żeby namiętnie pocałować Lizzie.

Rozległo się kilka stłumionych okrzyków zdziwienia, ale Jake zauważył, że mało kogo ta nowina poruszyła. Większość wróciła do rozmów z kolegami. Oczywiście parę osób nie mogło się powstrzymać od komentarza.

- Mój brat jest filantropem - sztychła Pru. - Żał mu tej gorszej. Wiercie mi, kiedy zobaczy, jaką wredną oportunistką jest Lizzie Morrow, rzuci ją. Nie ożeni się z tą dziwką.

Gayle, która stała obok, stłumiła okrzyk oburzenia. Pru urwała i wbiła w nią wzrok.

- Oj, usłyszałaś? - zapytała, udając, że się wstydzi, a potem beczelnie zachichotała.

Holly zerknęła na Lizzie i Dylana, rozmawiali z grupką ludzi. Jake wyczytał z jej miny: poczuła ulgę, że Lizzie nie słyszała słów Pru.

- Powinnaś sobie znaleźć jakieś zajęcie - odparła Gayle. - Szkoda mi czasu na przrzucanie się z tobą dziecinnymi wyzwiskami. Zaczynj wreszcie żyć własnym życiem.

Pru się zmieszała - tylko przez chwilę - ale zaraz się roześmiała.

- Prędeż piekło zamarnie, niż Rozrywkowa Gayle mnie urazi.

Gayle potrząsnęła głową.

- Jesteś godna ubolewania. Godna ubolewania i żałosna. Szkoda mi czasu i energii na rozmowę z tobą.

- Masz całkowitą rację, Gayle - powiedziała Holly, stając przy przyjaciółce.

- Przyniosę wam po kieliszku wina - powiedział Jake do Gayle i Holly. Zerknął na Pru i zobaczył, jak zeszywniała; ledwie to było widać, bo Pru zawsze panowała nad sobą. Ale Gayle na pewno ją dotknęła. Pru nie była przyzwyczajona do lekceważenia. Jake spodziewał się, że będzie się zachowywać tak, jakby w ogóle nie słyszała słów Gayle. Ale słowa te na pewno jej dopiekły, zwłaszcza że padły przy nim. Gdyby następnego dnia zapytał Pru, czy rozmawiała z Gayle Green podczas zjazdu absolwentów, odpowiedziałyby, że nie, i byłaby o tym święcie przekonana. Często tak robiła. Po prostu nie przyjmowała do wiadomości „tego, co nieprzyjemne”, nawet jeśli sama sprowokowała sytuację. Jake widział ją już w akcji, gdy jakaś koleżanka pozwoliła sobie na uwagę o romansach jej ojca.

- Mój ojciec nigdy nie miał romansu - stwierdziła Pru poważnie.

Następnego dnia, gdy Jake natknął się na nią w kawiarni i poradził, żeby nie przejmowała się plotkami, nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

Możliwe, że to Pru Dunhill odpowiada za ataki na Lizzie i jej przyjaciółki. I wyparła to ze swojej świadomości. Ale Jake nie wierzył, żeby to ona była sprawcą. Pru zawsze wolała walkę z otwartą przyłbicą. Owszem, była wredna, przypuszczał jednak, że stoi za tym ktoś inny.

Jedna z koleżanek odciągnęła Pru na parkiet. Po chwili Pru śmiała się i tańczyła, jakby nic się nie stało.

- Podła baba! - mruknęła Gayle. - Dziękuję za wino, Jake. Wypiję trochę, a potem pójde poflirtować z moim przystojnym szefem, który właśnie się pojawił.

Jake i Holly z uśmiechem patrzyli, jak Gayle tanecznym krokiem oddała się w stronę szefa.

- Podziwiam Gayle i Lizzie, że potrafią się nie przejmować - wyznała Holly, biorąc od Jake'a kieliszek.

- Długo trwało, zanim ją się tego nauczyłem. Kiedyś denerwowałem się z byle powodu. Wszystko brałem do siebie. Nie rozumiałem, że trzeba puszczać złośliwe uwagi mimo uszu, a wtedy nie sprawią mi przykrości.

To dlatego twoje słowa w czasie balu omal mnie nie zabiły, chciał dać.

„On uosabia wszystko, od czego uciekam... Wszystko, czego tu nienawidzę”.

- Wiem, co masz na myśli - odparła. - I ja potrzebowałam dużo czasu, żeby to zrozumieć. Wiesz, Pru wzbudza we mnie litość. Ale gdyby miała w sobie choć odrobinę przyzwoitości, byłoby mi jej bardzo żal.

- Uwaga wszyscy! - zawołała Arianna. - Formularze głosowania leżą na stoliku przy wejściu!

Gayle podbiegła do Holly i Jake'a.

- Głosowania? - zapytała zdziwiona. - Wątpię, żeby ten pomysł został zatwierdzony przez komitet zjazdu.

- Według mnie zabrakło tu pewnej kategorii - ryknął niski, męski głos. - „Ten, który kupi sobie wszystko za pieniądze?” Zagłosuję na Dylana Dunhilla!

W tłumie gości rozległy się szmery i stłumione okrzyki, a potem tępy odgłos uderzenia.

Czerwony jak burak Bobby Jones, z butelką piwa w jednej ręce i formularzem głosowania w drugiej, przeszedł chwiejnie kilka kroków, a potem potknął się o własną nogę i upadł.

Wokół niego zebrał się tłumek.

- Chyba zemdłał! - powiedziała jakaś kobieta.

Jake przykląkł przy Bobbym i zbadał mu puls. Zapach alkoholu ział ze wszystkich porów jego skóry.

- Nieprzytomny. Pomóżcie mi przenieść go na kanapę w holu.

Pobiegli trzej mężczyźni. Razem przenieśli wysokiego, dobrze zbudowanego Bobby'ego ciemnym korytarzem do holu i ułożyli go na kanapie, gdzie mógł spać spokojnie - do chwili, kiedy się obudzi lub spadnie.

- Naprawdę czuję się jak w szkole - powiedziała Holly. - Znów wszystkie te głupie animozje!

Jake kiwnął głową.

- Tak. To rzeczywiście głupie. Chowanie urazy nie przyniesie nic dobrego.

Holly spojrzała na niego poważnie swoimi niebieskimi oczami.

- Wtedy wszyscy byliśmy tylko dziećmi. Dlatego teraz tak trudno się z tym pogodzić. Byliśmy dziećmi, niewinnymi dziećmi. Krzywdziliśmy się. Jedni drugich i samych siebie. - Potrząsnęła głową.

- Chodźmy odetchnąć świeżym powietrzem - zaproponował Jake. Holly skinęła głową, i poszli do ogrodu przy hotelu. - Usiądziemy?

Usiadła na białej, drewnianej ławce, a on obok, bardzo blisko niej. Czuł jej udo przy swoim, jej ramię, które go dotykało. Przez chwilę wydawało mu się, że wrócił do czasów, gdy jeszcze miał nadzieję.

- Dlaczego Bobby wziął się na Dylana? - zapytała Holly.

- Bobby kochał się w Ariannie i to się chyba nie zmieniło. A ona zawsze interesowała się tylko Dylaniem. Raz czy dwa wykorzystała Bobby'ego, żeby spróbować wzbudzić w Dylanie zazdrość. Oczywiście skutek był odwrotny: to Bobby stał się zazdrosny o Dylana.

Zamarła na chwilę i mocno ścisnęła jego ramię.

- Czy Bobby może być sprawcą? Napisał listy, rzucił kamień?

- Możliwe. Chociaż raczej powinien być wdzięczny Lizzie, że sprząta Dylana Ariannie sprzed nosa.

- No, no, Jake'u Boonie, a ja wszędzie cię szukam!

Pru Dunhill.

- I znalazłaś - odpowiedział. - Oczywiście pamiętasz Holly Morrow.

- Nie, chyba nie. - Pru obróciła się na swoich wysokich obcasach. Stała po jego stronie ławki, tak blisko, że musiał się odsunąć, żeby nie ocierała się o niego piersiami. - Moja droga - powiedziała do Holly. - Przepraszam, ale twoje nazwisko wyleciało mi z głowy. Jestem Pru Dunhill. Bądź tak dobra, przynieś nam dwa kieliszki szampana. Chcemy coś uczcić.

Holly osłupiała.

- Chyba pomyliłaś mnie z którąś ze swoich pokojówek.

Pru wbiła w nią wzrok. Najwyraźniej nie spodziewała się takiej riposty. Szybko się pozbierała, ale Jake zauważył, że już drugi raz w ciągu godziny coś ją dotknęło. Pru była przyzwyczajona, że onieśmiela ludzi. Kiedyś Holly się jej bała i uciekała ze łzami w oczach.

Tamte czasy już minęły.

- Och, jest Laureen! Nie widziałam jej tyle lat! Jake, spotkamy się później. Zarezerwuj dla mnie jeden taniec - powiedziała i poszła sobie.

- Nie do wiary...! - Holly potrząsnęła głową. Spojrzała na niego. - Czy ty i Pru...

Przerwał jej w pół słowa:

- Nawet tego nie sugeruj!

Kiwnęła głową. Jake odniósł wrażenie, że przez jej usta przemknął cień uśmiechu.

- Hej, wy dwoje! - zawołała Lizzie, wychodząc do ogrodu. - Spójrzcie na to!

- Lizzie, mówiłem ci, żebyś to wyrzuciła - złościł się Dylan. - To zwykłe docinki, a ty, przejmując się nimi, dasz satysfakcję oszczercom. To nasz zjazd absolwentów i jesteśmy tu, żeby się dobrze bawić.

- Masz rację, kochanie - zgodziła się Lizzie. Zmięła kawałek papieru i wrzuciła go do kosza na śmieci przy ławce. - Wiedziałam, że jest powód, żeby za ciebie wyjść - zażartowała.

Dylan pocałował ją w nos.

- Hej, grają naszą piosenkę. Zatańczmy!

Lizzie uśmiechnęła się i puściła oczko do Holly. Dylan tanecznym krokiem zaprowadził ją do sali balowej.

- Są tacy zakochani - rozmarzyła się Holly.

- Miło na nich patrzeć - odparł Jake. - A już zaczynałem sądzić, że ta cała miłość to bujda.

- Nigdy nie byłeś zakochany? - zapytała ostrożnie Holly.

Zakasłał, żeby ukryć zaskoczenie.

- Raz w życiu.

- I co? - zapytała.

- To co zwykle - odparł krótko. - Wróćmy lepiej do sali i sprawdźmy, czy Bobby wciąż jest nieprzytomny i co kombinują te trzy wiedźmy.

Poczuł na sobie jej wzrok. Spojrzał jej w oczy. Nagle z hotelu wyszła jakaś para, ze śmiechem wskazując gwiazdy, i czar prysł.

- Jake zaczekaj chwilę - szepnęła Holly, patrząc gdzieś za ozdobną, żeliwną furtką, prowadzącą do leśnej drogi. - Czy to Pru?

Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć w półmroku. Około stu metrów dalej, częściowo ukryci za dużym drzewem, stali mężczyzna i kobieta. Z ich gestów można było wyczytać, że się kłóca.

O, tak. Zobaczył błysk blond włosów, gdy kobieta dramatycznie potrząsnęła głową, oraz długą, smukłą, białą nogę ze stopą w sandale na wysokim obcasie. To była Pru Dunhill.

Ale z kim się kłóciła?

- Widzisz, kto to? - zapytała Holly.

Jake pokręcił głową. Mężczyzna w bejsbolówce, która przykrywała jego włosy i rzucała cień na twarz, był wysoki - miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu - i potężnie zbudowany, ale Jake nie potrafił określić jego wieku.

- Podejdźmy powoli, naturalnie, do furki. Pamiętaj, nie patrz w ich stronę. Może uda nam się coś zauważyć z tamtej strony.

Z otwartych okien sali balowej popłynęły łagodne tony piosenki Franka Sinatry i kilka par na trawniku zaczęło tańczyć.

- Dzięki Frankowi mamy wspaniały pretekst, żeby zbliżyć się do furki - powiedział Jake, wyciągając rękę. - Zatańczymy?

Holly ujęła jego dłoń, a on otoczył ramieniem jej szczupłą talię. Stali blisko siebie, czuł woń perfum, których zawsze używała, i świeży zapach jej jedwabistych włosów. Ich usta były zaledwie kilka centymetrów od siebie... tak blisko, a zarazem tak niesłychanie daleko. Przez ułamek sekundy pozwolił sobie patrzeć na te usta, zmysłowe i czerwone jak maliny, marzył o nich tyle lat...

- O, mój Boże, Jake...! - krzyknęła cicho Holly. - Ona podniosła kamień z ziemi.

Tańcząc, Jake doprowadził Holly do furki. Pru rzeczywiście miała w dłoni duży kamień. Wielkie nieba, czy chciała nim uderzyć tego faceta?

Pru z całej siły rzuciła kamieniem w pobliskie drzewo, płosząc wieiórkę, która przemknęła wysoko po gałęziach na inne drzewo.

Mężczyzna wbił wzrok w ziemię, potrząsając głową. Pru wydawała się żądać od niego czegoś, czego on nie chciał zrobić.

Czego żądała? I kim on był?

Przesuń się kawałek, Jake mówił w myślach do mężczyzny. Chociaż o pół metra, żeby liście drzewa nie zasłaniały cię przed światłem księżyca.

On jednak stał nieruchomo. Patrzył na ciemne niebo i posplatane gałęzie drzew. Potem jeszcze raz potrząsnął głową i odszedł w las.

Pru pobiegła za nim, wymachując rękami, ale on się nie zatrzymał. Wreszcie przystanąła. Ciepły, letni wiatr odgarniał pasma włosów z jej twarzy.

Gdy mężczyzna zniknął, Pru podniosła i rzuciła kolejny kamień, a potem jeszcze jeden.

Jake i Holly spojrzeli na siebie, a potem znów na Pru Dunhill.

- Może pokazała mu, jak mocno ma rzucić następnym razem, kiedy przyjdzie kolej na Lizzie. Albo na mnie - powiedziała Holly, zbladła, zamknęła oczy i westchnęła.

- Nie stawiaj jej to w najlepszym świetle - zgodził się Jake, obserwując Pru. Spojrzała w stronę furki, a potem szybko podeszła do bocznej ściany hotelu. Miał przeczucie, że wejdzie frontowymi drzwiami, a potem ukaże się w drzwiach do ogrodu, jakby cały czas była w sali balowej.

Pojawiła się tam już pięć minut później, w nienagannej fryzurze i ze świeżą warstwą czerwonej szminki na ustach. Ale gdy podeszła do grupki koleżanek - tańczących w rytm piosenki Madonny - jedna z nich, Lauren, wskazała na jej sandały i zaśmiała się.

Uśmiech zniknął z ust Pru tylko na chwilę, gdy zdrapywała liść z obcasa. A potem było już jak zwykle. Tańczyła, śmiała się, a nawet pozwoliła, żeby jakiś kretyń z jej klasy klepnął ją w tyłek, chociaż zaledwie przed kilkoma minutami nawymyślała mężczyźnie w lesie.

Jake postanowił za wszelką cenę dowiedzieć się, o co się kłócili.

- Czy teraz jest na liście podejrzanych? - zapytała Holly, unosząc brew.

Jake spojrział na nią i kiwnął głową.

- To dziwne, że Pru wymyka się do lasu podczas balu i kłóci się z obcym mężczyzną.

- Zgadzasz się, że mogła go zaangażować jako „płatnego zabójcę”? - zapytała Holly. - To on odwała za nią czarną robotę.

- Możliwe - potwierdził Jake.

- Dobrze - powiedziała Holly. - A więc to tak. Przypuszczam, że jest bardzo wysoko na liście podejrzanych?

Westchnął ciężko i kiwnął głową.

Holly, Lizzie i Gayle czuły ogromną ulgę, że podczas zjazdu absolwentów nie wydarzyło się nic złego. Następnego ranka wszystkie obudziły się głodne jak wilki. Gdy Lizzie i Holly szykowały się, by wrócić do domu, Flea spała na kanapie, z otwartą książką na piersi. Przyjaciółki po cichu wyłączyły telewizor i zgasiły światło, ale miała lekki sen, więc obudziła się i natychmiast zaczęła wypytywać o zjazd.

- Żałuj, że nie słyszałaś, jak Gayle dała popalić Pru Dunhill! - powiedziała Lizzie. - Była świetna!

Mam tylko nadzieję, że Pru się nie zemści, pomyślała Holly, kładąc się do łóżka. Jeśli to ona stała za poprzednimi napaściami, kto wie, co wymyśli teraz.

Holly całą noc przewracała się z boku na bok, zastanawiając się, o czym Pru Dunhill rozmawiała z mężczyzną w lesie. Czy planowała kolejną zagrywkę? Nalegała, żeby był bardziej okrutny? Żeby ciężkim kamieniem uderzył jeszcze jedną z przyjaciółek?

Brzuch, plecy, brzuch, plecy. Obracała się w tę i z powrotem. Nie mogła odpędzić straszliwych myśli. Była przerażona. Bardzo. I martwiła się o przyjaciółki.

Zastanawiała się, czy nie powiedzieć Lizzie, Gayle i Flei o tym, co widziała, ale podczas krótkiego prysznicu rano postanowiła, że posłucha sugestii Jake'a i zaczeka, aż będą mieli dowody.

- Źle to wygląda - powiedział poprzedniego wieczoru. - Ale dopóki nie będziemy mieli pewności, że Pru wynajęła tego mężczyznę, żeby skrzywdził Lizzie i jej druhny, lepiej nie mówmy nikomu o tym, co widzieliśmy. Najpierw spróbujmy ustalić, kim jest.

Prysznic pomógł jej pozbiierać myśli. Zeszła na dół, żeby upiec swoje sławne czekoladowe babeczki. Wtedy zawsze zapominała o zmartwiegniach. Przesiewała mąkę i odmierzała cukier łyżkami, podśpiewując pod nosem, a po trzydziestu minutach nagle zdała sobie sprawę, że babeczki siedzą w piecyku, a jej nastrój bardzo się poprawił.

Po godzinie, gdy Holly postawiła na stole tacę z pysznymi, czekoladowymi babeczkami własnej roboty, wszystkie trzy natychmiast po nie sięgnęły.

- Z radości, że wczorajszy wieczór tak się udał, zrezygnuję z diety. Ale tylko na dziś rano - powiedziała Lizzie ze śmiechem.

- Pycha! - wykrzyknęła Flea, oblizując palce. - W życiu nie jadłam takich dobrych babeczek! Holly, nie miałam pojęcia, że twoje wypieki są tak wspaniałe!

- Holly jest w tym mistrzynią - oświadczyła Lizzie. - To jej hobby.

- Cóż, jeśli ktoś chce jeszcze, upiekłam dwie blaszki. - Holly puściła do nich oko.

- Słuchajcie... - zaczęła Flea, sącząc sok pomarańczowy. - Bardzo się cieszę, że wczoraj nie wydarzyło się nic złego, ale to oznacza, że Jake nie mógł złapać winowajcy na gorącym uczynku. Drań wciąż jest na wolności.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Lizzie. - Miałam nadzieję, że ktoś będzie próbował utopić mnie w wazie z ponczem, wtedy Jake i Dylan by go schwytali, a nasze życie wreszcie wróciłoby do normy.

- Ciekawe, że Bobby Jones przespał większą część wieczoru i żadnej z nas nie stało się nic złego - zauważyła Holly i ugryzła babeczkę. Jake powiedział, że Bobby obudził się wcześniej rano na hotelowej kanapie, zażądał piwa i został aresztowany za zakłócanie porządku.

Myślała, że mają jedną, główną podejrzaną- Pru, ale Bobby także mógł być sprawcą.

Lizzie zamarała z babeczką w rękę.

- No tak, Hol! Nie pomyślałam o tym!

- Od dawna jest wrogiem Dylana... - wtrąciła Flea. - Ale nie Lizzie.

Lizzie westchnęła.

- To takie głupie. Oj... Dobrze, że już po zjeździe. Sama nie wiem, czy się cieszę, że tam byłam. Owszem, pokonałyśmy strach, ale czy było warto? Atmosfera była taka sama jak w szkole.

- Dlaczego? - zapytała Flea. - Co się stało? Myślałam, że dobrze się bawiłyście.

- Tak, nie licząc zwykłych przykrości - wyjaśniła Lizzie. - Wyzwisk i głosowań.

- Głosowań? - powtórzyła Flea.

Lizzie potrząsnęła głową.

- „Uczennica, która pewnie zostanie gwiazdą porno mimo brzydkiej twarzy i kiepskiego ciała - Lizzie Morrow”. „Uczennica, która pewnie trafi do Księgi rekordów Guinnessa z powodu największej liczby partnerów seksualnych - Holly Morrow”. Takie tam.

Holly upiła łyk kawy.

- Nie do wiary. Czy Pru i Arianna nie zdają sobie sprawy, że mają już dwadzieścia dziewięć lat? Że są dorosłe?

- Nienawidzę ich! - wycodziła Flea przez zęby. - Czasami mam wielką ochotę zemścić się na nich!

- Dylan wczoraj słusznie poradził nam, żebyśmy nie zwracały uwagi na ich dziecinne zachowanie - powiedziała Holly. - Ma rację. Denerwując się, tylko dajemy im satysfakcję.

- Czyż Dylan nie jest cudowny? - zapytała Lizzie z rozmarzoną miną.

- Wiecie, że wczoraj wieczorem, kiedy zasnęłyście, przyszedł posiedzieć ze mną na ganku? Rozmawialiśmy, trzymając się za ręce. Najbardziej

lubię te chwile, gdy jesteśmy tylko we dwoje. Nie liczą się pieniądze, drogie samochody, eleganckie domy ani inni ludzie. Tylko my.

- Bardzo mi przykro, że z mojego powodu wróciłyście wcześniej. - Flea poprawiała czarny szalik, co zawsze świadczyło o jej zdenerwowaniu. - Nie musieliście tego robić.

- Dla ciebie wszystko, Fleo - zapewniła ją z uśmiechem LizzieL - Zrobiłabym wszystko dla każdej z was.

Flea odwzajemniła uśmiech.

- Wiem, Lizzie. Dlatego uszyję ci taką suknię, jaką wybrałaś u Bettirty. Nie, nawet nie próbuj protestować. Już zamówiłam materiał. Przywiozą go jutro.

Lizzie poderwała się z miejsca i uściskała Fleę.

- Jesteś kochana! Jak myślisz, wyzdrowiejesz przed przyjęciem zaręczynowym?

- Mam taką nadzieję - odparła Flea. - Lekarz mówi, że powinnam leżeć dwa tygodnie, lecz czuję się już znacznie lepiej. Czasami trochę kręci mi się w głowie, ale do przyjęcia jeszcze sześć dni. Zdażę wypocząć.

Lizzie zmarszczyła brwi.

- Przełożę przyjęcie. Jak mogłabym świętować zaręczyny bez jednej z moich najlepszych przyjaciółek?

- Niczego nie przełożysz. - Flea się uśmiechnęła. - Nawet jeśli nie będę miała siły przyjść, będę z tobą duchem. Za to na pewno zatańczę na twoim weselu.

- Felicia Harvey w tańcu? - zapytała Lizzie z szerokim uśmiechem. - Muszę to zobaczyć!

Flea się zaśmiała.

- Pójdę już. Dziękuję, że pozwoliłaś mi przenocować. Tu jest przyjemniej niż w mojej klitce za sklepem.

- Nocuj, kiedy tylko zechcesz, Fleo - powiedziała Lizzie.

Gdy Flea wyszła, Lizzie posprzątała po śniadaniu i kuzynki poszły do salonu, niosąc filiżanki z kawą.

- Czasami nie wiem, czy daję sobie radę. Może trzeba jej pomóc - zastanawiała się Lizzie. - Zawsze była silna, ale teraz... Ktoś zamknął ją w sklepie, została ranna, nie była na zjeździe absolwentów i może nie przyjdzie na moje przyjęcie... do tego te wszystkie wyzwiska... mnóstwo żartów.

- Flea jest bardzo silną kobietą - stwierdziła Holly. - Musiała się taka stać. Podobnie jak my wszystkie. Pójdę dziś do niej. Sprawdzę, jak jej się układa.

- Dzięki - powiedziała Lizzie. - Muszę już lecieć do pracy. Wpadniesz na lunch?

- Za nic w świecie nie przegapiłabym takiej okazji: makaron z serem roboty twojej mamy! - wykrzyknęła Holly.

Po kilku minutach Lizzie wyszła do pracy, a Holly została sama. Pobiegła na górę, do sypialni - chciała spokojnie się nad wszystkim zastanowić. Na widok rozłożonej na łóżku książki pamiątkowej ze szkoły średniej stanęła jak wryta.

Po chwili położyła się i zaczęła przeglądać księgę. Odszukała zdjęcia ze swojego rocznika.

Z fotografii patrzył na nią Jake - poważna, zamyślona mina, często tak wtedy wyglądał. Dotknęła palcem jego twarzy.

- Ja też cię kochałam - szepnęła.

Zaniosła księgę do okna i usiadła na wyściełanym fotelu Lizzie. Słyszając świergot ptaka na gałęzi tuż przy szybie, rozsunęła zasłony.

I zamarła.

Wychyliła się tak energicznie, że ptak spłoszył się i odleciał.

Poniżej, na trawniku, ktoś napisał wielkimi literami, chyba białą farbą w aerozolu: *Burdel*.

Jake i Dylan przyjechali do pubu Morrow's niecałe dziesięć minut po telefonie Holly. Holly, Lizzie, Gayle, Flea i mama Lizzie siedziały z ponurymi minami przy dużym stole. Pub otwierano w południe, więc byli sami.

- Bardzo mi przykro, że ściągnęłam was wszystkich z pracy - powiedziała Lizzie. - Ale chcę, żeby mój narzeczony, mama i przyjaciele powiedzieli mi szczerze, co myślą. Ktoś chce mnie skrzywdzić. Mnie i moje przyjaciółki. Dłużej tego nie zniosę.

-Lizzie...-zaczął Dylan.

- Nie, Dylanie - przerwała mu. - Ten ktoś wygrał. Nie mogę tak dalej żyć. Nie będę. I nie narażę na przykrości mojej kuzynki, która właśnie z powodu takich sytuacji wyjechała z Troutville. Tak być nie może! Ten drań drwi sobie z ochrony. Wszedł na moje podwórko!

Lizzie urwała i zaczęła szlochać. Natychmiast podeszła do niej matka.

- Lizzie, kochanie. Masz rację, tak być nie może. Ktoś chce cię skrzywdzić, ale my go schwytemy. Słyszysz?

- Poświęcam tej sprawie cały swój czas - zapewnił ją Jake. - Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Pani Morrow ma słuszość. Złapiemy tego kogoś, kimkolwiek jest. Na razie mamy niewiele dowodów, ale wcześniej czy później popełni błąd, a ja dotrę do drania jak po sznurku.

- Czyli mam zorganizować przyjęcie zaręczynowe i narażić nas wszystkie? - zapytała Lizzie. - Dylan, jak mogłabym to zrobić?

- Jake, może posłuchajmy Lizzie - powiedział Dylan, przeczesując dłonią włosy. - Ktokolwiek stoi za tym wszystkim, na pewno nie jest normalny. Nie chcę, żeby Lizzie stała się krzywdą. I żeby jej przyjaciółki spotkało coś jeszcze gorszego niż do tej pory.

- Decyzja należy do was - odparł Jake. - To wasze przyjęcie zaręczynowe. Zasłużyliście na nie, macie prawo świętować z przyjaciółmi i rodzinami. Chociaż bardzo bym chciał, nie mogę wam zagwarantować bezpieczeństwa. Z drugiej strony, wcale nie jest pewne, że jeśli odwołacie przyjęcie, to ten drań przestanie was dręczyć,

Dylan i Jake usiedli przy stole. Przez chwilę wszyscy się zastanawiali.

- Holly, co o tym myślisz? - zapytała Lizzie.

Wszystkie oczy zwróciły się na Holly.

- Uważam, że przyjęcie powinno się odbyć. Lizzie, nie możesz się kryć całymi dniami w domu. Musisz żyć. Odwołasz przyjęcie i co dalej? Odwołasz ślub? Tego zrobić nie możesz.

- I nie zrobię! - powiedziała Lizzie łamiącym się głosem. - Chcę, żeby przyjęcie zaręczynowe się odbyło. Chcę mieć piękny ślub. Chcę, żeby wszyscy ludzie, których kocham, byli przy mnie w najważniejszym dniu mojego życia. Ale chcę też, żeby wszyscy byli bezpieczni!

- Lizzie, nie ma żadnej gwarancji, że odwołanie czegokolwiek powstrzyma tego... psychopatę - zauważył Jake. - Nie wiemy, z kim mamy do czynienia. Posłuchaj rady Holly. Musisz żyć dalej, robić to, co zaplanowałaś.

- Przyjęcie się odbędzie - zdecydował Dylan, głaszcząc ramię Lizzie. - Wzmocnimy ochronę. Wszyscy goście będą musieli okazać dowody tożsamości, wejdą tylko osoby z listy. Wszystkie torebki zostaną przeszukane, może i zbadane wykrywaczem metalu.

- Dobry pomysł - zgodził się Jake. - Zróbmy tak. Wróćcie spokojnie do pracy. Ja zorganizuję ochronę.

Holly otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Napis na trawniku bardzo ją przeraził. Nie chodziło tylko o treść, ale o sam fakt wtargnięcia na czyjś teren. Naruszenia prywatności. Osobistej przestrzeni. Wszystkiego.

Holly wydawało się, że czuje oddech tej osoby na swojej szyi. Jakby sprawca ostrzegał, że już jest blisko i tylko czeka na sposobność, by wyrzucić krzywdę Lizzie i jej przyjaciółkom.

Zadrzała i poczuła na sobie wzrok Jake'a.

Przed laty znajdowała w jego ramionach ciepło, bezpieczeństwo i pocieszenie. A teraz te ramiona były męskie, muskularne, silne.

Bardzo chciała, żeby ją objęły, choćby na kilka minut.

Rozdział 8

W sali balowej Dunhill Mansion mogłoby się z łatwością zmieścić dwustu gości. Teraz były tam tylko dwie osoby, ale Jake nigdy nie czuł się bardziej osaczony.

Victoria Dunhill w zdobionej, wyszywanej cekinami, brzoskwińowej sukni krążyła po sali, dokonując inspekcji, jak zwykle pół godziny przed każdym wydawanym przez Dunhillów przyjęciem. Jake siedł przy niej, przeglądając listę gości, którą dał mu jej sekretarz. Rozpoznawał większość nazwisk. Zastanawiał się, czy na liście jest tajemniczy mężczyzna, z którym Pru rozmawiała podczas zjazdu absolwentów.

- Jak się czuje koleżanka Lizzie, ta, która została ranna? - zapytała Victoria. - Chyba nie znam jej nazwiska.

- Felicia Harvey. To jedna z jej najbliższych przyjaciółek. Będzie druheną.

Pani Dunhill zatrzepotała rękami.

- Och, Jacobie, błagam. Nie spodziewaj się, że zapamiętam nazwiska wszystkich znajomych Lizbeth. Wiem, że to ta niska z... - zawiesiła dramatycznie głos. - Chyba nie musimy wymieniać jej innych, bardziej trwałych niedostatków? Na pewno zawsze, gdy spojrzy w lustro, przypomina sobie o pożarze, który wznicił jej własny ojciec.

Pani Dunhill była po prostu okropna. Gdyby Jake tak bardzo nie zaprzyjaźnił się z jej synem, już dawno zerwałyby kontakt.

- Pani Dunhill, to tylko w mieście plotkowano, że ojciec Felicii podłożył ogień. Policja oczyściła go ze wszystkich zarzutów.

- Wciąż mówimy o tej nieprzyjemnej sprawie? - zapytała pani Dunhill, machając ręką. Zaklaskała dwa razy i przybiegła pokojówka. - Na tej zasłonie jest zagniecenie - warknęła do młodej kobiety.

Pokojówka kiwnęła głową, wyjęła krótkofalówkę z kieszeni fartuszka i kazała służącemu przynieść drabinę i przenośne żelazko.

Jake wniósł oczy do nieba. Nie do wiary, że Dylan wyrósł na rozsądnego człowieka.

Ale Jake miał ważniejsze zmartwienia, na przykład nazwisko Felicii na liście gości, choć zawiadomiła telefonicznie, że jednak nie przyjdzie. Jak dokładna - lub niedokładna - jest lista?

- A propos nieprzyjemności - powiedziała pani Dunhill. - Jestem zaskoczona, że Lizbeth i Dylan nie odwołali dzisiejszego przyjęcia, zważywszy na to, co spotkało przyjaciółkę Lizbeth dwa tygodnie temu. Ale najbardziej wstrząsnęło mną oraz wielu innymi ludźmi, że poszli na zjazd

absolwentów, gdy przyjaciółka Lizbeth leżała w domu, poważnie ranna. To mi nie wygląda na prawdziwą przyjaźń!

- Woli, żeby mówić o niej Lizzie - powtórzył Jake setny raz w ciągu tygodnia. - Wcale nie chciała iść na zjazd absolwentów, ale Felicia przekonała ją, że będzie się czuła jeszcze gorzej, jeśli przyjaciółki ze względu na nią zmienią swoje plany.

Pani Dunhill nie mogłaby chyba wyglądać na bardziej znudzoną. Jake przewidywał, że zainteresują ją jednak jego następne słowa.

- Poza tym, była duża szansa, że osoba, odpowiedzialna za te „incydenty”, pojawi się na zjeździe absolwentów.

Pani Dunhill drgnęła.

- Był tam?

- On? - zapytał Jake.

- Albo ona - uściśliła pani Dunhill.

- Nigdy nie rozmawiam o sprawach w toku - przypomniał Jake. - Wie pani o tym.

- Tak, wiem - odparła chłodno.

- A co do dzisiejszego wieczoru - ciągnął Jake - Lizzie i Dylan nie pozwolą, żeby jakiś drań zepsuł przyjęcie na cześć ich miłości.

Pani Dunhill uniosła brew.

- Miłość? - Pochyliła się ku Jake'owi. - Daj spokój, Jacobie. Ze mną możesz rozmawiać szczerze. Chodziło ci o pożądanie.

- Nie, o miłość - powtórzył. - Nie spędziła pani dużo czasu ani z Lizzie, ani z Dylanem i Lizzie jako parą. Z czasem się pani przekona, że bardzo się kochają.

- Jacobie, drogi chłopcze - westchnęła pani Dunhill, przyglądając się bacznie każdej zasłonie i każdemu metrowi kwadratowemu posadzki. - Miłość to uczucie, które żywiłam do męża. Od chwili, gdy go ujrzałam, aż do jego śmierci przed sześciu laty. Dwadzieścia dziewięć lat małżeństwa. To jest miłość.

Nie, to tylko wersja, której się pani kurczowo trzyma, pomyślał Jake. Pani Dunhill, najwyraźniej zadowolona z wyglądu sali balowej, wydała krótkie polecenie lokajowi, który stał z boku, czekając na jej rozkazy. Pobiegł do barku, przyniósł szkocką z lodem i wrócił na swoje miejsce.

- Tak, Jacobie, miłość to o wiele więcej niż seks - dodała, siadając na jednym z krzeseł o wysokich oparciach, ustawionych pod ścianami. Westchnęła, spojrzała w górę, na zdobiony sufit oraz ogromny, kryształowy żyrandol pośrodku, i się zamyśliła.

Dylan Dunhill II zdradzał Victorię od chwili, gdy się poznali, przez cały okres narzeczeństwa i po ślubie. Zmarł na rozległy zawał serca, korzystając z usług drogiej prostytutki.

Jake, który wówczas służył w policji, odebrał wezwanie do hotelu Troutville Plaza. Prostytutka, bardzo spanikowana, zadzwoniła z recepcji po karetkę, a potem wybiegła frontowymi drzwiami i już nie wróciła, jak zeznał kierownik nocnej zmiany. Jake pojechał do Dunhill Mansion, gdzie wprowadzono go do biblioteki. Tam po raz pierwszy rozmawiał z Victorią Dunhill. Słuchając szczegółów, które relacjonował najdelikatniej, jak potrafił, zbladła na chwilę, ale zaraz doszła do siebie. Zaprowadziła Jake'a do swojego prywatnego gabinetu, kazała przynieść szkocką z lodem, usiadła prosto przy biurku i zaczęła mówić głosem całkowicie pozbawionym emocji.

- W związku ze stanem zdrowia Dylana i poprzednim zawałem nie mam wątpliwości, że jego serce po prostu pękło, zwłaszcza podczas takiego... wysiłku - powiedziała. - Sekcja bez wątpienia wykaże, że ta... call girl nie miała nic wspólnego z jego śmiercią. Dylan lubił towarzystwo młodych kobiet i nigdy nie spotkała go krzywda z ich strony.

.- Za kilka godzin będzie raport... - zaczął Jake.

- Oddział kardiologiczny Szpitala Ogólnego w Troutville znajduje się w skrzydle Dylana Dunhilla II, wie pan o tym?

Jake pokręcił głową.

- Nie.

- Młody człowieku - sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła coś, co wyglądało na książeczkę czekową - bardzo mi zależy, żeby ten szczegół związany ze śmiercią mojego męża nie dostał się do wiadomości mediów ani nikogo innego. Zapłacę panu... Ile? Dziesięć tysięcy wystarczy, żeby nie powiedział pan ani słowa o kobiecie, z którą Dylan był w chwili śmierci? Nie muszę rozmawiać o tym z kierownictwem hotelu Troutville Plaza. Mamy... układ. Od lat.

Jake'owi zrobiło się niedobrze.

- Pani Dunhill, bardzo mi przykro z powodu śmierci pani męża. Nigdy nie byłem żonaty, ale ktoś z mojej rodziny zmarł na zawał serca, więc rozumiem pani ból i żal.

Uniosła podbródek, patrząc na Jake'a kątem oka.

Odchrząknął.

- Zażądam raportu z sekcji, zanim sporządzę własny raport, i jeśli autopsja nie wykaże żadnych dowodów przestępstwa, może pani być pewna, że nie powiem ani słowa o okolicznościach śmierci pani męża ani dziennikarzom, ani nikomu innemu. Nie trzeba mi płacić za to, że jestem przyzwoitym człowiekiem.

Spojrzała na niego uważnie, podejrzliwie mrużąc niebieskie oczy.

- Jak mam być pewna pańskiej dyskrecji, jeśli nie dowiedzie tego zrealizowany czek?

- Musi pani zdać się na moje słowo. - To wystarczy.

- A jak się pan nazywa?

-Boone.

- Boone - powtórzyła. - Nie znam Boone'ów z Troutville.

Boone'ów z Troutville. Jake omal się nie roześmiał, bo brzmiało to absurdalnie, chociaż jegp rodzina mieszkała w tym mieście od trzech pokoleń, a ojciec i dziadek służyli w tutejszej policji.

- Nie dziwi mnie to. - Pochodzę z Dolnego Troutville.

- Domyśliłam się - odparła. - Jest pan policjantem. To szlachetna praca, ale fizyczna.

Jake nie miał zamiaru tracić czasu ani energii, żeby wyjaśniać pani Dunhill, jak w społeczeństwie postrzegana jest rola policji.

- Mam pańskie słowo honoru w sprawie śmierci mojego męża? - zapytała.

- Tak.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mój syn się o tym nie dowie?

- Wątpię, żebym kiedykolwiek miał okazję rozmawiać z pani synem, pani Dunhill - powiedział Jake, patrząc na liczne, oprawione w ramki fotografie chłopca i dziewczyny, w różnym wieku, ustawione na kredensie za jej biurkiem. - Ale nawet gdyby się tak zdarzyło, może mi pani wierzyć, że nic mu nie powiem. Pani mąż zmarł na zawał w hotelu Troutville Plaza. Koniec, kropka.

Kiwnęła głową i schowała książeczkę czekową do szuflady.

- Mąż zatrzymał się w pięciogwiazdkowym hotelu, zamiast jechać dziesięć minut do domu, bo było bardzo późno i nie chciał mnie budzić. Mój Dylan był takim wrażliwym człowiekiem...

Wydawało się, że wciąż to sobie wmawia, żeby ta wersja zdarzeń zastąpiła w jej myślach prawdę.

- Zmarł w samotności, mój biedak - ciągnęła. - Co za tragedia. Ściskając w dłoniach moje zdjęcie, które zawsze nosił w portfelu.

- Pani Dunhill, proszę pozwolić, że powtórzę, jak bardzo pani współczuję. - Jake chciał już wyjść, znaleźć się jak najdalej od niej i od tego zimnego, pozbawionego uczuć domu.

Kilka godzin później sekcja wykazała, że Dylan Dunhill II zmarł na zawał z powodu przewlekłej choroby serca.

Siedząc za biurkiem na posterunku, Jake wyobrażał sobie uśmiech Victorii Dunhill. Gdyby nawet jej mąż został zamordowany przez tę prostytutkę, Jake był na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że wymazałaby to ze wszystkich akt - i ze swojej pamięci.

Dokładnie po tygodniu Victoria Dunhill zatelefonowała do niego i zażądała, żeby odwiedził ją w domu. Podziękowała mu za dyskrecję i oświadczyła, że zaskarbił sobie jej zaufanie, czego nie udało się dokonać nikomu poza jej synem. Uważała się za jego dłużniczkę, więc gdyby czegokolwiek potrzebował, miał po prostu zadzwonić. Podczas tej wizyty Dylan Dunhill III, którego Jake znał ze szkoły średniej, udzielał w bibliotece korepetycji nastolatкови, swojemu podopiecznemu z Ośrodka dla Chłopców. Jake był szczerze zaskoczony. Nigdy nie rozmawiał z Dylanem Dunhilllem, chociaż chodzili razem do szkoły. Teraz dowiedział się, że Dylan uczy nastolatka z Dolnego Troutville ułamków, używając piłki do koszykówki. Chłopak wszystko rozumiał, a lekcja bardzo mu się podobała.

Dylan zaprosił Jake'a do Ośrodka, żeby pomógł tam jako wolontariusz, i od tego wszystko się zaczęło. Zostali przyjaciółmi. Dylan, co Jake odkrył z zaskoczeniem, nie dzielił ludzi na tych z Górnego i Dolnego Troutville. Nie był snobem. Okazał się bardzo sympatyczny. A ponieważ Victoria wciąż zapraszała Jake'a na uroczystości rodzinne, jako „cudownego oficera, jednego z najlepszych w służbie publicznej Troutville”, Jake i Dylan spotykali się często i zrozumieli, że wiele ich łączy. Na przykład poszanowanie prawa.

- Wiem, co zrobiłeś dla mojej matki - powiedział Dylan pewnego popołudnia, gdy szli na boisko przy Ośrodku, żeby pograć w koszykówkę.

- A ja nie wiem, o czym mówisz.

- Gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat, ojciec zawiózł mnie do lokalu Chez Jacqueline, ekskluzywnego domu publicznego niedaleko stąd - powiedział Dylan. - Stwierdził, że jestem już mężczyzną, bo odziedziczyłem okrągłą sumę z rodzinnego majątku, więc nadszedł czas, żebym zaczął kultywować tradycję mężczyzn z rodu Dunhillów i korzystać z usług, oferowanych w tym lokalu. Oczywiście byłem oburzony i wykrzychałem mu, że wolę spać z kobietami, które kocham. A raczej z kobietą, którą kocham, chociaż wtedy byłem samotny i nie miałem dużego doświadczenia w sprawach seksu. Powiedział, że nie wie, skąd się we mnie wzięła taka etyka, bo na pewno nie po nim ani nie po matce.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Jake.

- Nie dziw się tak bardzo - odparł Dylan. - Ja się nie dziwiłem. I wcale nie osądzam rodziców. Każdy żyje, jak chce. Ja też.

Jake tylko kiwnął głową. Bo co miał powiedzieć? Małżeństwo jego rodziców było cudowne. Przekroczyli sześćdziesiątkę, bardzo się kochali i po przejściu na emeryturę zamieszkali w ładnym apartamencie na Floydzie.

- Ojciec powiedział mi, że zdradzał matkę, odkąd się poznali - ciągnął Dylan, oddając nieudany rzut do kosza. - Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia na cocktail party. W niej i dwu innych kobietach. Kręcił się więc po sali, udając, że rozmawia ze znajomymi, i uwodził wszystkie trzy. Poślubił moją matkę z powodu presji swoich rodziców. Miała najlepsze pochodzenie. Przez cały czas trwania ich małżeństwa spotykał się z setkami kobiet.

- Z setkami? - powtórzył Jake.

Dylan kiwnął głową i oddał kolejny rzut.

- Czy twoja siostra coś o tym wie? - zapytał Jake. Zastanawiał się, czy to dlatego Pru jest taka nieprzyjemna dla ludzi.

Dylan pokręcił głową.

- Matka lubi udawać, że ich małżeństwo było idealne. Bardzo się starała, żebyśmy, ja i Pru, w to uwierzyli. Ja znam prawdę, bo ojciec wyznał mi ją sam, ale na pewno nie powiedziała by tego Pru. Była pupilką tatusia.

Śmiechy i odgłos trącania się kieliszkami wyrwały Jake'a z rozmyślań.

- Jake, mój drogi, byłeś chyba daleko stąd - skarciła go Victoria Dunhill. - Czy chociaż zauważyłeś, że przyszli pierwsi goście? Poznałeś uroczych państwa Chipwell?

Nie poznał, ale uroczą pani Chipwell, która dała do zrozumienia, iż nie może się nadziwić, że Dylan zamiast jej ślicznej córki wybrał „tę... tę dziewczynę z Dolnego Troutville”, od razu znalazła się na liście podejrzanych.

Jake wstał, przywitał kilka osób i zaczął subtelną, dociekliwą rozmowę z uroczą panią Chipwell.

- Jadąc takim samochodem, prawie zapomniałam o kłopotach - oświadczyła Lizzie, zakładając nogę na nogę w luksusowej limuzynie. Dylan uparł się, że wynajmie ją, by zawieźć Lizzie, Gayle i Holly na przyjęcie. Tymczasem uśmiech Lizzie nagle zbladł. - Prawie. Żałuję, że nie ma z nami Flei.

- Wpadłam dziś do niej - powiedziała Gayle, odrzucając za ramię grube, rude włosy. - Ona wciąż czuje ból, aż się krzywi. Ale widziałam, jak robiła wykrój twojej sukni. Cięła coś maleńkimi nożyczkami, męcząc oczy.

- Ja pobyłam z nią trochę wczoraj — włączyła się Holly. - Powiedziała, że szyjąc tę suknię, będzie się czuła tak, jakby bawiła się na przyjęciu.

- Co ja bym zrobiła bez Flei? - zapytała Lizzie płaczącym głosem, wyglądając przez okno. - Co zrobiłabym bez was?

- Hej, daj już spokój! - Gayle klepnęła Lizzie w kolano. - Nie zapominaj o swoim przystojnym, uroczym narzeczonym!

Lizzie westchnęła.

- Gayle, bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się w twojej pracy. Nie wiem, czy zrobił to psychopata, który mnie prześladowuje, czy Pru, ale wiedz, że ogromnie mi przykro.

Gayle uśmiechnęła się słabo.

- Nie przejmuj się, Lizzie. Mój szefi tak nigdy by się ze mną nie związał. Nie ma znaczenia, czy uważa mnie za „rozrywkową”. Poza tym przecież codziennie słyszał te wyzwiska, gdy chodziliśmy do szkoły.

Kilka dni temu szef Gayle otrzymał napisany na komputerze list od anonimowego nadawcy z Troutville. Autor radził mu, żeby zwolnił Rozrywkową Gayle, która nie powinna być sekretarką w tak poważnej i szacownej instytucji jak jego kancelaria. W liście było też napisane, że Gayle baluje co wieczór, upija się i sypia z byle kim, więc może zdradzać tajemnice firmy. Dlatego szef koniecznie powinien się jej pozbyć.

Szef nie zwolnił Gayle, ale, z pewnym zakłopotaniem, pokazał jej list, żeby o nim wiedziała, zważywszy na ostatnie kłopoty Lizzie.

W pięknych, zielonych oczach Gayle zalśniły łzy.

- Nie przebiera w środkach, co?

- To na pewno Pru! - wycedziła Holly. - Za to, że przygadałaś jej na zjeździe absolwentów. Odczekała tydzień, żebyś jej z tym nie powiązała.

- Masz rację - przytaknęła Gayle. - Ale nie mogę nic zrobić bez dowodów.

- Jeśli to była ona, Gayle - powiedziała Lizzie, ściskając dłoń przyjaciółki - to jest mi bardzo przykro, że będziesz musiała się z nią dziś zobaczyć. Po prostu ją ignoruj. Nie myśl, że z mojego powodu powinnaś być uprzejma. Ona nie jest uprzejma dla mnie, chociaż stanę się członkiem jej rodziny.

- Trzymasz się, kochanie? - zapytała Holly kuzynkę. - Pamiętaj, dziś najważniejsze jest to, żebyście z Dylanem cieszyli się swoim szczęściem. Nieważny psychopata. Nieważna Pru. Liczysz się tylko ty i Dylan.

Lizzie skinęła głową i uśmiechnęła się, ale gdy limuzyna wjechała na plac Dunhillów, zagryzła wargę i wybuchła płaczem.

- Jestem kłębkim nerwów - wydusiła, ocierając oczy chusteczką. - Staram się trzymać fason, ale bardzo się boję. O siebie, o was dwie, o Fleę, no i o Dylana. A zaraz spotkam się z panią Dunhill. Pru to nic w porównaniu z nią.

Holly ze współczuciem wzięła Lizzie za rękę.

- Przecież mówiłaś, że matka Dylana jest uprzejma.

- To znaczy tylko tyle, że nie rzuca mi wyzwisk w twarz - wyjaśniła Lizzie ze smutną miną.

- Przekona się do ciebie - zapewniła Gayle. - Wierz mi, po dzisiejszym wieczorze, kiedy zobaczy na własne oczy, jak bardzo kochacie się z Dylanem, z radością powita cię w rodzinie.

- Mam nadzieję. - Lizzie, poweselała i wyjrzała przez okno. - Już jesteśmy na miejscu.

Przyjaciółki spojrzały na wielki, biały dom na wzgórzu, otoczony wypielęgnowanym trawnikiem. Holly była tu raz, ale nie w środku. Gdy miała jedenaście lat, jej ciocia Flora, która pracowała w tym domu jako pokojówka, zostawiła w domu lunch w papierowej torebce, więc Holly jej go zawiozła. Zostawiła rower na ulicy, żeby kierownica ani koła nie zgniotły ślicznej murawy, i ruszyła alejką do majestatycznych drzwi frontowych, zastanawiając się, gdzie jest specjalne wejście, o którym mówiła ciocia. Gdy znalazła się przy frontowych drzwiach, zerknęła w bok, szukając wejścia dla służby, ale zobaczyła tylko ogród i krzewy różane. Z torebką w dłoni zastukała więc ciężką, mosiężną kołatką. Otworzył ochmistrz, szef cioci. Uśmiechnął się do Holly i wziął torebkę. Nagle po schodach zeszła Pru Dunhill, której Holly nigdy przedtem nie widziała (Pru chodziła wówczas do ekskluzywnej szkoły z internatem).

- Czy to żebraczka? - zapytała Pru ochmistrza. - Dlaczego jest tak ubrana?

Gdy ochmistrz wyjaśnił, że siostrzenica pokojówki Flory przyniosła jej lunch, Holly zerknęła na swoje ubranie, bardzo różniące się od stroju Pru. Nigdy przedtem nie zwracała uwagi na takie rzeczy. Pru, w śnieżnobiałej sukience i różowej opasce na głowie, wyglądała jak księżniczka. Holly, w ciuchach po Lizzie (która była od niej wyższa i szybciej wyrastała z ubrań), czuła się jak obdartus, chociaż koszula i spodnie były czystutkie i starannie zacerowane. Nie wyglądała jak Pru, z lśnącymi blond włosami w wyglansowanych pantofelkach.

- Jeśli jest krewną pokojówką, to nie może wchodzić frontowymi drzwiami - oznajmiła Pru. - Musi korzystać z wejścia dla służby.

Ochmistrz poczerwieniał, uśmiechnął się do Holly i pokazał gestem, żeby sobie poszła. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nią. To było pierwsze spotkanie Holly z Pru i Dunhill Mansion. Czuła się „gorsza”. Teraz przyjechała tu jako dwudziestoosmioletnia, niezależna nauczycielka, która ma własny dom, a jednak tamto okropne uczucie wróciło z wielką siłą. Za chwilę miała wejść frontowymi drzwiami, jako gość, zaproszony na rodzinną uroczystość. Jednak nie czuła satysfakcji. Mdliło ją. Z ochotą spoliczkowałyby Pru Dunhill i nie była pewna, czy zdołałaby się powstrzymać, gdyby Pru ją sprowokowała.

Uważaj, Holly, ostrzegła się w myślach. Dunhillowie będą rodziną Lizzie, więc ze względu na nią traktuj ich jak każdego z nowo poznanych ludzi.

- Gotowe? - zapytała Lizzie, gdy kierowca wysiadł, żeby otworzyć im drzwi.

Lepiej nie będzie, pomyślała Holly, wysiadając z limuzyny.

- Jak wyglądam? - zapytała Lizzie, idąc z przyjaciółkami alejką w stronę domu. - Czy nie mam zbyt nastroszonych włosów?

Holly obejrzała Lizzie.

- Moja droga kuzynko, wyglądasz prześlicznie od stóp do głów. Fryzura jest wspianała.

- Naprawdę cudownie wyglądasz, Lizzie - potwierdziła Gayle. - Nawet pani Dunhill nie będzie mogła powiedzieć, że twoja suknia jest „niestosowna”. - Zachichotała. - Wyglądasz prawie jak żona Dunhilla!

Holly i Lizzie roześmiały się.

- Gdyby nie ten dekolt... - Lizzie poruszyła ramionami -jaskrawy kolor... i nadrukowane kwiaty... - Zaśmiała się. - To najbardziej tradycyjna suknia, jaką mam.

- Moja na pewno nie jest tradycyjna. - Holly spojrzała na piękną, czarną suknię z powiewną spódnicą, którą wczoraj dostała od Flei. Czuła się w niej tak lekko, tak kobieco... i jakby nie była sobą. Chociaż podobała jej się suknia i buty, pożyczone od Lizzie, wolałaby je podziwiać na innej kobiecie. Nie cierpiała zwracać uwagi na siebie. Nie chciała, żeby ludzie się jej przyglądali. W szkole średniej nosiła duże, ciemne koszule i sztruktury, żeby ukryć swoją sylwetkę, wtopić się w szarość korytarzy. To jednak nie ucięło złośliwych uwag.

Lokaj Otworzył ciężkie drzwi.

-Nazwisko? - zapytał Holly.

- Holly Morrow.

- Może pani wejść.

Och, mogę? - pomyślała Holly.

Gayle spotkało to samo.

—A pani? - zwrócił się lokaj do Lizzie.

Lizzie się uśmiechnęła.

- Dzień dobry, Walker. To ja, Lizzie Morrow. Poznaliśmy się.

Lokaj spojrzał na listę.

- Przykro mi, ale nie ma pani na liście gości. - Zwrócił się do Holly i Gayle. - Jeśli panie chcą wejść, proszę teraz.

Trzy kobiety przyglądały mu się, oszołomione.

- To jest przyszła panna młoda! - powiedziała z niedowierzaniem Holly.

- Honorowy gość! - dodała Gayle.

Lokaj ani drgnął.

- Bardzo mi przykro, nazwisko nie figuruje na liście. Otrzymałem polecenie, żeby nie wpuszczać nikogo, kto nie został tu uwzględniony.

- O, rany -jęknęła Lizzie. - Kolejne upokorzenie. Nie mogę wejść na własne przyjęcie zaręczynowe!

Gayle podała jej swój telefon komórkowy.

- Proszę, Liz, zadzwoń do Dylana.

Lizzie wybrała numer.

- Cześć, kochanie powiedziała. - Nie mogę wejść na swoje przyjęcie! Nie ma mnie na liście! - Słuchała kilka chwil. - Dobrze. Czekamy, - Rozłączyła się i westchnęła głęboko. - Powiedział, że nie mogę być na liście, bo nie jestem gościem!

Holly uznała, że chyba może zrozumieć sytuację. Chyba.

Po chwili za lokajem pojawił się Dylan.

- Walker, nie pamiętasz mojej narzeczonej Lizzie? Oczywiście, że nie ma jej na liście. Przyjęcie jest dla niej. Dla nas.

Lokaj zbladł.

- Och. Bardzo mi przykro, proszę pana. Przepraszam panią. Otrzymałem wyraźne polecenie, żeby nie wpuszczać nikogo spoza listy gości.

Lizzie się uśmiechnęła.

- Dobrze rozumiem, jak ważne są te środki bezpieczeństwa. Bardzo dziękuję.

Holly nie była pewna, czy lokaj zasłużył na tak szlachetne traktowanie, ale szczerze podziwiała kuzynkę.

Dylan uściskał narzeczoną.

- Cudownie wyglądasz, kochanie. Na twój widok wszyscy padną.

- Na twoim miejscu nie używałabym tego sformułowania - zażartowała Gayle.

Dylan się uśmiechnął.

- Wejdźcie. Są już prawie wszyscy. Chciałbym im przedstawić moją Lizzie. - Pocałował ją w rękę.

Wprowadził je do sali balowej pełnej ludzi. Po eleganckim pomieszczeniu kręciło się co najmniej sto osób, ale pierwszą, na którą padł wzrok Holly, był Jake. Miał na sobie piękny, ciemny garnitur, a jego brązowe włosy lśniły w świetle kryształowego żyrandola. Był tak przystojny, że nie mogła oderwać od niego oczu.

Zauważył, że mu się przygląda. Przywitał ją, unosząc kieliszek. Po kilku chwilach znalazł się przy niej z kieliszkiem szampana.

- Dziękuję - powiedziała, biorąc kieliszek. Cieszyła się, że może czymś zająć ręce.

- Pięknie wyglądasz - szepnął. - Chyba się nie obrazisz, że ci to mówię.

Poczuła, że się rumieni. Powiedz „dziękuję”, nakazała sobie. Ale czuła się tak, jakby w ustach miała watę. Uśmiechnęła się więc nieśmiało, a on odwzajemnił uśmiech.

- Powiesz mi, czy masz coś nowego w sprawie podejrzanych? - zapytała, głównie po to, żeby przerwać kłopotliwe milczenie. Nie zamienił z nią ani słowa, gdy przyszedł do Lizzie, żeby porozmawiać o sprawie. Robił wrażenie, że jej unika..- Jeśli ci to nie przeszkadza, chciałabym wiedzieć, kto jest twoim głównym podejrzanym, żebym mogła go dziś obserwować. A może zaczniemy od dwóch głównych podejrzanych, po jednym na każde z nas. Będziemy ich śledzić i przysłuchiwać się ich rozmowom.

- Miałem nadzieję, że zaczniemy od szampana. - Jake trącił jej kieliszek swoim.

Holly poczuła, że jej policzki znów się czerwienią. Stał tak blisko niej, że się spieszyła. Pachniał delikatnie mydłem i wodą po goleniu.

„Kochał się w tobie w szkole średniej...”

Czy to prawda? Czy ten przystojny mężczyzna naprawdę ją kochał?

- Obiecałeś mi pierwszy taniec, Jake'u Boonie - powiedział uwodzicielski kobiecie głos.

Holly i Jake odwrócili się i zobaczyli Pru w obcisłej, krótkiej, czarnej sukience z dużym dekoltem, która wcale nie wyglądała niestosownie, lecz seksownie i elegancko. Prostota czarnej sukienki podkreślała długie jasne włosy, niebieskie oczy i anielską urodę Pru. Panna Dunhill wyglądała oszołamiająco.

Wzięła rękę Jake'a i położyła ją sobie w tali.

- Zaprowadź mnie na parkiet - zamruczała.

- Wybacz, Pru, ale właśnie rozmawiam - odparł Jake.

Pru rzuciła Holly swoje słynne, wredne spojrzenie.

- Jestem pewna, że twoja koleżanka... Jak ci na imię, moja droga? Chyba spotkałyśmy się na zjeździe absolwentów, ale zapomniałam...

Holly nie rozumiała, jak można być tak bezczelnym. Może Jake jednak miał rację co do Pru. Trudno było uwierzyć, że ta zuchwała kobieta podkradała się, podrzucała listy, blokowała drzwi samochodów i kryła się za Salonem Mody Ślubnej Bettiny, żeby rzucić kamień. Holly mogła sobie wyobrazić Pru Dunhill, tylko stojącą otwarcie przed kimś z kamieniem w dłoni. No i mogła sobie także wyobrazić, że Pru napisała obrzydliwy list do szefa Gayle.

- Nazywa się Holly Morrow - powiedział Jake.

Usłyszała w jego głosie nutkę zniecierpliwienia, dawną pogardą dla Pru. A może jest zirytowany, że musi ze mną rozmawiać? Może jednak coś łączy go z Pru, chociaż wydaje się to nieprawdopodobne? Może nawet jej nie lubi, ale ona wygląda dziś tak pięknie i tak zuchwale go podrywa? Może...

Holly przypomniała sobie widok ich dwojga razem na peronie. Rzeczywiście, to Pru była przyklejona do Jake'a, a nie on do niej. Mimo to mogli przecież od czasu do czasu ze sobą sypiać, tak po prostu.

Jake Boone nie robi niczego tak po prostu, powiedział głos w głębi jej serca. On nie sypia z Pru Dunhill.

Pru rzuciła Holly lodowaty uśmiech.

- Ach, zgadza się. Holly Morrow. Pewnie ci smutno, że kuzyni nie wchodzi do rodziny poprzez małżeństwo. Lizzie stanie się panią Dunhill, bo otrzyma nasze nazwisko oczywiście nie z powodu pochodzenia. Ale ciebie to nie spotka. Mowy nie ma! Przykro mi, malutka.

Gdyby Holly nie znała Pru Dunhill od jedenastego roku życia, nie uwierzyłyby, że z jej ust mogą paść tak jadowite słowa. Ta kobieta zasługiwała tylko na pogardę. Inaczej nie można było tego określić.

- Pru, dlaczego sądzisz, że Holly przywiązuje choćby najmniejszą wagę do tego, czy jest w rodzinie Dunhillów, czy nie?

- Nie jest - zapewniła szybko Pru. - Nie bądź naiwny; kto by nie chciał należeć do wielkiego rodu Dunhillów?

Holly stłumiła śmiech. Była zaskoczona, że słowa Pru ją ubawiły. Zrozumiała, że ta jędra nie może jej już zranić. Że kaśliwe uwagi nie mają żadnego wpływu na jej poczucie własnej wartości. Pru nigdy nie wpędziła Holly w kompleksy, ale udawało jej się ją zranić. Holly drażniło bardziej to niesprawiedliwe traktowanie, słowa, które wypowiedziała Pru. Holly zawsze była dumna ze swojego nazwiska.

- Chodźmy, Jake - zamruczała Pru, przesuwając palcem po jego klatce piersiowej i szyi, aż do ust. - Zatańcz ze mną.

- Pru, rozmawiam z Holly. - Cofnął się o krok.

- Holly na pewno jest przyzwyczajona do czekania - burknęła Pru. - Oczywiście, nie masz nic przeciwko temu, że ukradnę ci go na jeden taniec.

- Mam coś przeciwko temu - odparła Holly, znów zaskakując samą siebie. Zaczerwieniła się i spuściła oczy. Nie rozumiała, jak mogła to powiedzieć. Poczwała na sobie wzrok Jake'a.

- Cóż, Holly, nie wiedziałem, że ci zależy - rzucił przekornie. - Ale w jego głosie było też coś złowieszczonego. Nutka sarkazmu. - Właśnie, Pru... Jestem zaskoczony, że chcesz tańczyć z kimś innym niż twój nowy chłopak.

Brawo! - pomyślała Holly. Zaimponowało jej, że Jake wykorzystał sposobność, by sprytnie podejść Pru.

Pru zbladła jak ściana i odsunęła się o krok.

- O czym ty mówisz? Nie mam chłopaka. Nie chodzę nawet z nikim na randki.

- Och? - Jake zrobił niewinną minę. - Chyba widziałem cię podczas sprzeczki z ukochanym.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - wypierała się Pru. - Na pewno mnie z kimś pomyliłeś.

- Ciebie trudno z kimś pomylić, Pru - oświadczył Jake.

Pru patrzyła na niego. Holly zauważyła, że to wcale nie było gniewne spojrzenie. Pru wydawała się... zdenerwowana. Nawet bardzo.

- Albo musisz iść przebadać swoje piękne oczy, Jake'u Boonie, albo nie jesteś tak dobrym detektywem, za jakiego się uważasz.

- Czyli nie kłóciłaś się z jakimś mężczyzną podczas zjazdu absolwentów? - zapytał Jake.

Na policzki Pru wrócił kolor, pokryły się czerwonymi plamkami.

- Z pewnością nie. Na zjeździe bawiłam się wesoło jak nigdy w życiu,

- To bardzo ciekawe. Założyłbym się o wszystko, że widziałem właśnie ciebie.

Holly wstrzymała oddech. Czy Pru wszystko teraz powie?

- Dość już, Jake - mruknęła Pru, wyciągając smukłe ramiona w stronę jego szyi. Szarpnęła jego krawat. - Ja...

- Pru! Tu jesteś! - zawołała Arianna, chwytając Pru za rękę. - Wszędzie cię szukam! Musisz zobaczyć, co ma na sobie Clarissa Leedwill! Spod sukni widać jej stringi!

Pru nie dokończyła zdania. Ale Holly gotowa była się założyć, że miało to być słabo zawoalowane ostrzeżenie.

- Bardzo przepraszam, że przerwałam wam rozmowę - powiedziała Pru do Jake'a. - Odszukaj mnie, kiedy już będziesz miał dość gadania o starych, nudnych czasach - dodała, przytulając się do niego na chwilę, a potem odeszła.

Holly wzniosła oczy do nieba.

- Nie jest zbyt subtelna.

- To zaprzeczenie subtelności - potwierdził Jake, prowadząc Holly w stronę pustego miejsca przy ścianie. - Mimo wszystko jednak czuję, że to nie jej szukamy. Owszem, jest wysoko na liście podejrzanych, ale coś mi mówi, że nie ona jest sprawcą.

- To dlaczego kłóciła się z obcym mężczyzną w lesie podczas zjazdu absolwentów? - zapytała Holly.

- Może to naprawdę była sprzeczka kochanków? - zastanawiał się Jake.
- Nie brałem pod uwagę takiej możliwości.

Holly pokręciła głową.

- Powiedziała, że nawet nie chodzi z nikim na randki.

Jake westchnął głęboko.

- Pru niepokoi mnie teraz bardziej niż pięć minut temu. Spodziewałem się, że odpowie: „Przyłapałeś mnie, Jake. Mój nowy mężczyzna i ja wymknęliśmy się do lasu, żeby przez chwilę być sami, ale o coś się posprzeczaaliśmy, jak to zakochani. Oczywiście teraz wszystko jest w porządku”. Nie powiedziała tego. Wyparła się wszystkiego, twierdzi, że z nikim się nie widuje. Nie przyznaje się do sprzeczki z kimkolwiek podczas zjazdu absolwentów. Dlaczego?

- Właśnie, dlaczego? - zamyśliła się Holly. - Przecież mogła sobie zapewnić alibi. Powiedzieć, że ten drań, któremu płaciła za krzywdzenie Lizzie i drухen, to po prostu jej nowy chłopak.

- Trzeba ją śledzić - zdecydował Jake. - To jedyny sposób, żeby stwierdzić, kim jest ten facet. Kiedy już go znajdę, przycisnę go i skłonię do powiedzenia prawdy.

Holly skinęła głową.

- Będę miała na nią dziś oko.

- Holly... - zaczął Jake.

- Z daleka - obiecała Holly. - Nie będę się bawić w detektywa amatora.

Kto wie, może tajemniczy mężczyzna dziś się tu pojawi.

Jake kiwnął głową.

- Nie pasuje mi coś jeszcze: motyw. Jeśli Pru jest sprawcą, to właściwie dlaczego? Nie ma silnego motywu. Nie chce, żeby Lizzie była jej bratową, ale tak naprawdę nie ma to dla niej znaczenia.

- Za to ma ogromne znaczenie dla Victorii Dunhill - zauważyła Holly. - Gdyby Lizzie stała się członkiem rodziny, poślubiając jej jedyne dziecko...

Jej słowa przerwał dźwięk dzwoneczka. Wyciągnęła szyję, żeby dojrzeć coś ponad grupką osób, stojących przed nią i Jakiem. Victoria Dunhill stała pośrodku sali z dzwoneczkiem w dłoni.

- Proszę wszystkich o uwagę! - zawołała. Brzoskwińskie cekiny na jej sukni połyskiwały w przyćmionym świetle. - Dziękuję bardzo serdecznie, że przyszliście, by wraz z nami cieszyć się zaręczynami mojego syna Dylana z kobietą, którą sobie wybrał - zaakcentowała słowo „wybrał” - panną Lizbeth Morrow. - Wskazała dłonią, żeby narzeczeni, stojący obok, podeszli do niej.

Dylan podniósł do ust dłoń Lizzie i pocałował, a potem poprowadził narzeczoną do swojej matki. W paszczę lwa, pomyślała Holly.

Rozległy się oklaski. Dylan uniósł rękę.

—Bardzo dziękuję wszystkim, którzy przyszedli uczcić nasze wielkie szczęście - powiedział. - Pierwszy raz w życiu jestem naprawdę zakochany. To dla mnie zaszczyt, że kobieta moich snów, moja piękna, słodka Lizzie, zgodziła się zostać moją żoną.

Rozległy się „achy”, „ochy” i oklaski, ale niektórzy goście milczeli i stali z kamiennymi twarzami. Holly starała się wyłowić ich z tłumy, jednak zbyt wielu nie знаła. Poszukała wzrokiem Pru. Stała w rogu z Arianną, szeptała jej coś do ucha, śmiała się i wskazywała palcem. Nagle podeszła do swojej rodziny pośrodku sali. Szepnęła coś do Lizzie, która poczerwieniała, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

O, nie. Co Pru powiedziała Lizzie? Czy powinnam tam podejść, sprawdzić, co jest nie tak? - zastanawiała się Holly.

Zanim jednak zdążyła się poruszyć, Lizzie cofnęła się i, idąc przy ścianie, skierowała się do wyjścia. Wszyscy na nią patrzyli.

- Lizzie?! - zawołał Dylan. - Co się stało?

Czerwona jak burak Lizzie uciekała z sali.

- Zaraz wrócę, kochanie.

Dylan dał znak orkiestrze żeby grała dalej. Gdy rozległy się tony muzyki, goście wrócili do rozmów, popijali drinki i tańczyli.

Holly zerknęła na uśmiechniętą Pru. Podeszła do niej Arianna i przybiły piątkę.

O Boże. Co ona powiedziała Lizzie?

Holly wybiegła z sali balowej i zobaczyła Lizzie przy ścianie we foyer. Lizzie pytała pokojówkę, gdzie jest toaleta.

- Lizzie! - krzyknęła Holly, podbiegając do kuzynki. - Co się stało?

- Koniecznie muszę iść do łazienki! - wyjąkała Lizzie ze łzami w oczach.

- Pru powiedziała, że suknia rozeszła mi się z tyłu i widać mi stringi!

Holly stanęła za Lizzie, tymczasem pokojówka wskazała im drogę do toalety. Weszły tam i Holly obejrzała suknię.

- Lizzie, nic się nie stało. Suknia nie pękła. Nie ma najmniejszego rozdarcia. Wszystko jest w porządku.

- Co? - zapytała Lizzie, próbując zobaczyć swoje plecy w lustrze. - Jesteś pewna?

- Suknia jest w doskonałym stanie, tak jak wtedy, kiedy wychodziłaś z domu - zapewniła Holly.

- Dlaczego więc Pru... - Lizzie urwała i zamknęła oczy. - No tak, jasne. Dla zabawy popsuła mi przyjęcie zaręczynowe, i to w chwili, gdy stałam przed przyszłą teściową, a ona wznosiła toast na cześć moją i Dylana. - Wybuchła płaczem, ale zaraz gniewnie zaczęła ocierać łzy.

- Wiesz, co, Liz? Nie pozwolisz tej wstrętnej wiedźmie zepsuć uroczystości. Wrócisz tam, wyjaśnisz wszystko pani Dunhill i poprosisz, żeby wróciła do toastu.

Lizzie odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i kiwnęła głową.

- Masz rację, Holly. Pru nie zepsuje mi tego wieczoru! Założę się, że to ona nas prześladuje. Tylko ona, spośród osób bliskich rodzinie, nie zapytała o zdrowie Flei.

- Bo myśli tylko o sobie - stwierdziła Holly. - Jake sądzi, że Pru nie jest sprawcą, a ja zaczynam podzielać jego zdanie. Pru jest bardzo otwarta w swojej wrogości. Nie przypuszczam, żeby zakradała się po cichu, by osiągnąć swój cel.

- Może i masz rację - zgodziła się Lizzie. - Och, oby tylko dziś nie stało się nic złego. Przestałam się łudzić, że będę mile widziana w tej rodzinie. Chcę tylko, żeby ten wieczór upłynął w cywilizowanej atmosferze.

Holly zrobiło się przykro, że Lizzie pragnie dla siebie tak niewiele. Ale zważywszy na reakcję rodziny, to pragnienie było bardzo realistyczne.

Stała za Lizzie i uśmiechnęła się do jej odbicia w lustrze.

- Wróćmy tam i pokażmy wszystkim, kto rządzi w tym mieście!

- Tak! - wykrzyknęła Lizzie z uśmiechem. - Och, Hol, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła!

- Nigdy nie będziesz musiała się o tym przekonywać - zapewniła jakuzynka. - Chodźmy. Twój przystojny narzeczony pewnie się o ciebie zamartwia.

Rzeczywiście krążył nerwowo pod toaletą, a gdy tylko Lizzie wyszła, porwał ją w ramiona. Uspokajała go, że wszystko jest w porządku. Po prostu bała się, że pękła jej suknia, więc musiała sprawdzić.

- Czy właśnie to Pru szepnęła ci do ucha? - zapytał Dylan.

- To nic, Dylan. - Lizzie pocałowała go w policzek. - Drobiazg. Może naprawdę myślała, że suknia pękła. W tym świetle...

Dylan pokręcił głową.

- Nigdy nie zrozumieję własnej siostry. - Objął Lizzie ramieniem. - Nie przejmuj się nią. Przekona się do ciebie. Kiedy cię lepiej pozna, Lizzie, pokocha cię tak jak ja. A jeśli nie pozna... Cóż, jej strata.

Holly musiała przyznać, że coraz bardziej lubi Dylana.

- Szukałem twojej mamy, Lizzie, ale nigdzie jej nie ma - powiedział Dylan. - Przyjedzie, prawda?

- Twoja mama osobiście zaprosiła ją przez telefon - odparła Lizzie. - Mama wie, gdzie i kiedy jest przyjęcie. Ja też się dziwię, że jeszcze nie przyjechała. - Zerknęła na zegarek. - Ma już godzinę spóźnienia. Oby wszystko...

- Lizzie, twojej mamie na pewno nic się nie stało - uspokajał ją Dylan. - Po prostu coś ją zatrzymało w pubie albo nie wie, w co się ubrać.

Ciocia Louise miała dwie ładne sukienki, jedną trochę bardziej elegancką od drugiej. Holly wiedziała, że ciocia wybierze granatową, podkreślającą błękit jej oczu. Na pewno nie poświęciła dużo czasu na ubranie się. Co oznacza...

O Boże. Dlaczego bardziej nie nalegali, żeby mama Lizzie przyjechała z nimi limuzyną? Pani Morrow uparła się, że przyjedzie sama. Denerwowała się przed spotkaniem z rodziną Dunhillów, więc wolała przygotować się spokojnie, a potem przyjechać do rezydencji, oddalonej od jej domu o pięć minut drogi. Może więc stało się coś złego? Może ten psychopata skrzywdził ciocię Louise?

- Na pewno wszystko jest w porządku - mówił Dylan, ale Holly usłyszała w jego głosie nutkę niepokoju. Lizzie też. Dylan podał narzeczonej telefon komórkowy. - Zadzwoń do niej.

Lizzie wybrała numer.

- Mamo? Wszystko w porządku? - Gdy słuchała, z jej twarzy zniknęło napięcie. Najwyraźniej poczuła ulgę. - Bardzo się martwiliśmy! Miałaś przyjechać godzinę temu! - Znów chwilę słuchała. - Nie, przyjęcie nie zaczyna się o dziewiątej. Kończy się o tej porze. Zaczęło się o siódmej!

Różnica dwóch godzin? Czyżby pani Dunhill powiedziała mamie Lizzie, że przyjęcie zacznie się o dziewiątej?

- Mamo, na pewno źle zrozumiałaś panią Dunhill. Dlaczego miałyby ci mówić, że przyjęcie zacznie się o dziewiątej, skoro sama ustaliła, że goście przyjdą o siódmej?

Holly głośno westchnęła. Znała odpowiedź na to pytanie.

- Ja też jestem pewna, że pani Dunhill chodziło o siódmą, mamo - mówiła Lizzie, ale łzy w jej oczach świadczyły o tym, że domyślała się prawdy. - Cóż, przyjęcie ma trwać tylko dwie godziny. Jeśli dopiero się przygotowujesz, przyjdiesz na sam koniec.

- Przedłużymy przyjęcie, Lizzie - powiedział Dylan.

Lizzie pokręciła głową. W oczach lśniły jej łzy.

- Mamo, może umówimy się na lunch: ty, ja, Dylan i jego mama. W przyszłym tygodniu. Wiem, mnie też jest przykro. Nie, nie, mamo, wszystko w porządku.

Holly patrzyła, jak Lizzie stara się nie wybuchnąć płaczem. Jeszcze chwilę porozmawiała z matką i rozłączyła się.

- Lizzie? To na pewno nieporozumienie. Wróćmy tam wszyscy i dobrze się bawmy.

- Mam się dobrze bawić? - zapytała Lizzie. - Moja przyszła szwagierka śmiertelnie mnie nienawidzi, a przyszła teściowa osobiście zaprosiła moją matkę na zakończenie przyjęcia zaręczynowego córki. Nie potrafię się dobrze bawić.

- Nie do wiary - warknął Dylan. - Co, do cholery, dzieje się z moją rodziną?

- Zenisz się ze mną - wyjaśniła Lizzie. - To właśnie się dzieje.

- Wrócimy tam i natychmiast porozmawiamy z moją matką - oznajmił Dylan. - Dwoje na jedną. Ciekawe, czy chętnie wyjdzie z przyjęcia, które sama wydała.

- Już wyszła - powiedział głos za nimi.

Holly, Dylan i Lizzie odwrócili się i zobaczyli Jake'a z różowym śladem szminki na policzku. Ciekawe, czyje usta go zostawiły, pomyślała sarkastycznie Holly.

- Od kwadransa nie mogę znaleźć pani Dunhill - oświadczył Jake. - Nikt jej nie widział.

- Świetnie! Nie mogła wytrzymać na naszym przyjęciu zaręczynowym - jęknęła Lizzie.

- Lizzie!

Lizzie odwróciła się gwałtownie, słysząc głos matki.

- Mamo! Przyjechałaś tak szybko!

- Za nic w świecie nie opuściłabym przyjęcia zaręczynowego mojej córeczki - powiedziała pani Morrow. W granatowej sukience było jej bardzo do twarzy. - Och, jak pięknie wyglądacie, ty i Holly. Gdzie Gayle? Pewnie flirtuje z jakimś przystojniakiem.

Lizzie przytuliła się do matki. Tak bardzo ucieszyła się z jej przyjścia, że natychmiast zapomniała o wrogości Pru i pani Dunhill. Wzięła ją pod jedno ramię, Dylan pod drugie i poszli razem do sali balowej.

- Idziemy i my? - zapytał Jake, podając Holly ramię.

Odetchnęła głęboko i wsunęła pod nie rękę.

Rozdział 9

Grają naszą piosenkę, pomyślał Jake, prowadząc Holly z powrotem do sali balowej. *Unchained Melody*. W jej rytm tańczyli swój pierwszy - i jedyny - wolny taniec podczas balu na zakończenie szkoły średniej. Był ciekaw, czy ona to pamięta.

Zerknął na nią. Zauważyła to.

- Grali to na naszym balu - powiedziała łagodnie.

A więc pamięta.

Przystanęła, zamyślona. Jake bardzo pragnął porwać ją w ramiona i tańczyć, zapominając o groźbach, strachu i niebezpieczeństwie. Chciał uciec z nią daleko, gdzieś, gdzie byliby sami. Zdziwiło go, że uczucie powróciło z taką siłą pomimo tego, co się między nimi stało. Powinien ją znienawidzić. Nie czuł jednak nienawiści. Nie mógł.

Wyglądała pięknie w swojej czarnej sukni, z lśniącymi, brązowymi włosami upiętymi w kok na karku. Czuł delikatny zapach perfum, innych, niż zwykle używała.

Bardzo jej pragnął. Cały wieczór nie mógł oderwać od niej wzroku.

Nie angażuj się, nakazał sobie w myślach. Trzymaj dystans.

Lizzie i Dylan zaczęli tańczyć, dołączyły do nich inne pary. Jake objął Holly w talii i poprowadził ją na parkiet.

Nie umiem nawet słuchać własnych rad, skarcił siebie. Jak mam trzymać dystans, kiedy jestem kilka centymetrów od niej?

Zerknęła na niego, a on dostrzegł dwie znajome, różowe plamki na jej policzkach. Uśmiechnął się do siebie.

Gdy jej delikatna dłoń dotknęła jego ręki, nie mógł już się bronić. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że czuł zapach jej mydła i szamponu. Wziął głęboki wdech i zamknął oczy, cofając się pamięcią o dziesięć lat, gdy jako osiemnastolatek był na balu z wymarzoną dziewczyną. Przetanńczyli kilka piosenek i za każdym razem, gdy zaczynał się wolny taniec, odsuwali się od siebie, zakłopotani, mamrocząc coś o ponczu. Aż do przedostatniej piosenki. Gdy zaczęła się piękna, powolna melodia, Jake zebrał się w sobie i poprosił Holly do tańca. Pamiętał, jak podała mu dłoń i pozwoliła się zaprowadzić na parkiet, jak spojrzała mu w oczy, zanim oparła policzek na jego ramieniu. Ten właśnie taniec dał Jake'owi odwagę, by wyznać Holly miłość. Dzięki Bogu nie zdążył jej powiedzieć, co do niej czuł.

Teraz tańczyli w milczeniu, tak jak tamtego wieczoru, i na chwilę Holly znów stała się jego najbliższą przyjaciółką i dziewczyną, którą kochał.

- Jak w dawnych czasach - szepnęła Holly, jakby czytała mu w myślach.

Ten wieczór bardziej sprzyjał romantycznym wspomnieniom niż zjazd absolwentów. Tu najważniejsza była miłość i płynąca z niej radość. W czasie zjazdu chodziło o dumę i zemstę. Mimo atmosfery zagrożenia tu czuło się podniosły, ciepły nastrój i miłość. Jake był pewien, że to Dylan i Lizzie roztaczają ten czar.

A także moje uczucie do Holly... czymkolwiek jest.

I nic nie odpowiedział.

- Dobrze. - Westchnęła. - Trzymajmy się interesów.

- Tak chyba będzie najlepiej - odparł.

Zerknęła na niego ciemnoniebieskimi oczami, które zawsze go urzekały

.- Cieszę się, że mama Lizzie jednak zdażyła przyjść - powiedziała. - Lizzie by się załamała, gdyby jej mamy nie było na przyjęciu, zwłaszcza z takiego powodu. Sądzisz, że pani Dunhill celowo podała jej złą godzinę?

Wzruszył ramionami.

- To by mnie nie zdziwiło.

- Właśnie, gdzie ona jest? - zapytała Holly. - Dlaczego wyszła z przyjęcia zaręczynowego własnego syna?

Tak, Victorio, gdzie jesteś? - zastanawiał się Jake. Utyskiwała od chwili, gdy Dylan i Lizzie przekazali jej tę wspaniałą wiadomość. „Zaręczeni? Wy dwoje? To po prostu skandal! Nic was nie łączy! Pożądania, drogie dzieci, nie powinno się mylić z miłością”. Dylan był bardzo cierpliwy, zwłaszcza wobec matki, ale wściekał się, gdy nie szanowano uczuć jego lub Lizzie. Wstał wtedy, wyprowadził Lizzie z pokoju i poinformował matkę, że nie będzie z nią rozmawiał, dopóki nie usłyszy przeprosin. Pani Dunhill, która nie mogła znieść milczenia synu, ustąpiła po trzech godzinach.

Czy zaryzykowałyby zerwanie kontaktu z synem, byleby nie dopuścić do tego małżeństwa? Jake pokręcił głową. Bardzo w to wątpił. Pani Dunhill miała motyw, ale Dylan po prostu za dobrze ją znał.

Jeśli nie Victoria Dunhill ani jej córka, Pru, to kto? Kto tak bardzo chciał rozstania Dylana z Lizzie i jak daleko był gotów się posunąć? Chyba każdy natychmiast zacząłby podejrzewać Ariannę Miller, bo całe miasto wiedziało o jej miłości do Dylana. Ale Jake sądził, że to nie ona jest sprawcą.

- Nie ma jej jaguara, czyli wyszła z rezydencji i pojechała sama - powiedział Jake. - To nie jest dowód winy, Holly. Wszyscy wiedzą, że nie cieszy się z zaręczyn. Może wyszła, bo była niezadowolona. Wcale nie musi knuć przeciw Lizzie.

Holly zerknęła na niego.

- Zależy ci na pani Dunhill. - To było stwierdzenie, nie pytanie, w dodatku zostało wypowiedziane lekko oskarżycielskim tonem.

- „Zależy” to nie jest właściwe słowo - zaprotestował Jake. - Powiedziałbym, że ją rozumiem.

Milczała dłuższą chwilę.

- Wciąż uważam, że jej zniknięcie jest podejrzane.
- Wcale nie. Na pewno kilka osób zauważyło jej nieobecność. Powiedzmy, że ty i Lizzie po powrocie do domu znajdziecie kolejną, okropną wiadomość. Podejrzanie padłoby na panią Dunhill. A ona nie jest głupia.
- Dokąd więc pojechała? - zapytała Holly. - Mówiłeś, że jej samochód zniknął.
- Tego jeszcze nie wiem - odparł Jake. - Ale się dowiem.
- Jak? - dociekała Holly.
- Zapytam wprost.
- Rzeczywiście, możesz to zrobić, skoro jesteście sobie tacy bliscy.
- „Bliscy” to także nie jest odpowiednie słowo. Ale uważa mnie za kogoś zaufanego, niemal członka rodziny. Tyle mnie teraz łączy z Dunhillami, że aż trudno mi uwierzyć, że kiedyś było inaczej.
- Kiedyś byłeś zaprzeczeniem „członka ich rodziny” - zauważyła Holly. - Co was tak zbliżyło, jeśli wolno zapytać?
- Fakt, że dotrzymałem słowa.
- Słowa? - drażyła.
- Dowiedziałem się czegoś, czego Victoria Dunhill bardzo nie chciała rozgłaszać - wyjaśnił Jake. - I zapewnilem ją, że dochowam tajemnicy. Od tamtej pory traktuje mnie jak członka rodziny.
- To musiało być coś bardzo ważnego - uznała Holly. Przez chwilę milczała. - Jakie wrażenie zrobiła na tobie pani Dunhill, gdy ją poznałeś?
- Potwierdziły się znane mi opinie na jej temat - odparł. - Że to bogata, nieuprzejma bigotka. Ale kiedy trochę lepiej ją poznałem, to, choć nadal dziwi mnie jej sposób myślenia, zacząłem ją akceptować.
- Jak możesz zaakceptować podłego człowieka? - zapytała. -- Przecież zawsze taka była i to się nie zmieniło.
- Pani Dunhill ma pewne zalety - odpowiedział Jake.
- Trudno mi w to uwierzyć - odparła Holly. - Ale rzeczywiście, prawie jej nie znam.
- Zgadza się - przytaknął szybko. - Nie znasz nikogo z tej rodziny.
- Znam Pru. To ona w czasach szkolnych zatrzymała życie mnie i moim przyjaciółkom. Pani Dunhill zwolniła moją ciocię Floreę, niesłusznie oskarżając ją o kradzież. A przyjaciele Dylana opowiadali wszystkim, że co noc sypiali ze mną i Lizzie. Czy zjazd absolwentów ci tego nie przypomniał?
- Podczas zjazdu kilka osób zepsuło zabawę wszystkim pozostałym. Kilka bardzo niedojrzałych osób. Nie pozwolę, żeby tacy ludzie przeszkadzali mi cieszyć się życiem, Holly.
- Sądzisz, że ja na to pozwalam?

- Sądzę, że za bardzo się przejmujesz... Jesteś dziwką? - zapytał po chwili.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Jesteś? - powtórzył. - Jeśli nie, to nie ma powodu, żeby raniły cię kretyńskie plotki jakiegoś przygłupa. Ja wreszcie to rozumiąłem.

Wciąż milczała. Wiedział, że myśli o jego słowach.

- Dylan mnie zaskoczył.

- Jak to?

- Trochę lepiej go poznałam - powiedziała. - Widzę, jak odnosi się do Lizzie. Chyba bardzo ją kocha.

- Bardzo - potwierdził Jake.

- A jednak - mówiła dalej - kiedyś myślałam, że jest równie podły jak jego siostra i jch znajomi. Założyłam, że jest jednym z nich, ale bardzo się myliłam.

- Byłoby podobnie, gdyby ktoś wyrabiał sobie zdanie o mnie na podstawie tego, że Dylan jest moim przyjacielem, albo dlatego że dobrze znam Victorię Dunhill.

Kiwnęła głową.

- Chyba zachowuję się jak snobka, tylko całkiem inna.

- Przeszłaś wiele trudnych chwil, Holly. Ważne, żebyś zawsze pamiętała, że to ty panujesz nad sytuacją.

- Teraz tak nie jest - zaprotestowała Holly. - Ten, kto próbuje zniszczyć Lizzie i Dylana, ma nad nami władzę.

- Nie - zaprzeczył Jake. - To nie władza. Ma przewagę, bo jest anonimowy. Ale gdy tylko ustalimy jego tożsamość, trafi do więzienia.

Przez chwilę nic nie mówiła. Potem ciężko westchnęła, a on zobaczył, jak bardzo jest zatroskana. Zawstydział się, że dodatkowo ją obciążył, mówiąc jej, co ma myśleć.

- Trzymajmy się sprawy - powiedział. - Przykro mi, że skierowałem tę rozmowę na tak prywatne tory.

- Mnie nie - szepnęła.

Na chwilę zamknął oczy, a potem powoli je otworzył i odwrócił wzrok od Holly, żeby się opanować.

Zobaczył Pru Dunhill i Ariannę Miller; patrzyły na Holly z nienawiścią.

- Wiedźmy nie są zadowolone. - szepnęła.

Holly zerknęła w tamtą stronę i poczuł, że drgnęła. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Takie spojrzenia nie mogą mnie zranić - powiedziała. - Przynajmniej spojrzenia Pru i Arianny. Nie wiem, kto jest numerem jeden na twojej liście podejrzanych, ale na mojej one zajmują pierwsze miejsca.

- Arianna ma największy motyw - głośno myślał Jake. - Od lat kocha się w Dylanie. Zawsze sądziła, że Dylan wróci do niej, kiedy się wyszumi.

- A kiedyś wrócił - zapytała Holly - od czasów szkoły średniej?

- Kilka razy - odparł Jake. - Wierzył jej, kiedy obiecywała, że zmieni się na lepsze i zacznie pracować jako wolontariuszka w klubie dla dziewcząt lub w szpitalu. Tylko że ona po trzech tygodniach rezygnowała i znów spędzała dni u manikiurzystki.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedziała Holly. - Dlaczego ona jest na przyjęciu? Dylan ją zaprosił? Bo na pewno nie Lizzie.

- Zaprosiła ją Pru - wyjaśnił Jake. - Pani Dunhill na pewno bardzo się ucieszyła, widząc jej nazwisko na liście gości.

- Zaraz, zaraz... - ciągnęła Holly. - Jeśli Arianna kocha Dylana, to dlaczego Pru zaprosiła ją na przyjęcie zaręczynowe? Dlaczego naraziła ją na cierpienie?

Jake uniósł brew.

- Naprawdę musiałaś zadać to pytanie? Wiesz, że Pru nie jest zbyt wrażliwa.

Holly skinęła głową i zerknęła na Ariannę, szepcząc coś do Pru.

Czy planują kolejną napaść na Lizzie?

- Nie zdziwiłbym się, gdyby te wiedźmy ostatni raz próbowały pokazać Dylanowi, że Arianna będzie dla niego lepszą żoną niż Lizzie - powiedział Jake. - Miejmy je dziś na oku. Dylan jest przy Lizzie, a nad tobą i Gayle czuwać ją z ochroniarzami. Jestem o was spokojny.

- A co z Fleą? - przeraziła się Holly. - O, Boże, może któraś z nas powinna była z nią zostać albo...

- Ochroniarz obserwuje jej dom i sklep - uspokoił ją Jake. - Siedzi w samochodzie ulicę dalej, żeby nie zwracać niczyjej uwagi, ale wszystko dobrze widzi.

Holly wyraźnie się odprężyła.

- Dzięki, Jake.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Jake'a znów oczarowała jej uroda.

- Hej, Jake! - usłyszeli głos nastolatka. - Przyjechałem.

Jimmy. Jake był zaskoczony, że chłopak przyjął zaproszenie, ale wcale się nie zdziwił, widząc go w dzinsach.

- Czy nie mówiłem, że obowiązują stroje oficjalne? - zapytał. - Dzinsy to nie jest strój oficjalny.

- A nie mówiłeś przypadkiem, że nie szata zdobi człowieka? - odgryzł się Jimmy. - Że nie liczy się ubranie, tylko wnętrze?

- Tu cię ma. - Holly uśmiechnęła się, puszczając oko do Jimmy'ego. Chłopak też promiennie się do niej uśmiechnął.

- Wywołałeś uśmiech damy, ale to nie znaczy, że ci się upiekło, mały - mruknął Jake. - Na formalne przyjęcia trzeba przychodzić w odpowiednim stroju.

- Nawet gdybym włożył ten kretyński garnitur, który wisi w mojej szafie, i tak czułbym się tu nie na miejscu - odparł nastolatek. — Spływam stąd.

- Jimmy, zostań jeszcze trzy sekundy, żebym zdążył cię przedstawić Holly Morrow.

Chłopak spojrzał na nią.

- Cześć - powiedział.

- Miło mi cię poznać, Jimmy - odparła Holly.

- Teraz mogę iść? Obiecałeś, że będę mógł się zmyć, jeśli mi się nie będzie podobało. I wcale mi się nie podoba!

- Chyba nawet nie spróbowałeś się dobrze bawić - zauważył Jake, targając blond włosy chłopaka. - Długo tu jesteś?

- Pięć, sześć minut. Barmani nie pozwalają mi się napić niczego dobrego, wszystkie kobiety są starsze ode mnie, a Dylan jest zajęty swoją dziewczyną i nawet ze mną nie pogada. Jak zwykle.

- Lizzie jest jego narzeczoną - poprawił Jake. - Nie dziewczyną. A przyjęcie wydano z okazji ich zaręczyn. Nie dziw się, że gruchają jak gołąbki.

- Mdli mnie na ten widok - oświadczył Jimmy. - Spadam! - Odszedł kilka kroków, ale się zatrzymał. - Mnie też było miło cię poznać - powiedział do Holly i poszedł sobie.

- No, no - mruknął Jake. - Powalająca uprzejmość. Zawsze, kiedy myślę, że już go rozgryzłem, chłopak mnie zaskakuje.

- Chyba jest trochę zły na Dylana - domyśliła się Holly. - Jak wygląda ich znajomość? I skąd znasz Jimmy'ego?

Jake opowiedział jej wszystko i dodał, że chłopak ostatnio się zmienił.

- Przykro mi wpisać go na listę podejrzanych, ale jego reakcja na zaręczyny Dylana...

- On cierpi - powiedziała Holly. - Współczuję mu całym sercem. I tobie też. Widzę, że bardzo ci na nim zależy.

- Tak - potwierdził Jake. - Dylanowi również. Myślę, że Jimmy nie byłby zdolny do czynów, których dopuścił się sprawca. Z drugiej strony, gniewa się, bo poczuł się odrażony.

Holly uściśnieła dłoń Jake'a. Odwzajemnił uścisk i cofnął rękę.

- Znowu odnoszę wrażenie, że ktoś nam się przygląda - powiedziała.

Jake rozejrzał się, pewien, że to Pru Dunhill. Ale Pru nie patrzyła w ich stronę. Szła do drzwi z Arianną.

- Arianna i Pru wychodzą - szepnęła Holly. - Będziemy je śledzić?

Zerknął na zegarek.

- Tuż po dziewiątej. Przyjęcie się kończy. Wolę zostać i zobaczyć, kto kiedy wyjdzie. Jeśli wolisz wrócić, zobaczę się z tobą i Gayle u Lizzie.

- Chętnie zostanę - odparła Holly.

Wyraźnie go to ucieszyło.

Orkiestra nagle przestała grać i rozległ się dźwięk srebrnego dzwoneczka. Rozmowy ucichły.

- Bardzo dziękuję wszystkim za przybycie - powiedziała głośno Victoria Dunhill.

Stała pośrodku sali balowej, na niewielkim podeście. Lokaj podtrzymał ją za łokieć.

Pani Dunhill, niestety, nie jest pani królową angielską.

- Przyszła żona mojego syna postanowiła obdarować wszystkich gości drobnymi upominkami - ciągnęła pani Dunhill. - Leżą w ślicznych, lawendowych torebeczkach na marmurowym stole w foyer. Proszę je brać. Jeszcze raz wszystkim...

Przerwał jej przeszywający krzyk.

Jake chwycił Holly za rękę i wybiegł do foyer. Pani Chipwell, jedna z bliskich przyjaciółek Victorii Dunhill, siedziała na fotelu przy drzwiach frontowych; wachlowała się zaproszeniem, nie mogąc złapać tchu. Wokół niej zebrała się grupka ludzi.

- Spójrzcie! - zaskrzeczała pani Chipwell. - Wzięłam jeden z upominków... To było w torebce!

Podniosła drewniane, malowane figurki, przedstawiające młodą parę. Na podstawie były napisane imiona Lizzie i Dylana.

Szyje figurek otaczał sznurkowy stryczek, przyczepiono do niego karteczkę z napisem:

Prędkiej umrzecie, niż weźmiecie ślub!

Rozdział 10

Holly poczuła, że stojąca przy niej Lizzie chwieje się na nogach. Gdy zaczęła się osuwać na ziemię, podtrzymał ją Dylan.

Położył Lizzie na czerwonym, aksamitnym szeszlunku w foyer i głaskał ją po głowie.

- Lizzie, kochanie... Lizzie?

Holly przyklękła przy Dylanie i wzięła kuzynkę za rękę.

- Lizzie, słyszysz mnie? Wszystko w porządku. Już dobrze.

Lizzie otworzyła oczy. Spojrzała na Holly, Dylana oraz inne, pochyłone nad nią osoby, i zaczęła płakać.

- Dość tego - szlochała. - Musimy odwołać ślub. Nie zniosę tego ani chwili dłużej!

- Lizzie - prosił Dylan. - Nie denerwuj się. - Odgarnął jej włosy z twarzy i zaczął masować skronie. - Oddychaj spokojnie i spróbuj się uspokoić.

Usiadła powoli.

- Kto był do tego zdolny?! - krzyknęła. - Kto to robi? Przywieźliśmy upominki prosto z mojego domu! Albo ktoś się tam włamał i splądrował go, albo był tu dziś! Może jeszcze jest!

- Nie martw się, Lizzie - uspokajał ją Jake. - Wszystkiego się dowiemy. Możesz być tego pewna.

- Uważam, że powinniśmy odwołać ślub, Dylanie - upierała się Lizzie. Z oczu płynęły jej łzy. - Pani Chipwell mogła dostać zawału.

- Drogie dziecko, nie jestem taka słaba! - oburzyła się pani Chipwell.

- Lizzie, pamiętaj, co ustaliliśmy - powiedział Dylan, podnosząc do ust jej dłoń. - Nie pozwolimy, żeby jakiś psychopata przekreślił nasze plany. Kochamy się i weźmiemy ślub. Tylko to się liczy.

- Ale, Dylanie... - zaczęła Lizzie.

Dylan poderwał się na nogi.

- Słyszysz, świrze?! - krzyknął, patrząc gniewnie na gości, stłoczonych w foyer. - Jeśli jesteś jednym z nas, z naszych przyjaciół, wiedz, że nic nie wskórasz! Kiedy się dowiem, kim jesteś, spotka cię zasłużona kara!

Pani Dunhill, która stała w drzwiach sali balowej, przepchnęła się przez tłum gości i podeszła do syna.

- Dylanie Dunhill! - Podniosła głos, co rzadko jej się zdarzało. - Insynuujesz, że ktoś z moich drogich przyjaciół jest odpowiedzialny za niefortunne incydenty, które przydarzają się Lizbeth i jej druhom?

- Ona ma na imię Lizzie, mamo! I nic nie insynuuję. Mówię po prostu, że jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że sprawca znajduje się w tym pomieszczeniu.

Rozległy się stłumione okrzyki. Goście przyglądali się sobie podejrzliwie. Holly ścisnęła dłoń kuzynki.

- Przyjęcie się skończyło - oznajmił Dylan z ponurą miną.

- Dylanie, jak śmiesz! - skarciła go matka. - To ja jestem gospodynią.

- Mamo, zaledwie przed kwadransem ogłosiłaś to samo - wycedził przez zaciśnięte zęby. Przykląkł obok Lizzie. - Kochanie, czy możesz wstać? Chcę cię stąd zabrać.

- Chyba tak.

Jake pochylił się do Dylana i szepnął mu coś do ucha. Ten kiwnął głową i pomógł Lizzie wstać.

.- Holly - powiedział Jake - Dylan zabierze Lizzie do domu i będzie przy niej, dopóki cię nie przywożę. Chciałbym, żebyśmy przedtem trochę popracowali.

Holly się zgodziła. Delikatnie objęła Lizzie.

- Niedługo będę w domu, Lizzie. Jake i ja wykryjemy, kto to wszystko robi. Przyrzekam!

Zapłakana Lizzie skinęła głową, a Dylan wyprowadził ją z rezydencji.

Henrietta Dunhill, wiekowa ciotka Victorii, powoli szła w stronę wyjścia, podpierając się laską. Sięgnęła po upominek.

- Nie, nie, pani Dunhill - powiedział łagodnie Jake. - Ktoś coś zmienił w tych torebkach.

- Co mówisz? - zapytała Henrietta. - Są urocze. Skoro wszyscy wyszli, wezmę dwie - dodała, mrugając porozumiewawczo. Wzięła upominki i otworzyła jedną z torebek. - To naprawdę prześliczne.

Figurki, które trzymała w dłoniach, nie miały pętli ani karteczki. Jake zerknął na Holly. Szybko podeszli do stołu i zaczęli otwierać lawendowe paczuski. Pętle i kartki znaleźli tylko w dwóch.

- Na przyjęciu była przyszła panna młoda i dwie drużny - wycedziła Holly. - Lizzie, Gayle i ja. Trzy osoby.

- Cóż, sprawcy nie obchodziło, w czyje ręce trafią te torebki. Pani Chipwell nie jest drużyną. Pewnie przypuszczał, że osoba, która dostanie taki upominek, natychmiast zacznie krzyczeć.

- Nieważne, czy wzięłaby go któraś z nas, i tak byśmy się dowiedziały - potwierdziła Holly.

Jake kiwnął głową.

- No i tak się stało.

Właśnie, pomyślała Holly, nagle czując wielkie znużenie.

- Te wszystkie nieprzyjemne wydarzenia bardzo mnie zmęczyły - odezwała się Victoria Dunhill, opierając się o balustradę schodów. - Walker! - zawołała do lokaja. - Odprowadź mnie na górę. I przynieś Louisa.

- Zanim uda się pani na spoczynek, pani Dunhill - powiedział Jake - chciałbym pani zadać kilka pytań.

Uśmiechnęła się do niego.

- Drogi Jacobie, już późno. Jestem zmęczona. Przeżyłam duży stres. Może przyjdiesz do mnie rano?

- Dobrze - zgodził się. - Czy ma pani coś przeciwko temu, żebym się tu trochę rozejrzał?

Zatrzymała się na schodach i odwróciła do niego, ale nie spojrzała mu w oczy.

- Skądże, mój drogi. Proszę bardzo.

Jake zaczekał, aż weszła na górę, i powiedział do Holly:

- Stryczki i karteczki przyczepił do figurek gość z tego przyjęcia. Do-
wiemy się, kto to taki, nawet jeśli będziemy musieli spędzić tu całą noc.

Holly spojrzała na niego. Perspektywa spędzenia nocy z Jakiem Boone'em
chyba jej się spodobała.

Antyczny zegar, wiszący na ścianie, odmierzał: sekundy głośnym tyka-
niem. Jake oddychał bardzo powoli i spokojnie. Holly siedziała oparta
o niego, z głową na jego ramieniu.

Spała mocno.

Błogo.

Bał się poruszyć, bo mogłaby się obudzić i zdenerwować, że jest tak
intymnie blisko niego.

Intymnie. Dziwnie było tak o tym myśleć. Dziesięć lat temu Holly czę-
sto zasypiała z głową na jego ramieniu, gdy siedzieli na kanapie i ogląda-
li film albo nad jeziorem, kiedy zmęczyło ich puszczenie kaczek. Budziła
się zadowolona. Wcale jej nie krępowało, że była przytulona do Jake'a.
Było to dla niej równie normalne jak rozmowa.

A on siedział nieruchomo, wsłuchiwał się w jej oddech, patrzył, jak jej
pięść miarowo podnosi się i opada, wdychał zapach jej szamponu, chłó-
nął każdy, nawet najdrobniejszy ruch, podziwiał jej usta i dłonie.

Chciał, żeby tak było zawsze. W takich chwilach należała do niego.

Teraz czuł się tak samo, chociaż daleko mieszkała i nie byli już nawet
przyjaciółmi. Holly Morrow spała przytulona do niego.

Delikatnie pogładził jej dłoń i spojrzał na mosiężne wskazówki zegara.

Była północ. Od zakończenia przyjęcia upłynęły trzy godziny. Gdy go-
ście wyszli, oni przeszukali rezydencję i jej okolice. Rozglądali się za
wszystkim, co mogłoby im podpowiedzieć, kto włożył stryczki na figurki
nowożeńców. Szukali zgniecionego paragonu, wrzuconego do kosza na
śmieci. Opakowania ze sklepu, gdzie kupiono te rzeczy. Czegoś, co spraw-
ca nieopatrznie zostawił. To mogło leżeć na widoku.

Przestępcy popełniają błędy. Ze zdenerwowania zdarza się im zrobić
fałszywy krok.

Ale Jake i Holly nic nie znaleźli.

Po dwóch godzinach poszli do gabinetu, żeby pomówić o sprawie,
o wszystkich faktach i hipotezach. Wymyślili tylko tyle, że sprawca jest
bardzo ostrożny i działa pod ich nosem.

- Podejrzane są Pru i Arianna, oddzielnie lub razem. Jest też młody Jimmy. I Bobby Jones. Oraz Victoria Dunhill. Wszyscy mają motyw.

- W dodatku każdy, kto oglądał jakiś stary film, miał dostęp do domu Lizzie - powiedział Jake...- Lizzie zostawia klucze pod wycieraczką lub doniczką albo nad drzwiami. Może psychopata wszedł tam, zobaczył upominki i podrasował kilka z nich.

- Poza tym wiele osób ma klucze do jej mieszkania: matka, przyjaciółki, mechanik, Dylan... Lizzie jest bardzo ufna.

- Nawet ja mam klucz. - Jake pokręcił głową. - Zanim wstąpiłem do policji, myślałem, że to zdarza się tylko w filmach. Nie miałem pojęcia, że ludzie naprawdę zostawiają klucze prawie na widoku. Każdy może wejść do ich domu. To stereotyp: klucz pod wycieraczką, nad drzwiami lub pod doniczką.

Holly przytaknęła.

- Jak już powiedziałam, Lizzie jest ufna. Dziwne, że życie nie nauczyło jej ostrożności. Mimo że ludzie okrutnie ją traktowali, zawsze im ufała. - Spuściła wzrok.-Tym się różnimy.

- Chciałabyś być bardziej ufna?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Sądzę, że bezpieczniej jest nie ufać, trzymać dystans, jednocześnie będąc otwartym. Tyle że jeśli trzyma się dystans, to nie ma mowy o prawdziwej otwartości.

- Chyba jest coś pomiędzy - zauważył Jake. - Rozsądna ostrożność.

- To moja cecha. - Czy uważasz, że ja... - Urwała i szczerzej otuliła się szalem.

Chciałbym to wiedzieć, dokończył w myślach Jake. Kiedyś wiedziałem, jaki masz charakter. Niestety, nie znam kobiety, którą się stałaś.

Oddechnęła głęboko i przez chwilę wpatrywała się w sufit.

- Kiedy znalazłyśmy na łóżku kupkę ziemi, Lizzie pozbierała wszystkie klucze, schowane przed domem, i kazała wymienić zamki. Nowe klucze dała tylko Dylanowi, mnie, tobie i mamie. Może Pru wykradła klucz Dylanowi i zrobiła duplikat.

- To możliwe - zgodził się Jake.

Słowa „wszystko jest możliwe” wydawały się wisieć w powietrzu, chociaż ani Holly, ani Jake nie wypowiedzieli ich głośno.

Jake zastanawiał się, dlaczego w przeszłości, gdy byli sobie bardzo bliscy, nie mogli być razem, a teraz, gdy prawie się nie znają, wydaje się to prawdopodobne.

Tak to już jest. Ludzie właśnie z tego powodu łączą się w pary.

Stałem się cynikiem? - pomyślał.

Holly poruszyła się, wrywając go z zamyślenia. Patrzył, jak powoli otwiera oczy i rozgląda się. Gdy się zorientowała, że on jest przy niej, usiadła prosto.

- Zasnęłam? - zapytała, tłumiacz ziewnięcie.

- Ucięłaś sobie dwudziestominutową drzemkę.

- Cały czas opierałam się o ciebie? - zapytała nerwowo. - Bardzo cię przepraszam.

- Nie ma za co - odparł. - Jestem przyzwyczajony.

- Do usypiania kobiet swoim towarzystwem? - zapytała z uśmiechem.

A potem się roześmiała, więc on też. Nie spodziewał się żartu.

To przełamało lody.

- Żartuję sobie, bo wiem, że to nieprawda - wyznała. - Przymiotnik „nudny” nie pasuje do Jake’a Boone’a.

- Miło mi to słyszeć. - Znów się roześmiał.

Uśmiechnęła się, a on odniósł wrażenie, że w pokoju zrobiło się cieplej.

- Miło znów być z tobą, Jake. - Spojrzała na niego nieśmiało. Po chwili odwróciła wzrok. - Czasami nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo nam czegoś brakuje... - Potrząsnęła głową. - Nie będę nawet kończyć, bo to nieprawda. Od początku bardzo za tobą tęskniłam.

- Ja za tobą też - powiedział tak cicho, że nie wiedział, czy nie była to tylko myśl.

Łzy w jej oczach przekonały go, że jednak to powiedział.

Wbił wzrok w podłogę.

- Może gdybyśmy kiedyś rozmawiali wprost, nasza przyjaźń by się nie skończyła.

Dlaczego to powiedział? Wcale nie miał zamiaru. Teraz on powrócił w przeszłość.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- To, że nie wiedziałem, jak nisko mnie ceniłaś.

Słumiła krzyk.

- Co? Jake, żartujesz sobie? Byłam tobą zachwycona!

- Zacytuj: „To ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła”.

Sama to powiedziałaś.

Posmutniała. Przez chwilę patrzyła w ziemię, potem powoli podniosła na niego wzrok.

- Jake, żałowałam tych słów, gdy tylko je wypowiedziałam.

- Ale wypowiedziałaś. Wyraziłaś swoje myśli.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Wtedy związek z tobą oznaczałby pozostanie w Troutville. Ty o tym marzyłeś. Ja pragnęłam wyjechać. Wtedy wszystko wydawało mi się białe lub czarne. Zostać lub wyjechać.

Uniósł brew.

- Ślub bierze się z miłości do siebie nawzajem. Miejsce zamieszkania nie ma żadnego znaczenia.

- Ma, jeśli w tym miejscu umiera nasza dusza - szepnęła.

Spojrzał na nią.

- Wskaźnik rozwodów jest bardzo wysoki, Jake. Małżeństwo zaczyna się od miłości, którą potem weryfikuje życie. Troutville zabiłoby nasze uczucie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Na chwilę zamknął oczy, nie wiedząc, co myśleć. Jej słowa wydawały mu się rozsądne.

- Wyobraźmy sobie, że poprosiłabym, żebyś wyjechał ze mną z Troutville. Zrobiłbyś to?

Czy wyjechałbym z Troutville, gdybyś poprosiła? Natychmiast kupiłbym bilet autobusowy. Pojechałbym wszędzie, byle z tobą.

Jake nie zastanawiał się nad tym, czy Holly z miłości do niego zostałyby w Troutville. Wiedział, jak bardzo nienawdziła tego miasta. Nigdy nie żądałby od niej takiego poświęcenia. Długo bał się poprosić, żeby zabrała go ze sobą. Gdy wreszcie zebrał się na odwagę, poznał jej prawdziwe uczucia.

Przecież nie powiedziała: „Troutville to ostatnie miejsce na świecie, gdzie spędziłabym życie”. Powiedziała: „Jake to ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła”.

Wszystko to było bardzo skomplikowane. Jake marzył o tym, żeby zostać w Troutville i służyć w policji, tak jak jego ojciec i dziadek. Pokonać przeszkody. Mieszkać tam, gdzie chciał, bez względu na to, jak traktowali go mieszkańcy Górnego Troutville. Miał pomysły na rozbudowę Dolnego Troutville. Chciał, żeby wszystkim lepiej się tam żyło, żeby było to bezpieczniejsze miejsce dla dzieci i osób starszych. Wiele z tych pomysłów udało mu się zrealizować.

Holly nienawdziła Troutville. Nigdy nie poprosiłby jej, żeby została.

Potrząsnął głową. Jaka to różnica?

Spojrzała mu w oczy. Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy.

- Ja... ogromnie mi przykro z powodu tego, co się stało... jak wszystko się skończyło... - Wbiła wzrok w swoje stopy. - Och, Jake, nie wiem, jak się zachować. Tyle chcę ci powiedzieć.

Nagle zadzwonił jego telefon komórkowy. Jake wyjął go z kieszeni, bezgłośnie przeprosił Holly i zerknął na numer, który pojawił się na wyświetlaczu.

Dzwonił Dylan.

- Dylan? Co się stało?

- Lizzie i ja właśnie weszliśmy do jej domu... Przedtem długo jeździliśmy samochodem i spacerowaliśmy po moście, w jej ulubionym miejscu...

W domu znaleźliśmy kolejną wiadomość. Tym razem została napisana na ścianie, nad łóżkiem Lizzie. Część flamastrem, część chyba krwią.

- Krwią? - powtórzył.

Holly się odwróciła.

- Co się stało? - zapytała przerażona. - Czy coś złego spotkało Lizzie?

- Kolejna wiadomość - szepnął. — Dylan... - powiedział do telefonu. -

Zaraz tam będziemy. Trzymajcie się.

- Lizzie zamknęła się w łazience i nie chce wyjść - dodał Dylan. - Płacze, jest bliska paniki... Nie mogę jej uprosić, żeby mi otworzyła. Jake, bardzo się martwię. Przedtem udawało mi się ją uspokoić, teraz nie potrafię.

- Co jest napisane na ścianie? - zapytał Jake.

- Zobaczysz. Nie chcę tego nawet powtarzać.

Przez cztery minuty jazdy do domu Lizzie Holly nie mogła zebrać myśli. Proszę, niech Lizzie nic nie będzie, modliła się tylko. Jej kuzynka zbyt wiele już przeszła.

Zanim Jake zdążył zaparkować na podjeździe, Holly wybiegła z samochodu, wpadła na ganek i zadzwoniła do drzwi.

- Dzięki Bogu, że jesteście - powiedział Dylan, pokazując gestem, żeby weszli. - Holly, chyba tylko ty możesz ją uspokoić.

- Jest na górze, w swoim pokoju? - zapytała Holly.

- W łazience - odparł Dylan. - Zamknęła drzwi na klucz.

Holly chciała wbiec na schody, ale Dylan delikatnie złapał ją za ramię.

- Zaczekaj, Holly. Jake powinien chyba iść z tobą.

Spojrzała na Dylana, potem na Jake'a. Po chwili skinęła głową, zaczynając rozumieć. Wiadomość była aż tak okropna.

Holly pomału otworzyła drzwi sypialni Lizzie. Łóżko stało naprzeciwko drzwi, więc od razu zobaczyła wielkie litery, napisane flamastrem.

Ladacznicą Lizzie jest w ciąży!

Napis był podkreślony krwią.

Pod Holly ugięły się kolana. Chwyciła się framugi.

- Trzymam cię - usłyszała głos Jake'a i poczuła, że obejmuje ją ramieniem.

- Lizzie, kochanie? - mówił Dylan. - Przyszła Holly.

Słyszając imię kuzynki, Holly poczuła przypływ adrenaliny.

- Lizzie! - Podbiegła do drzwi łazienki. Dylan położył na nich dłoń, jakby w ten sposób mógł przekazać do środka swoje uczucia.

Kochają, pomyślała Holly z całkowitym przekonaniem.

- Mogę spróbować? - zapytała.

Kiwnął głową ze łzami w oczach. Podszedł do łóżka, usiadł, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Płakał.

Jake stanął obok i objął przyjaciela ramieniem. Dylan podniósł głowę i głęboko odetchnął. Wytrzeł oczy.

- Lizzie, kotku, to ja, Holly. Wpuścisz mnie?

Żadnej odpowiedzi.

- Lizzie, chcę cię tylko przytulić. Nie musimy rozmawiać. Tylko cię przytulę i powiem, że wszystko będzie dobrze.

Usłyszała pociągnięcie nosem. Jakiś ruch. Odgłos przesuwanej zasuwki.

- Otwarte - powiedziała cicho Lizzie.

Holly odwróciła się i spojrzała uspokajająco na Dylana, a potem powoli wsunęła się do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi. Lizzie, która siedziała na podłodze, poderwała się i padła w objęcia kuzynki. Osunęły się po ścianie na podłogę tak, że pół siedziały, pół leżały.

Lizzie szlochała. Holly tuliła ją, gładziła po głowie i szeptała:

- Wypłacz się. Tak. Wszystko będzie dobrze.

Po kilku minutach Lizzie przestała płakać. Jakiś czas siedziały w milczeniu.

- To prawda - szepnęła w końcu Lizzie. - Jestem w ciąży.

Holly uniosła twarz kuzynki.

- Gratuluję, Lizzie. - Uśmiechnęła się. - Przyszła mamusiu.

Lizzie uśmiechnęła się słabo.

- Będę matką, Holly. Zawsze o tym marzyłam.

-I to wspaniałą - powiedziała Holly. - Maluch ma szczęście, że trafiłaś mu się właśnie ty - dodała, delikatnie dotykając jej brzucha.

Lizzie uśmiechnęła się i też dotknęła swojego brzucha.

- Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Chciałam, ale...

- Nie szkodzi, Lizzie. Bardzo się cieszę z twojego szczęścia. Wychodzisz za męża, będziesz miała dziecko. Wszystkie twoje marzenia się spełniają. Ten psychopata - wskazała ręką drzwi - nie zaprzepaści twoich pragnień. Słyszysz mnie?

Lizzie zagryzła wargę i kiwnęła głową. Kilka razy głęboko odetchnęła.

- Och, Holly, już mi trochę lepiej. Ale przeraża mnie, że ktoś chce mnie skrzywdzić, a ja nie wiem, kto to jest. - Zamarła. - O mój Boże!

- Co się stało?

- Nikomu nie mówiłam, że jestem w ciąży, oczywiście oprócz Dylana. Ani mamie, ani tobie, ani rodzinie Dylana. A jednak ktoś się dowiedział.

- Czy to możliwe, że ktoś usłyszał twoją rozmowę z Dylanem? - zapytała Holly. - A może ktoś widział cię, wychodzącą od lekarza? Gdzie byłaś, kiedy mu powiedziałas?

Lizzie zastanowiła się chwilę.

- Kiedy tylko się dowiedziałam, poszłam do niego do Ośrodka dla Chłopców. Rozmawialiśmy w jego gabinecie. Po korytarzu chodzili jacyś chłopcy, jeden odbijał piłkę do koszykówki, inny słuchał płyty z przenośnego odtwarzacza. W pobliżu nie było dorosłych. Nie znam żadnego z chłopców.

- Czyli byliście sami w gabinecie?

- Tak. A potem rozmawialiśmy o dziecku tylko wtedy, gdy mieliśmy absolutną pewność, że jesteśmy sami. Troutville to plotkarskie miasto. Nie chcieliśmy, żeby ludzie mówili, że pobieramy się z powodu dziecka.

Holly westchnęła.

- Czy sprawca mógł to zgadnąć?

- Chyba tak - powiedziała Lizzie. - Ale nie było to łatwe.

- Jakaś wskazówką może być słowo „Ladacznica” - myślała głośno Holly. - To ze szkoły średniej. Może zawężymy krąg podejrzanych.

- Przez ostatnich dziesięć lat często słyszałam wyzwisko Ladacznica Lizzie. Od ludzi, którzy wcale nie chodzili z nami do szkoły. Po prostu do mnie przyłgnęło.

Holly z oburzeniem pokręciła głową.

- Powiem ci, co masz dziś robić. Myśl optymistycznie o dziecku i ślubie. Zmartwienia zostaw Jake'owi i mnie.

- Spędzacie dużo czasu razem - zauważyła Lizzie. W jej oczach błysnęły iskierki.

- Jest miło - szepnęła Holly.

Lizzie uścisnęła jej dłoń.

- Wyjdziemy i powiemy chłopcom, że wszystko jest w porządku?

Holly kiwnęła głową.

- Dylan jest załamany. On płakał, Liz.

Lizzie zagryzła dolną wargę.

- Te draństwa były skierowane przeciwko mnie, więc to mnie wszyscy pocieszali. Nie pomyślałam, że on też cierpi. Że jego też trzeba pocieszyć. Przecież ktoś chce skrzywdzić jego przyszłą żonę i matkę jego dziecka.

- Dobrze - powiedziała Holly. — Pocieszajcie się wzajemnie, a ja z Jakiem trochę powęszymy. Złapiemy winnego.

Lizzie kiwnęła głową i uściskała Holly, a potem otworzyła drzwi. Wybiegła prosto w ramiona narzeczonego, który poprowadził ją w dół po schodach. Jake i Holly szli za nimi.

- Lizzie zanocuje dziś u mnie - powiedział Dylan. - Zadzwonimy do was rano. Dziękuję, że przyszliście.

- Nie ma za co - odparł Jake. - Trzymaj się, Lizzie. Zawiadomię policję i dopilnuję, żeby rzetelnie wszystko zbadała.

Lizzie uśmiechnęła się błado przez ramię i już ich nie było.

Jake i Holly stali na ganku i patrzyli, jak samochód Dylana wyjeżdża na główną ulicę.

- Uważam, że powinniśmy zacząć rano - stwierdził Jake. — Już późno, oboje jesteście wyczerpani, więc na pewno nie wymyślimy nic sensownego. Najpierw niech policja poszuka śladów.

Holly kiwnęła głową.

- Nie mogę tu spać. Pójdę do Flei lub Gayle...

- Przenocujesz u mnie.

To nie było pytanie, a ona nie odpowiedziała.

Oboje wiedzieli, że tak właśnie będzie.

Rozdział 11

Dwie godziny później Jake postawił na tacy talerz z ciasteczkami oraz dwa kubki parującej herbaty i wrócił do salonu w swoim mieszkaniu. Holly stała przy wielkim oknie, patrząc na panoramę Troutville.

- Bardzo dużo stąd widać - powiedziała, splatając ramiona. - Choć jest tak późno w świetle gwiazd, księżycy i latarni dobrze widzę budynek szkoły średniej, jezioro i tor łyżwiarski. Całe centrum miasta. Nawet granicę między Dolnym a Górnym Troutville.

- Między innymi dlatego tak lubię ten widok. - Jake postawił tacę na stoliku. - Z wysokości szóstego piętra granica wygląda niegroźnie. To po prostu ładny, zielony stok. Patrząc stąd, uświadomiłem sobie, że Górne Troutville to tylko wzgórze. Nic więcej.

Zerknęła na niego.

- Nie powiedziałabym, że „nic”.

- Ludzie wytyczyli tu symboliczną granicę - uściślił Jake. - U stóp pięknego wzgórza, które stworzyła natura.

Holly odwróciła się od okna.

- Kubek gorącej herbaty dobrze mi zrobi.

- No to siadaj. - Poklepał kanapę i usiadł na jednym końcu, żeby Holly czuła się swobodnie na drugim. - Przykro mi, że nie mogę zaproponować lepszej nocnej przekąski.

Holly uśmiechnęła się.

- Twoja mama pewnie wpada w szal, kiedy przyjeżdża tu z wizytą. Pamiętam, jak lubiła gotować. Nigdzie nie widziałam tak dobrze zaopatrzonej spiżarni i lodówki, jak u twojej mamy.

Jake odwzajemnił uśmiech.

- Do tej pory przysyła mi paczki. Dużo zdrowego jedzenia. Gdy wybiera się tu z wizytą, dobrze wie, że lodówka i szafki świecą pustkami. Po drodze zatrzymuje się więc przy supermarkecie i wykupuje cały sklep.

- To twoja mama nauczyła mnie piec ciasta - powiedziała Holly.

Jake przypomniał sobie Holly w wieku dziewięciu, dziesięciu i więcej lat, aż do osiemnastu, siedzącą na taborecie w jego rodzinnej kuchni, z nosem i fartuszkami oproszonymi mąką i poplamionymi lukrem. Uwielbiała pomagać jego matce w pieczeniu ciast. Jake zawsze pochłaniał co najmniej dwie ogromne porcje tych pyszności, od ciasteczek po wspaniałe torty. Objadał się jak szalony, a potem chodził zygakiem po kuchni, łąpał się za brzuch i padał na podłogę. Holly natychmiast do niego podbiegała, a on, mimo przejedzenia, był w siódmym niebie.

- Zdziwiło mnie, że nie zostałam cukiernikiem - powiedział Jake. - Chociaż chciałam mieć stałą, spokojną pracę, zawsze sądziłem, że z niej zrezygnujesz i podążysz za swój a pasją.

Zerknęła na niego zaskoczona.

- Nie przypuszczałam, że uważasz mnie za osobę z pasją.

- Zapominasz, jak dobrze cię znam.

Znow na niego spojrzała, ale się nie odezwała. Po chwili sięgnęła po ciasteczko.

- Albo czujesz się zakłopotana, albo jednak jesteś ufna - zauważył Jake z uśmiechem.

- Chyba jedno i drugie - odparła. Skubnęła ciastko. - Bardzo dobre. - Rozejrzała się. Miał rację, czuła się zakłopotana.

- Nie zostałam więc cukiernikiem. Tylko nauczycielką. Wyobrażam sobie siebie w tej roli. Na pewno jesteś wspaniałą.

- Uwielbiam uczyć - przyznała Holly. - Mam cudownych uczniów. Lubię patrzeć, jak z błyszczącymi oczami chłoną wiedzę. Ale nauczycielką zostałam przede wszystkim dlatego, żeby pomóc dzieciom z mniejszą motywacją. Tym, które przezywają rówieśników albo które mają kłopoty w domu. Dzieciom, którym jest ciężko.

- Takim jak my kiedyś.

Kiwnęła głową.

- Jedną z naszych nauczycielek angielskiego była po prostu fantastyczna - powiedziała Holly. - Pamiętasz panią Vogel, która uczyła nas w trzeciej klasie?

Kiwnął głową.

- Jasne. Udało jej się zainteresować mnie Szekspirem.

- Właśnie. Bo zależało jej na każdym z nas z osobna. Nie uważała nas tylko za grupę siedemnastolatków. W każdym szukała iskierki, która rozpaliby się pod wpływem przerabianego tekstu. Tak samo staram się postępować ze swoimi uczniami. T to naprawdę działa. W szesnastowiecznych sztukach i dziewiętnastowiecznych powieściach znajduję coś, co mogą odnieść do swojego życia, teraz, w XXI wieku. I nagle uświadamiają sobie, że chcą czytać. Myśleć. Pisać wypracowania. Oczywiście nie wszyscy. Nie nazwałabym się nauczycielką doskonałą, ale robię, co w mojej mocy.

- Twoi uczniowie mają szczęście - powiedział Jake. - A Hoboken... Podoba ci się tam?

Holly skinęła głową.

- Wspaniale mi się tam mieszka. Nowy Jork jest bardzo blisko, tuż za rzeką. To miejsce tętni życiem, zawsze można znaleźć coś ciekawego dla siebie. No i mieszka tam panna Ellie z Herbertem.

- Panna Ellie z Herbertem? - zdziwił się Jake.

- Najbardziej romantyczna para, jaką znam. Panna Ellie przekroczyła siedemdziesiątkę, a Herbert osiemdziesiątkę. Zakochali się w sobie do szaleństwa w ośrodku dla seniorów, gdzie Herbert mieszkał, a panna Ellie pracowała jako wolontariuszka. Pobrali się tuż przed moim wyjazdem do Troutville.

- Nowożeńcy w tym wieku! - Jake się uśmiechnął. - Rzeczywiście, romantyczne.

Holly uśmiechnęła się na myśl o swoich niezwykłych przyjaciółach.

- Panna Ellie od wielu lat była moją sąsiadką. Po ślubie wprowadził się do niej Herbert. Dzięki panie Ellie czułam się, jakby tuż obok mieszkał ktoś z mojej rodziny. Nie wiem, czy lubiłabym Hoboken aż tak bardzo, gdyby ona nie była moją sąsiadką.

- Chyba rzeczywiście jest wyjątkową osobą. Cieszę się, że znalazła sobie męża.

Holly przypomniała sobie Herberta i pannę Ellie całujących się na peronie, gdy czekali na pociąg, którym miała odjechać do Troutville. I nazywa „Troutville” natychmiast skojarzyła jej się z Lizzie.

- Mam nadzieję, że Lizzie dobrze się czuje. - Zmarszczyła brwi. - Bardzo się o nią martwię.

- Przy Dylanie nic jej nie grozi - zapewnił Jake. - Dobrze, że ją uspokoiłaś.

- Serce mi się krajało, gdy zobaczyłam łzy Dylana. Dziesięć lat temu nie przypuszczałabym, że jest do tego zdolny.

- Nie każdy bogacz z Górnego Troutville jest złym człowiekiem.
- Dylan wydaje mi się naprawdę dobry - zgodziła się Holly. - Chyba szczerze kocha Lizzie.

Jake potaknął.

- To prawda. Kiedy byłaś w łazience z Lizzie, powiedział mi, że spodziewają się dziecka. Dylan będzie wspaniałym ojcem. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Bardzo troszczy się o chłopców, którym pomagamy w ośrodku. - Uśmiechnął się. - Holly, będziesz miała małego kuzyna. - Uniósł kubek z herbatą. - Gratuluję.

- Cieszę się ze szczęścia Lizzie. Zawsze marzyła o dziecku. Na pewno będzie cudowną matką.

- A ty? - zapytał.

- Co?

- Chcesz być matką?

Zesztywniała.

- Jasne.

- I?

- I co? - zapytała. - Nie mam nawet...

- Dlaczego?

- Bawimy się w dwadzieścia pytań? - zapytała zirytowana.

- Tak - odparł z uśmiechem.

Oplotła kubek palcami.

- Po prostu jeszcze nie poznałam odpowiedniego mężczyzny. I tyle.

- Kochałem się w tobie, kiedy byliśmy w szkole średniej, Holly - powiedział cicho. Bardzo cicho.

Zaczerwieniła się.

- Nie wiedziałam.

- Starąłem się to ukryć.

- Dlaczego? Dlaczego nie powiedziałaś mi o swoim uczuciu?

- Bo wiedziałem, że byś mnie nie zechciała. Marzyłaś o wyjeździe. Ja tkwiłem w Troutville. Nie byłem kimś nowym, ciekawym, z szerokiego świata, nie wiązały się ze mną żadne nowe możliwości. Byłem po prostu Jakiem Boone'em, przyjacielem z dzieciństwa, z Dolnego Troutville. A przecież chciałaś stamtąd uciec.

- Ja też cię kochałem - wyznała. Zerknęła na niego nieśmiało i odstaawiła kubek. - Tak, Jake. Bardzo cię kochałem.

Nie chciał już nic mówić. Nie chciał kontynuować tej rozmowy. Nie chciał pytać, dlaczego powiedziała o nim „ostatni mężczyzna, za którego bym wyszła”, skoro tak bardzo go kochała.

Chciał tylko wierzyć w jej wyznanie, bez żadnych zastrzeżeń.

Wstał i przeszedł na drugi koniec kanapy, żeby usiąść przy Holly. Uniósł do ust jej dłoń. Ujął ją za podbródek, przechylił jej piękną twarz, a potem pocałował.

Ciepło. Słodycz. Dreszcz.

Całował ją coraz namiętniej. W pierwszej chwili zeszywniała, ale zaraz poczuł, jak się odpręży i przytula do niego. Jeden pocałunek. To wystarczyło, żeby się zatracił. Czekał na tę chwilę dziesięć lat. Wziął Holly na ręce, zaniósł do swojej sypialni i położył na miękkim kocu pokrywającym łóżko.

Położył się obok niej i pocałował ją jeszcze raz, bardzo namiętnie. Na pewno czuła, jak na niego działa. Przez chwilę tulił ją mocno, a potem położył się na niej i uniósł na łokciach, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Tak długo na ciebie czekałem, Holly.

- Kochaj mnie, Jake - szepnęła.

Jęknęła cicho. Jake rozpiął zamek jej sukienki i rozsunął poły, odsłaniając kawałek skóry i białe, koronkowy stanik. Zdjął go szybko, a potem przesunął dłonią po jej pełnych piersiach z różowymi sutkami. Jęknęła znowu, prężąc plecy, a on zaczął pieścić ustami jeden z jej sutków. Ssał go, aż przeszył ją dreszcz. Gdy się do niej przytulił, sięgnęła ręką do jego rozporka. Po chwili jego spodnie znalazły się na podłodze, obok koszuli i sukienki Holly.

Miała na sobie już tylko białe, bawełniane majtki, których widok podniecił go do szaleństwa. Zsunął je po jej długich, smukłych, jedwabistych nogach i pieścił każdy centymetr kwadratowy jej ciała, od stóp, przez kolana i aksamitne uda aż po środek jej kobiecości.

- Teraz - szepnęła mu do ucha.

Wszedł w nią powoli, patrząc jej w oczy. Starał się opanować, ale ona drżała i jęczała, więc pozbył się wszelkich zahamowań. Kochał się z nią, mocno, potem powoli, szybko, znów bardzo mocno, aż wykrzyczała jego imię, a on nie mógł już wytrzymać ani chwili dłużej.

Położył się przy niej, słuchał bicia jej serca i tchnienia oddechu. Ujął jej rękę. Gdy splotła palce z jego palcami, zamknął oczy.

Spał.

Holly spojrzała na niego. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała przy każdym oddechu. Wyglądał pięknie. Światło wczesnego poranka połyskiwało na jego brązowych, jedwabistych włosach; chciała przesunąć po nich palcami, ale bała się go obudzić. Chciała mu się przyglądać dłużej, zapamiętać każdy szczegół.

„Kochałem cię w szkole średniej...”

Wiedziała, że teraz jej nie kocha. Nie mógłby i nie chciał. Ale tej nocy, przynajmniej przez chwilę, obdarzył ją swoją miłością.

Całkowicie. W pełni. I bardzo przyjemnie.

Holly przeciągnęła się z zadowoleniem. Nie była dziewicą, ale nigdy przedtem nie przeżyła czegoś takiego. Miała kilku chłopaków, chociaż żaden związek nie trwał długo. Próbowwała się zakochać w fantastycznych mężczyznach, których poznawała albo z którymi ją swatano. I choć lubiła męskie towarzystwo, randki i seks, jej serce nigdy nie zdrząło. Nie tak jak w szkole średniej dla Jake'a Boone'a.

Tej nocy zdrząło znowu.

Jake się poruszył. Gdy się przeciągał, koc zsunął się, odsłaniając jego pięknie zarysowane mięśnie. Powoli otworzył oczy. Spojrzał na nią, jakby nagle przypomniał sobie, że ona tu jest.

Nic nie powiedział.

Ona też milczała.

Cisza była nie do zniesienia.

- Dobrze spałeś? - zapytała wreszcie Holly, czując się idiotycznie. Nie wiedziała, jak się zachować.

- Dobrze. A ty?

- Dobrze - powtórzyła.

- To świetnie. Zamówię śniadanie w barze U Doreen. Zjemy i zajmemy się sprawą.

Wziął spodnie, wciągnął je, a potem wyskoczył z łóżka, narzucił koszulę na ramiona i wyszedł z sypialni.

Holly była bardzo zakłopotana.

Poczuła łzy napływające jej do oczu.

Paliły ją policzki. Szybko się ubrała i poszła do łazienki. Chciała umyć twarz i zęby, choćby palcem i pastą, ale gdy odkręciła kurek z wodą, łzy trysnęły jej z oczu. Płakała pochylona nad umywalką. Wreszcie wytarła twarz ręcznikiem i trochę się uspokoiła.

W drzwiach sypialni zawahała się, czując się jak trzynastolatka przed wejściem na pierwszą szkolną potańcówkę. Odetchnęła głęboko, przybrała - miała taką nadzieję - nonszalancki wyraz twarzy i weszła do salonu.

Jake stał przy drzwiach frontowych, płacił dostawcy. Położył na stole dwie białe torebki.

- Mogą być omlety i kawa? Pamiętam, że zawsze lubiłaś omlety.

Wspominał przeszłość, ale czuł się zakłopotany tym, co stało się w nocy? Holly zastanawiała się, co on myśli. Kusiło ją, żeby zapytać, przecież wczoraj był bardzo bezpośredni, ale czuła, że potrzebuje spokoju. Chciała mu go dać, choćby kosztem własnego cierpienia.

- Świetnie - powiedziała. - Umieram z głodu. Chyba wypiłabym cały dzbanek kawy.

- No to dobrze zrobiłem, zamawiając po trzy kubki dla każdego z nas.

- Uśmiechnął się.

Usiedli przy stole i jedli śniadanie. W milczeniu.

- Chciałabym już zadzwonić do Lizzie - powiedziała wreszcie Holly. - Ale jest bardzo wcześnie. Lepiej zaczekać przynajmniej do dziewiątej.

Jake kiwnął głową.

- Za godzinę zatelefonuję do Dylana. On da słuchawkę Lizzie i porozmawiacie.

-Dzięki.

Wyglądał na zdenerwowanego. Zakłopotanego. Niepewnego.

- Chyba wskoczę pod prysznic. Gazeta jest na stoliku.

Kiwnęła głowę. Patrzyli na siebie przez chwilę, jakby czekali, że któreś coś powie. Nic, milczenie.

Wczoraj byliśmy ze sobą najbliżej, jak to jest możliwe, a teraz dzieli nas emocjonalny mur? - zastanawiała się. Bardzo chciała wiedzieć, co Jake myśli o tym, co stało się między nimi w nocy. Ale zamiast zapytać wprost, siedziała, nie mogąc wydobyć słowa.

-H m... Rozgość się - powiedział i zniknął w łazience.

Holly westchnęła i wbiła wzrok w sufit.

Nie, nie myśl, nakazała sobie. Nie myśl. Zajmij się czymś.

Bębniła palcami po udzie, gapiła się w sufit, sączyła kawę.

Chciała pobiec do łazienki i wejść z Jakiem pod prysznic, pokazać mu, co czuje.

A co naprawdę czuje? - zadała sobie pytanie.

Nie wiem. Wiem tylko, że jestem u siebie. Przy Jake'u i Lizzie czuję się tak, jakbym była u siebie. W domu.

Czy mogła się tak czuć w Troutville, mieście, które teraz znienawidziła jeszcze bardziej niż przed dziesięciu laty?

Nieważne, gdzie jesteś. Przy Jake'u, Lizzie, cioci Louise, Gayle czy Flei. Po prostu jesteś w domu.

Dom jest tam, gdzie ludzie, których kochasz.

Zamrugnęła, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie chciała, żeby Jake wyszedł z łazienki i zobaczył ją płaczącą. Wszystkie te uczucia były dla niej tak nowe, że nie była jeszcze gotowa, by je z kimś dzielić.

Zwłaszcza z Jakiem, który najwyraźniej chciał zapomnieć o wydarzeniach nocy.

„Kochałem cię w szkole średniej...”

Być może ta noc była dla niego zakończeniem pewnych spraw. Może chciał spełnić marzenie chłopca, którym kiedyś był.

Znowu spojrzała na sufit, szukając odpowiedzi.

Przestań myśleć, Holly. Lepiej przeczytaj gazetę.

Podniosła „Gazetę Troutville”, brukowiec, którego nigdy nie lubiła, i oparła się wygodnie na kanapie. Była to lokalna gazeta, wydawana w małym nakładzie, ale prawie wszyscy mieszkańcy Troutville czytali ją od deski do deski. Holly bardzo zraził artykuł *Zagrożona panna młoda* na pierwszej stronie. Jake mówił, że dwaj reporterzy, którzy pisali o „incydentach”, byli bardziej zainteresowani osobami niż relacjonowaniem faktów. Miał nadzieję, że pomogą wyjaśnić tę sprawę, ale ich artykuł był w najgorszym plotkarskim guście.

Z bijącym sercem poszukała relacji z wczorajszego „incydentu” i z ulgą stwierdziła, że nie napisano nic. Pewnie nie było już na to czasu przed oddaniem do druku. Poza tym nie zawiadomili policji, a przeszukując dom i okolicę, nie znaleźli żadnego dowodu.

Nic. Znowu nic. Jak to było możliwe, że sprawca nie zostawiał śladów?

Holly miała już rzucić gazetę na stolik, gdy j ej wzrok przykuła rubryka *Miejskie plotki*. Jej autorką była bogata, sześćdziesięcioletnia kobieta, której mąż był kiedyś właścicielem gazety. Rubrykę czytało i komentowało całe miasto. Dziś nagłówek głosił: To dlatego się z nią żeni.

Holly odetchnęła głęboko i modliła się w myślach, żeby to, co właśnie miała przeczytać, w żaden sposób nie wiązało się z Lizzie. Widząc jej nazwisko już w pierwszym wierszu, załamana zgmiotła gazetę i rzuciła na podłogę. Po chwili pomyślała jednak, że Lizzie na pewno dowie się o tym tekście, więc podniosła gazetę; musi to przeczytać, żeby przygotować się do kontrataku.

Ze ściśniętym gardłem wygładziła stronę i przeczytała:

Podobno Dylan Dunhill III i Lizzie Morrow biorą ślub, bo Lizzie jest w ciąży i zmusza go do zalegalizowania związku. Wszyscy się zastanawiają, jak zawróciła mu w głowie. A może Dylan, najlepsza partia w mieście, lubi takie kobiety.

Skąd wiemy, że panna Morrow jest w ciąży? Hm... Trzy osoby z Troutville doniosły, że zamawia kawę bezkofeinową, chociaż słynie z tego, że co dzień wypija morze prawdziwej kawy. Goście, którzy brali udział w eleganckim przyjęciu zaręczynowym, wydanym przez jej przyszłą teściową Victorię Dunhill, mówią, że Lizzie nie wypija ani jednego kieliszka wina czy szampana. Ponadto ma dziwne zachcianki kulinarne - chyba zawsze dopisywał jej apetyt. Wiemy z wiarygodnego źródła, że zjadła cały talerz frytek i dwa hot dogi z przyprawami podczas niedawnego dobroczynne-

go meczu koszykówki, rozegranego w Ośrodku dla Chłopców, w którym jako wolontariusz udziela się jej przystojny narzeczonej.

Dobrze się składa, że Lizzie jest silną dziewczyną z Dolnego Troutville, bo straszne wydarzenia, których ofiarą padają ona i jej przyjaciółki, na pewno wywołują duży stres, a wiemy, że nie jest to dobre dla dziecka.

Szum wody w łazience ucichł.

- Jake! - zawołała Holly. - Natychmiast muszę jechać do Lizzie!

Wybiegł z łazienki, owinięty w biodrach zielonym ręcznikiem. Po piersi spływały mu krople wody. Holly rzuciła mu stronę z gazety. Przeczytał ją z taką samą miną, jaką miała Holly.

- Co za draństwo! - mruknął. - Same bzdury. Jak ona śmie?

- Oby Lizzie się nie przejęła i uznała, że to zwykłe, złośliwe plotki. Ale obawiam się, że to ją dobije. Nie wiem, ile jeszcze może znieść.

- Daj mi dwie sekundy, żebym włożył koszulę i dzinsy.

Po kilku minutach byli pod domem Dylana, oddalonym o zaledwie pół kilometra. Ale Dylana i Lizzie nie zastali.

W koszu na śmieci przy podjeździe leżał przedarty na pół egzemplarz „Gazety Troutville”.

Ani Lizzie, ani Dylan nie odbierali telefonów komórkowych. Holly i Jake nie mieli pojęcia, gdzie się podzieli ich przyjaciele. Siedzieli w samochodzie Jake'a na parkingu przy parku Cooper, ulubionym miejscu Lizzie. Mieli nadzieję, że zobaczą ich, spacerujących ścieżką przy terenach dla psów albo rzucających chleb kaczkom na jeziorze, niestety daremną.

Jake zerknął na Holly. Wyglądała na bardzo zmartwioną. Oddałby wszystko, żeby teraz wziąć ją w ramiona.

Ale dlaczego? Dlaczego tak się zachowywał?

Obudził się wcześniej rano. Widok Holly w jego łóżku bardzo go poruszył. Jake leżał przez chwilę, nie mogąc zebrać myśli, nie rozumiał własnych uczuć. Tak go to przytłoczyło, że zamknął się w sobie i zachowywał jak idiota.

- Nie wiem, gdzie jeszcze ich szukać.

Ocknął się, słysząc głos Holly.

- Byliśmy chyba wszędzie - dorzuciła.

Miał nadzieję, że nie przysparza Holly dodatkowych trosk. Bardzo martwiła się o kuzynkę. Nie chciał, żeby cierpiała, zastanawiając się, co on myśli.

Ale co mam jej powiedzieć? Że ostatnia noc znaczyła dla mnie więcej, niż potrafiłbym wyrazić, i dlatego zamknąłem się w sobie i udaję, że nic się nie stało?

- Co robi Dylan, kiedy mu źle? Może ma ulubione miejsce, gdzie chodzi, żeby coś przemyśleć?

- W takich sytuacjach najczęściej rzuca do kosza - powiedział Jake. - W Ośrodku dla Chłopców. Nie sądzę jednak, żeby teraz grał z Lizzie w koszykówkę.

- Może chodzą po okolicy? Po lesie przy ośrodku?

- Warto sprawdzić.

Dziesięć minut później podjechali pod Ośrodek dla Chłopców. Na parkingu nie było samochodu Dylana, ale Jake dostrzegł go na ścieżce pod lasem. Samochód był pusty.

- Och, dzięki Bogu - westchnęła Holly. Odwróciła się do Jake'a. - Jak myślisz, chcą być teraz sami? Woleliby nie spotykać się nawet z nami? Może lepiej im nie przeszkadzać? Że też wcześniej o tym nie pomyślałam.

- Cóż, wyłączyli telefony komórkowe - odparł Jake..- Może rzeczywiście chcą być sami, tylko we dwoje. Dobrze, że ich odszukaliśmy, ale teraz dajmy im trochę spokoju.

- Chyba zaczekam na Lizzie w domu - stwierdziła Holly. - Kiedy wróci, będzie mogła ze mną porozmawiać, jeśli zechce.

-To dobry pomysł - pochwalił Jake.

Zobaczył, że na chwilę zeszywniała. Pewnie myślała, że chciał się już jej pozbyć.

Wcale tak nie jest, powiedział jej w myślach.

Zawrócił samochód i ruszył w stronę domu Lizzie. Jechali w milczeniu.

Holly przez cztery godziny krążyła nerwowo po domu, aż wreszcie usłyszała odgłos otwieranych i zatraskiwanych frontowych drzwi. Po chwili rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

- Lizzie?! - zawołała, zbiegając po schodach. Zajrzała do salonu. Pusto. - Lizzie, wszystko w porządku?! - krzyknęła.

Żadnej odpowiedzi.

Wpadła do kuchni. Lizzie klęczała nad stłuczonym kubkiem, ze zmiotką i śmietniczką w rękach. Nieruchomym wzrokiem patrzyła na czerwone kawałki ceramiki.

- Lizzie?

Znów żadnej odpowiedzi. A po chwili ły.

- Lizzie, kochanie?

- Czytałaś dzisiejsze wydanie „Gazety Troutville”? Przeszanę ją prenumerować, na pewno.-Wybuchła płaczem.

- Och, Lizzie - westchnęła Holly, przytulając kuzynkę. Lizzie głośno szlochała.

- Staram się być silną - łkała. - Dylan powiedział, że to nasza najlepsza obrona. Ale jest mi tak ciężko! Ten tekst był wstrętny! To atak na mnie! Pewnie z powodu dziecka. To niewinne, kochane maleństwo nie powinno być celem tak obrzydliwej wrogości. Nie zniosę tego! - Gniew osuszył jej łzy. - Och, Holly, miałaś rację, wyjeżdżając z tego cholernego miasta!

- Masz prawo spokojnie tu żyć - oświadczyła Holly. - Troutville to twój dom.

- Jestem zupełnie bezbronna wobec tych okropnych ataków na mnie. Jeśli nie psychopata, to brukowa gazeta albo Pru Dunhill...

- Walczmy z nimi.

Lizzie spojrzała na nią.

-Jak?

-Napisz artykuł - zaproponowała Holly. - Przynajmniej będziesz mogła przedstawić swoje racje. Swoją wersję zdarzeń. Jeśli ludzie nie będą chcieli ci uwierzyć, to już ich problem. Ale ty na pewno poczujesz się lepiej.

Lizzie spodobał się ten pomysł. Poderwała się na nogi, wzięła blok i ołówek, po czym usiadła przy kuchennym stole.

- Co mam napisać?

Holly uśmiechnęła się i usiadła przy niej.

- Powiedz temu miastu, kim jesteś i co czujesz. To wszystko.

- Tak właśnie zrobię! - oświadczyła Lizzie, podchodząc do lodówki. Wyjęła słoik pikli i butelkę keczupu. Pokroiła pickle, ułożyła na talerzu i obficie polała keczupem. Włożyła jeden plasterzek do ust i dołała keczupu do pozostałych na talerzu.

- Naprawdę jesteś w ciąży! - Holly puściła do niej oko.

Lizzie się roześmiała.

- Od kilku tygodni starałam się ignorować te dziwne zachcianki - powiedziała. - Na wypadek, gdyby ktoś mi się przyglądał. No i tak było! Gdybym wiedziała, że tak mnie potraktują w tym szmatławcu, jadłabym pickle z keczupem i kostki cheddara wszędzie. - Włożyła dwa plasterki do ust. Potem odepchnęła talerz i znów zaczęła płakać. - Gdybyś się dowiedziała z tej rubryki... Byłabym zdruzgotana. Cieszę się, że powiedziałam ci wcześniej... mniej więcej. Przynajmniej zdążyłam też powiedzieć mamie, zanim usłyszała o tym w mieście. Zadzwoiłam do niej o świcie. O, Boże, to po prostu obłąd! - Położyła dłoń na ręce kuzynki. - Cholera, znowu zaczynam. Jestem w ciąży, Holly-Molly! Tylko to się liczy, bardzo się cieszę! A Dylan dosłownie szaleje z radości. Urodzi nam się dziecko!

- I ja bardzo się cieszę, Lizzie.
- To oznacza, że będziesz miała pierwszą siostrzenicę - oświadczyła Lizzie. - Cioteczną siostrzenicę?
- Holly się roześmiała.
- Nie mam pojęcia!
- Jeśli to będzie dziewczynka, Dylan chce ją nazwać Lizzie, po mnie. Czyż to nie słodkie?
- Holly kiwnęła głową, zbyt wzruszona, żeby coś powiedzieć.
- A jeśli to będzie chłopiec?
- Dylan Dunhill IV.
- Bardzo się cieszę - powtórzyła Holly, znów obejmując kuzynkę.
- Wiem, Hol. Bardzo przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. Zataiłam przed tobą tyle spraw.
- Możesz mi mówić wszystko, Lizzie. Przrzekam, że już nigdy nie będę cię osądzać.
- Wiedziała, że dotrzyma słowa.
- *Ciekawe, co teraz myśli matka Dytena - zastanawiała się Lizzie.*
- Będzie babcią - powiedziała Holly. - Na pewno jest zachwycona.
- Cóż, moja mama jest zachwycona. Ale ona mnie kocha. Matka Dylana nawet mnie nie lubi - dodała, marszcząc brwi. -I może nie być zbyt zadowolona, że zaszłam w ciążę przed ślubem.
- Na pewno tak się ucieszy przysłym wnukiem, że zapomni o całej reszcie - uspokajała Holly.
- Lizzie nie wyglądała jednak na przekonaną.

Rozdział 12

Nie zdziwiłabym się, gdyby spadły ceny akcji naszych firm - mruknęła pani Dunhill, trzaskając „Gazetą Troutville”, otwartą na stronie *Miejskich plotek*, o blat biurka. - To skandal!

Jake i Dylan siedzieli naprzeciwko niej. Jakę zerknął na przyjaciela, który wyglądał tak, jakby miał zaraz wybuchnąć.

- Mamo - wycedził Dylan przez zaciśnięte zęby. - Nie skandal. Błogosławieństwo. Szkoda, że nie rozumiesz. To właśnie jest skandal.

- Dylanie Dunhillu III - powiedziała Victori[^] Dunhill. - Gdyby twój ojciec słyszał, jak się do mnie odezwałeś, przewróciłyby się w grobie!

Zdesperowany Dylan pokręcił głową.

- Jake, przemów mojej matce do rozsądku, dobrze?
- Jake nie płodzi dzieci przed ślubem - warknęła pani Dunhill. - Ani nie jest z tego powodu zmuszany do małżeństwa.

Dylan podniósł się, chcąc wyjść. Jake położył mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić.

- Pani Dunhill, proszę wybaczyć, ale w tej sprawie popieram Dylana. Będzie pani miała wnuka. To powód do radości.

- Nie zamierzam organizować parady na wieść o nieślubnym dziecku - odparła wrogo.

- Cóż, mam, w takim razie Lizzie i ja będziemy cieszyć się sami - oznajmił Dylan. - Zresztą już się cieszymy.

- Nie myśl, że jestem staroświecka - powiedziała pani Dunhill. - Tu chodzi o moralność. Stosowność. Pozycję społeczną. Ludzie w mieście biorą z nas przykład.

Gdy Dylan i Jake patrzyli na nią z niedowierzaniem, podniosła słuchawkę antycznego telefonu i wykręciła numer.

- Pru, moja droga, tu mama. Chcę cię zaraz widzieć w swoim gabinecie. Tak, moja droga, to ważne. Powiedziałam, zaraz. Nie za pięć minut.

Po kilku chwilach Pru, wyglądająca tak, jakby właśnie wyszła z salonu piękności, wsunęła głowę do pokoju. Na widok Jake'a od razu zaczęła się zachowywać uwodzicielsko, wypinać pierś i kręcić na palcu pasma włosów.

- Och, Jake'u Boone, co też zrobiłeś, że aż tak zdenerwowałeś moją mamę?

O, rany!

- Pru, wejdź, proszę - powiedziała pani Dunhill. - Usiądź. - Wskazała jej fotel obok Dylana. - Czytałaś dziś „Gazetę”?

- Domyślam się, że chodzi ci o ciążę Lizzie... - Pru oglądała sobie paznokcie. - Nie, ale Arianna przeczytała mi dużą część artykułu przez telefon. Byłam zbyt znudzona, żeby słuchać do końca.

- Znudzona? - zapytała pani Dunhill. - Nudzi cię, że będziesz ciotką bękarta?

- Cóż, jeśli to bękart, to nie będę jego ciotką. Zgadza się? - odparła Pru.

- Właśnie, mam. - Dylan zerknął na siostrę. - Nie masz się więc czym martwić. Dziecko nie będzie twoim wnukiem, jeśli go nie uznasz.

Pani Dunhill dobrze zrozumiała jego słowa.

- Grozisz mi?

- Czy ja ci grożę? - Dylan spojrzął na Jake'a i zamachał rękami. - Co ona plecie, do cholery?

- Nie wyrażaj się tak w tym domu! - skarciła go matka.
- Och, ale słowo „bękart” cię nie razi?
- Mogę już iść? - zapytała Pru. - Jestem umówiona na pedikiur. Ten kolor wygląda po prostu okropnie z tą sukienką, nie sądzisz, Jake? - Uniosła kolano i oparła stopę na krawędzi fotela. Widać było jej białe majtki w kwiatki. Lekko rozsunęła nogi.
- Pru, widać ci bieliznę. Tak nie powinna się zachowywać córka królowej etykiety - zakpił Dylan.
- Pru Dunhill! - warknęła pani Dunhill, sięgając nad biurkiem, żeby uderzyć córkę w kolano.
- Mamo, spóźnię się - powiedziała Pru. - Wiadomość o ciąży nie jest gorsza niż wiadomość o małżeństwie, więc po co te nerwy?
- Dylan spojrział w sufit i zaczął liczyć do dwudziestu. Jake znów położył mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić.
- Jake, chodźmy. - Dylan wstał.
- Jeszcze nie skończyłam - zaprotestowała pani Dunhill.
- Ale ja tak - odparł Dylan.
- Gdy tylko znaleźli się za drzwiami, Dylan kopnął ceglana ścianę tak mocno, że aż się skrzywił.
- Dylan, wyładowuj agresję na boisku, nie tutaj - ostrzegł Jake. - Chyba nie chcesz sobie złamać stopy?
- Masz rację. Zabieramy się stąd! - Dylan zbiegł po schodach do samochodu.
- Gdy tylko się w nim znaleźli i wyjechali na drogę, trochę się uspokoił.
- Kuzynka Lizzie miała rację, wyjeżdżając z Troutville. Nie mogę już znieść własnej rodziny. Zaczynam nienawidzić tej cholernejszej, plotkarskiej, prostackiej dziury. Ostatnio dużo myślałem o wyjeździe. Lizzie chce zostać, ale moim zdaniem byłibyśmy szczęśliwsi gdzie indziej. W jakimś nowym miejscu. Tam, gdzie będziemy mogli zacząć razem nowe życie, bez tych wszystkich idiotycznych uprzedzeń i animozji.
- Cóż, jeśli już musicie się przeprowadzić, wybierzcie sąsiednie miasto. - Jake uśmiechnął się do przyjaciela. - Jesteś potrzebny w Ośrodku dla Chłopców.
- Wiem - odparł Dylan. - Nigdy nie opuściłbym Ośrodka, chociaż dzieci w potrzebie są wszędzie.
- A propos Ośrodka... Lizzie mówi, że tam powiedziała ci o ciąży. Podobno w pobliżu było kilku chłopców. Czy któryś z nich mógł usłyszeć waszą rozmowę? A może ktoś czekał pod drzwiami, kiedy wychodziłeś z Lizzie?

- Próbuję sobie przypomnieć - powiedział Dylan, wjeżdżając na plac Troutville. - Byłem tak oszołomiony tą wiadomością, że nie widziałem świata wokół siebie. Och, zaraz... Pamiętam, że zanim weszła Lizzie, zaczęli mnie Billy Mayville i Logan Jefferson. Prosilili, żebym ich nauczył rzucać za trzy punkty. A Jimmy Morgan czekał na mnie, kiedy wychodziłem z Lizzie, ale byłem w takim szoku, że tylko się z nim przywitałem.

Jake spochmurniał.

- Widziałeś go później?

Dylan pokręcił głową.

- Całkiem o nim zapomniałem. Jestem mu winien przeprosiny. Kilka tygodni temu spędzałem z nim dużo czasu. Teraz nie spotykamy się prawie wcale.

Gdy Dylan parkował w pobliżu ich biur, Jake ciężko westchnął.

Oby tylko Jimmy Morgan nie był naszym sprawcą, pomyślał.

-Holly, tak?

Holly odwróciła się i zobaczyła Jimmy'ego Morgana, nastolatka, którego poznała na przyjęciu zaręczynowym. Siedział na ławce i rzucał kamyczkami w kota, który próbował zjeść tuńczyka z puszki zostawionej przez jakąś litościwą duszę. Za każdym razem, gdy kot zbliżał się do puszki, Jimmy rzucał kamyczek. Holly zauważyła, że nie robił tego na tyle mocno, żeby kota zabolalo, ale i tak straszyl biedne zwierzę.

Do Lizzie przyszła mama, żeby pogratulować jej ciąży, więc Holly wybrała się na spacer. Musiała pomyśleć o poranku i nocy z Jakiem.

- Zgadza się. Holly Morrow. A ty jesteś Jimmy.

- A to niespodzianka - powiedział, wciskając ręce w kieszenie. - Zwykle nikt mnie nie zauważa.

- No widzisz, a ja cię pamiętam. Jesteś kolegą Jake'a.

- Kiedyś nim byłem - odparł, rzucając kolejny kamyczek w kota.

- Kiedyś? - powtórzyła Holly. - Przestań męczyć to biedne zwierzątko.

- Nie przejmuj się nim - powiedział. - Tak jak Jake nie przejmuje się mną.

-Jimmy...

Chłopak podskoczył.

- Wszystko mi jedno. Najpierw Lizzie, teraz ty. Zanim przyjechałaś do miasta, Jake miał dla mnie czas. A tylko on mi pozostał, odkąd Dylan zwariował od tych małżeńskich planów.

- Dylanowi i Jake'owi bardzo na tobie zależy - przekonywała Holly, wiedząc, że nie wolno jej go teraz urazić. Chłopak mógł w każdej chwili wybuchnąć.

- Ciekawie to okazują- mruknął. - A teraz, kiedy Dylan i Lizzie będą mieli dziecko, mogą się nie łudzić, że pomoże mi poprawić rzuty albo pouczy mnie algebry.

Wiesz o dziecku? - pomyślała. Wątpiła, żeby Jimmy czytał plotkarskie rubryki w brukowcu. Przypomniała sobie słowa Lizzie; „Po korytarzu chodzili jacyś chłopcy...”

Och, nie, pomyślała Holly. Oby to nie był Jiminy!

Chłopak z rezygnacją wzruszył ramionami i odszedł.

Holly powoli zbliżyła się do kota. Kiedy śliczny dachowiec był już przekonany, że nie rzuci w niego kamieniem, zaczął się ocierać o jej nogi w dzinsach. Podrapała go za uszkami.

- Jedz obiad, mały - zachęciła, gładząc jego jedwabistą sierść. Jak na bezańskiego kota, był bardzo zadbany. - Na pewno ktoś weźmie cię do domu.

Jimmy musi się czuć opuszczony, pomyślała. Ale czy aż tak, by wyładować gniew na ukochanej Dylana?

Ostatni raz poklepała kota po łebku i ruszyła przez park. W głowie kłębiły jej się pytania bez odpowiedzi. Grupa chłopców grała w koszykówkę, jakieś dzieci biegały po boisku, ale Holly prawie nie słyszała kafeonii dźwięków. Ruszyła szybkim krokiem w stronę budki telefonicznej przy publicznych toaletach. Wspaniale, była wolna. W czasach, gdy wszyscy oprócz Holly mieli telefony komórkowe, automaty telefoniczne zwykle były wolne.

Niestety, aparat zjadł ćwierćdolarówkę i nie chciał działać. Przypomniała sobie, że jakieś trzysta metrów dalej, przy kortach tenisowych, jest inna budka telefoniczna. Odwróciła się i ruszyła w tamtą stronę, gdy nagle ktoś chwycił ją od tyłu.

- Hej! - krzyknęła.

Napastnik zarzucił jej na głowę worek z szorstkiego płótna. Szarpała się, ale mocno ją trzymał.

Próbowała krzyczeć, ale worek wciskał jej się do ust. Z trudem łapała powietrze. Poczwała, że coś zaciska się na jej szyi-

Nie! - krzyczała w myślach, szamocząc się, by się uwolnić.

Nagle napastnik gwałtownie ją pchnął, tak że upadła na ziemię. Usłyszała odgłos kroków.

- Ratunku! - próbowała krzyknąć przez worek. - Pomocy!

Uświadomiła sobie, że jest wolna. Nikt jej nie trzymał. Zaczęła szarpać sznur zawiązany na szyi. W końcu pętla się rozluźniła, Holly ściągnęła ją i zerwała worek z głowy.

Odetchnęła głęboko, nabierając powietrza w płuca. Dopiero wtedy otworzyła oczy i rozejrzała się. Nie było nikogo. Napastnik zaciągnął ją za toalety. Obok rosło kilka drzew. Gdyby chciał ją zabić, najprawdopodobniej już by nie żyła.

Z trudem łapiąc oddech, Holly ze złością odrzuciła worek.

Wtedy zobaczyła kartkę przyklejoną do niego taśmą.

Na zwykłym kawałku papieru w linie było napisane:

Wracaj do domu, Puszczalska Holly. Bo inaczej cię zabiję.

I podkreślone czerwonym flamastrem.

Holly znów wpadła w panikę. Nie mogła się podnieść z ziemi. Za wszelką cenę starała się opanować. Wstań i uciekaj stąd, nakazała sobie. No wstawaj!

Wreszcie znalazła w sobie siłę, żeby się podnieść. I uciec.

- Jake, przyszła do ciebie panna Morrow. Mówi, że to pilne.

Jake pobiegł do drzwi gabinetu i energicznie je otworzył. Przy biurku jego sekretarki stała blada i drżąca Holly. Splotła ręce. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Holly? - zawołał, podbiegając co niej. Objął ją i wprowadził do swojego gabinetu. Gdy tylko zamknął drzwi, przytuliła się do niego. - Holly, co się stało? - Potrząsnęła głową, ale nie mogła wydobyć głosu. Tulił ją więc i gładził po głowie. - Spokojnie, Holly. Już dobrze. Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna.

Zaczęła się uspokajać. Wyprostowała się, a on zaprowadził ją na sofę przy oknie.

- Ja... - Urwała. - Ktoś mnie zaatakował. - Sięgnęła do reklamówki i wyjęła worek, kawałek grubego sznurka i kartkę papieru.

Jake wziął je od niej i przeczytał wiadomość.

- O Boże. Opowiedz mi wszystko, Holly.

Odetchnęła głęboko i zrelacjonowała wydarzenia, zaczynając od spotkania z Jimmym Morganem, a kończąc na tym, jak napastnik pchnął ją na ziemię.

- Nie chcę oskarżać Jimmy'ego - powiedziała. - Ale zwróć uwagę na czas, Jake. Wszystko wskazuje na niego. Był wściekły. Gdybyś widział, jak rzucał kamykami w tego biednego, głodnego kota!

- Rzeczywiście, to wskazuje na niego - potwierdził. - Nie lituj się nad samotnym nastolatkiem, wściekłym na cały świat. Jeśli to on cię napadł,

to oznacza, że ma poważne zaburzenia. Będzie musiał ponieść konsekwencje swoich czynów.

- Wciąż czuję sznur na szyi - poskarżyła się, rozcierając delikatną skórę.

Spojrzał na czerwone ślady na jej karku. Starał się opanować narastającą furję. Holly bardzo potrzebowała jego pomocy. Po kolei, powiedział sobie. Najpierw zajmij się Holly. Potem znajdź drania, który jej to zrobił.

- Zawiozę cię do Lizzie - powiedział. - Odpoczniesz trochę i napijesz się herbaty. A ja zawiadomię policję. Ktoś przyjdzie spisać twoje zeznania.

- Nie chcę jechać do Lizzie - zaprotestowała natychmiast. - Załamie się, jeśli powiem, co mi się przydarzyło. Kobieta w ciąży nie powinna się denerwować.

- Masz rację, ale w końcu będziemy musieli jej powiedzieć. Dla własnego bezpieczeństwa powinna wiedzieć, z jakim potworem ma do czynienia. Z jakim potworem my wszyscy mamy do czynienia. Ten psychopata chyba stracił nad sobą kontrolę. Jest zły, że ślub nie został odwołany mimo zdarzenia na przyjęciu zaręczynowym i napisu na ścianie, więc zaatakował znowu. Jedno jest pewne: musimy wzmocnić ochronę.

Kiwnęła głową.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby się uspokoić przed spotkaniem z Lizzie - powiedziała. - Nie chcę, żeby zobaczyła mnie w takim stanie.

- Rozumiem. Może więc jedźmy do mnie. Tam spokojnie odpoczniesz - zaproponował Jake.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, przed oczami stanął mu obraz Holly w jego łóżku. A raczej wiadomo: był w jego myślach, odkąd Jake obudził się i zobaczył ją śpiącą w białej pościeli. Starał się wyprzeć go z pamięci, choć wiedział, że pewnie nigdy mu się to nie uda.

- Nie wiem, czy chcę jechać do ciebie - zawahała się Holly. - Twoje mieszkanie kojarzy mi się z pewnymi nierozwiązanymi sprawami.

- Może więc powinniśmy je jak najszybciej rozwiązać - stwierdził Jake, zaskakując sam siebie. Czy naprawdę chciał rozmawiać o swoich uczuciach? Chociaż sam nie wiedział, co czuje?

Doskonałe wiesz, co czujesz, skarcił się w myślach. Tylko nie chcesz się z tym pogodzić.

W chwili, gdy Jake otworzył drzwi do swojego mieszkania, Holly ogarnęły wspomnienia. Jego pocałunków. Jego dotyku.

Miłości.

Jesteś głupia, zbeształa siebie. Nie myl wydarzeń poprzedniej nocy z miłością. To była tylko fałszywa intymność. Namiętność. Pożądanie. Nic więcej.

Ale w chwili, gdy odsunął się od niej i ruszył w stronę szafy w przedpokoju, poczuła się osamotniona.

Bardzo chciała, żeby wziął ją na ręce, zaniósł na kanapę i przytulił. Tylko przytulił.

Idiotko! - skarciła się. Nie szukaj pocieszenia u Jake'a Boone'a.

Wyglądał na równie zamyślonego jak rano, gdy zostawił ją w łóżku i zajął się swoimi sprawami, jakby wcale się nie kochali.

Na pewno czuje się nieswojo, że jestem tu z nim, pomyślała. A może po prostu bardzo boi się rozmowy.

Nie wiedziała, czy chce z nim rozmawiać. Ceniła szczerość, ale uważała, że czasami niewiedza jest błogosławieństwem. Nie wiedząc, co czuje Jake, mogła marzyć, że jest dla nich jeszcze nadzieja.

Nadzieja. Chciała mieć nadzieję, że Lizzie i ona będą szczęśliwe. Ale teraz w ich życiu działo się tyle złego, że zaczęła tracić wiarę.

Jak walczyć z ukrytym napastnikiem?

Odszukać go, odpowiedziała sobie. Jeśli coś ci zagraża, a nie możesz uciec, musisz walczyć.

A więc walcz też o Jake'a. Nie bój się tego, czego nie wiesz na pewno. Zapytaj.

Jake wrócił z poduszką i kocem.

- Usiądź - powiedział. Wzruszył poduszkę. - Połóż się.

Z ciężkim sercem zrobiła to, co jej kazał. Położyła się i od razu poczuła się lepiej. Tak, musi trochę poleżeć. Zamknąć oczy. Pomyśleć., Zastanowić się nad tym, co zaszło w parku. Poszukać wskazówek. Przypomnieć sobie zapachy. Odgłosy. Na pewno jest coś, po czym mogłaby rozpoznać napastnika. Cokolwiek.

Tak, Holly. Myśl tylko o tym i wyrzuć z głowy wszystko, co wiąże się z Jakiem Boone'em i jego bliskością.

Usiadł na fotelu przy kanapie.

- Holly, spróbuj się przespać. O tym, co się stało, porozmawiamy, gdy się obudzisz.

- O tym, co stało się w parku, czy tutaj, zeszłej nocy? - wyrwało się jej.

Idiotka! - złącała siebie natychmiast.

- Cóż, chyba miałem na myśli to, co stało się w parku. Ale chciałbym też pomówić o tym, co stało się tutaj. O tym, dlaczego... - urwał. - Dlaczego zachowałem się tak, jak się zachowałem.

- A sam to wiesz? - zapytała.
Pokręcił głową.
- Nie.
Jeszcze raz pokręcił głową.
- Gadam bzdury. Wiem dlaczego.
Odetchnęła głęboko.
- Żałujesz, że to się stało.
Nie zaprzeczył. Milczał przez dłuższą chwilę.
Łzy napłynęły jej do oczu.
- Nie żałuję, Holly. Jak mogłaś tak pomyśleć?
Poczuła ogromną ulgę. I nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie...
- Muszę...
Nie skończyła, bo oczy jej się zamknęły i zaczęła zapadać w sen.
Wydawało jej się, że delikatnie pogłaskał ją po policzku, a potem przykrył kocem, ale nie była pewna, czy jej się to nie śniło.

Rozdział 13

Holly obudziła się po kilku godzinach bardzo potrzebnego snu. Wezwali policję i opowiedziała wszystko, co pamiętała z chwili napadnięcia. Niestety, było tego niewiele. Nie słyszała, jak napastnik do niej podchodził, nie czuła ani kobiecych perfum, ani męskiej wody kolońskiej. Nie padły żadne słowa. Nie potrafiła nawet stwierdzić, czy napadł ją mężczyzna, czy kobieta.

Po wyjściu policjantów pojechali do Lizzie, żeby powiedzieć jej i Dylanowi o wydarzeniu w parku. Jake zostawił Holly i Lizzie pod opieką Dylana oraz ochroniarza, obserwującego dom z samochodu, i pojechał zobaczyć się z Jimmym Morganem. Miał nadzieję, że zastanie go w domu, w Dolnym Troutville, ale ani chłopaka, ani matki nie było. Pojechał więc do Ośrodka i zobaczył Jimmy'ego, rzucającego kamieniami w ogrodzenie z łańcuchów.

- Co to ma być, przesłuchanie? - mruknął chłopak.
 - Jimmy, pytam tylko, dokąd poszedłeś po spotkaniu z Holly.
 - A ja tylko pytam, czy to jest przesłuchanie?
 - Jimmy, ktoś zaatakował Holly w parku.
- Chłopak szeroko otworzył oczy.
- Tak?

- Tak.

- Jest ciężko ranna? - zapytał.

- Nie, ale bardzo roztrzęsiona - odparł Jake.

Czekał, wstrzymując oddech, aż Jimmy zada niewłaściwe pytanie albo poda informację, którą mógł znać tylko napastnik.

Jimmy nic takiego nie powiedział. Wyglądał na szczerze zaskoczonego wiadomością o napaści na Holly. Jake dobrze go znał a przynajmniej tak mu się zdawało, ale wiedział, że jego sympatia do Jimmy'ego nie może wpłynąć na przebieg śledztwa.

- Jimmy, chcę, żebyś coś wiedział - rzekł. - Nie stracisz Dylana ani mnie. Dylan jest teraz bardzo zajęty przygotowaniem do ślubu, poza tym przeżywa to, że będą mieli dziecko. A ja mam dużo pracy nad sprawą, bo muszę schwytać drania, który chce zniszczyć ich szczęście. Ale to wcale nie znaczy, że cię nie kochamy, stary. Rozumiesz to?

Chłopak zachnął się.

- Jasne, kochacie mnie jak starsi bracia. Daj spokój! Gdyby tobie lub Dylanowi zależało na mnie, przychodzilibyście na spotkania. Lekceważycie mnie jak mój ojciec. Najpierw się spóźniał, a potem w ogóle przestał przychodzić.

- Jimmy...

- Przestań! - wrzasnął chłopak. - Już mi nie zależy! Nie potrzebuję was! - Po twarzy popłynęły mu łzy. Jake próbował go przytulić, ale silny, muskularny Jimmy bez trudu go odepchnął. - Tylko udajesz! Teraz jesteś milutki, bo myślisz, że to ja skrzywdziłem tę twoją dziewczynę! Jesteś fałszywy i nie cierpię cię!

Przeskoczył ogrodzenie i zniknął, zanim Jake zdążył pomyśleć, żeby biec za nim.

Jedno było pewne: w chłopaku narastał wielki gniew.

Sytuacja Jimmy'ego Morgana była zła. Bardzo zła.

- Widzicie? Kiedy nie ruszamy się z domu, wszystko jest w porządku - powiedziała Lizzie z wymuszoną wesołością. Postawiła kubek z kawą na kuchennym stole i wyjrzała przez szparę w zasłonce oszklonych, tylnych drzwi. - Nigdy już nie wyjdę na dwór.

- Siedzicie tu już dwa dni - zauważyła Gayle. Ugryzła ciasteczko czekoladowe z torebki, którą przyniosła. - Niedługo będziecie potrzebowali świeżego powietrza. Zresztą, Lizzie, wkrótce skończą ci się zapasy czekolady. Wiem, że nie wytrzymasz ani jednego dnia bez słodyczy.

- Wolę żyć, niż oddychać świeżym powietrzem - upierała się Lizzie. - Albo jeść czekoladę.

- Lizzie, nie mów tak - poprosiła Flea ze łzami w oczach. - Boję się. Naprawdę. Pomimo ochrony. Boję się o nas wszystkie.

Holly wzięła przyjaciółkę za rękę.

- Musimy być silne. Na pewno wcześniej czy później pokonamy tego drania!

Gayle kiwnęła głową.

- Może świr już się wypalił. Minęły dwa dni od... - Zerknęła na Holly. - Wybacz, nie chciałam ci tego przypominać.

- W porządku, Gayle - powiedziała Holly. - Nie ma sensu udawać, że to się nie stało. Nie mówiąc o pewnych sprawach, denerwujemy się jeszcze bardziej.

Lizzie usiadła przy stole.

- Chciałabym być taka silna jak wy trzy. Mieć chociaż gram waszego opanowania!

- Lizzie, kochanie, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

- Chyba w płaczu - odparła Lizzie ze łzami w oczach.

Holly uśmiechnęła się i żartobliwie pociągnęła kuzynkę za sprężysty, jasny lok.

- W pewnym sensie - zastanawiała się Lizzie - to, że od dwóch dni nic się nie dzieje, też jest przerażające. Cisza przed burzą.

- Nie myśl negatywnie - skarciła ją Flea. - Ja wierzę, że moje modlitwy zostaną wysłuchane.

- Ja też. - Gayle z powagą pokiwała głową. - Modłę się nieustannie.

- Nie chcę bagatelizować waszej wiary... - Lizzie oplotła palcami kubek z kawą - ale modlitwa nie wystarczy. Wiem, że stanie się coś okropnego. Mam koszmary, we śnie widzę ranną Fleę, leżącą na podłodze, i Holly... - W jej oczach znów zalsniły łzy. - Znowu się zaczyna - wyjąkała. - Przepraszam, bardzo przepraszam. Staram się być silna, ale...

Lizzie bardzo przygnębiła wiadomość o napaści na Holly. Robiła sobie wyrzuty, znów zamknęła się w łazience. Holly uspokajała ją godzinę. A potem Lizzie wpadło do głowy, że Gayle będzie następną.

- O, mój Boże! - krzyknęła i zasłoniła sobie usta dłonią. - Czy to znaczy, że coś stanie się Gayle? Najpierw Flea została zamknięta na zapleczu, potem ktoś rzucił w nią kamieniem. Holly napadnięto w parku. Czy teraz czas na Gayle? - Płakała, roztrzęsiona. Dylan mocno ją przytulił i zapewnił, że ochrona została wzmocniona, ale to jej nie uspokoiło.

Na szczęście Gayle była silna i opanowana. Napięła biceps i kazała Lizzie go dotknąć. To zrobiło na Lizzie wrażenie. Przestała płakać i przyznała, że Gayle chyba obroniłaby się przed każdym napastnikiem.

- Chodzę na zajęcia samoobrony w miejskim klubie, odkąd ktoś wysłał mojemu szefowi ten okropny list. - Gayle zademonstrowała kilka ruchów.
- Hej, Dylan. Podejdź tu. Pokażę coś na twoim przykładzie.
- Nie zrobisz mu krzywdy? - zapytała Lizzie.
- Och... - Gayle roześmiała się. - Czyli wierzysz w moją siłę.
Lizzie otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się.
- Chyba tak.
- Gayle nic nie grozi, bo cały czas będzie nad nią czuwał ochroniarz - zapewnił Dylan. - Lizzie, kochanie, wszystkich nas pilnują najlepsi ochroniarze w hrabstwie.

Lizzie podeszła do okna i wyjrzała przez szparę między zasłonami.

- W tym czarnym samochodzie?

- Tak - potwierdził Dylan. - Jest na widoku.

- To mnie trochę uspokaja. Czy ktoś obserwuje też domy Gayle i Flei?

Dylan kiwnął głową.

- Oraz moje mieszkanie i dom mojej matki.

Tylko że twojej matce udało się wymknąć z przyjęcia zaręczynowego, chciała powiedzieć Holly. Bezpieczeństwo wcale nie jest zagwarantowane, Ochrona nie zapobiegła żadnemu z tych okropnych wydarzeń.

Nie chciała kwestionować skuteczności ochrony, bo wszystkie były zbyt przerażone. To nie przyniosłoby nic dobrego. Ostrzegła więc tylko wszystkich, żeby bardzo uważali pomimo ochrony, żeby nie czuli się bezpieczni, tylko dlatego że ktoś nad nimi czuwa.

- Jak wygląda suknia? - zapytała ni stąd, ni zowąd Gayle, z babeczką w ręce.

Wszyscy na nią spojrzeli.

- Jaka suknia? - zapytała Holly.

- Suknia ślubna Lizzie - wyjaśniła Gayle.

Poprzedniego wieczoru Flea przyniosła suknię ślubną, którą uszyła dla Lizzie. Gdy rozpięła pokrowiec i wyjęła ją, Lizzie i Holly krzyknęły z zachwytem. Suknia była dokładną kopią tej, która tak spodobała się Lizzie w Salonie Mody Ślubnej Bettiny. Ale wczoraj Lizzie nie miała nastroju, żeby ją przymierzyć.

- Do tej pory nie przymierzyłaś? - zapytała Gayle. - Lizzie, ślub za niecały tydzień. A jeśli trzeba coś poprawić?

- Nie czuję się jak panna młoda - wyznała Lizzie. - Chciałabym cieszyć się z tej sukni. Boję się jednak, że spojrzę na siebie w lustrze i zaczęnę płakać.

- Och, Lizzie - obruszyła się Holly. - Wychodzisz za męża. Za swojego wymarzonego mężczyznę. Natychmiast przymierz suknię! Zasługujesz

na szczęście. Nie zapominaj o tym. Nie ma mowy, żeby ten świr zakłócił ci radość.

- Holly ma rację - poparła ją Flea. - To świetny moment, żeby przymierzyć suknię. Bardzo bym chciała zobaczyć, jak na tobie wygląda.

- Fleo! Jak mogłam być taką egoistką! Czy chociaż podziękowałam ci za nią?

- Oczywiście - potwierdziła Flea. - Kilka razy. Pracowałam nad nią z wielką przyjemnością. Żałuję, że nie mogłam uszyć też sukien dla druhien, ale mam tyle zamówień, że na pewno bym nie zdążyła.

- Podoba mi się to, co wymyśliłyśmy - powiedziała Lizzie. - Dobrze, że każda z was włoży którąś z własnych sukienek i wszystkie będą w jednym kolorze. Dzięki temu uroczystość będzie jeszcze bardziej wyjątkowa.

- Jest taki przesąd, że na ślubie trzeba mieć coś starego. Mamy to z głowy - zażartowała Gayle.

- Szybko, Lizzie - ponagliła Holly. - Biegnij na górę i przymierz tę śliczną suknię!

Lizzie uśmiechnęła się.

- Dobrze. — Wstała i wybiegła z kuchni.

- Jestem bardzo ciekawa, jak będzie w niej wyglądała - niecierpliwia się Holly. - Fleo, jesteś wspaniała. Bardzo zazdroszczę ci talentu.

- Raczej doświadczenia - odpowiedziała skromnie Flea, skubiąc babczkę. - Odkąd pamiętam, większość wieczorów spędzam na szyciu. To jeden z plusów niechodzenia na randki.

Holly zerknęła na przyjaciółkę. Flea bardzo rzadko mówiła o swoim życiu uczuciowym, a raczej o jego braku. Była bardzo ładna, ale żeby to zobaczyć, trzeba było jej się przyjrzeć, a tego większość ludzi nie robiła. Flea chodziła ze spuszczoną głową, nosiła czarne, workowate stroje, z obowiązkowym czarnym szalikiem, co wcale nie wyglądało modnie. W dodatku szalik nie zakrywał blizny na jej szyi. Jednak cała ta czerń podkreślała błądź jej pięknej skóry i delikatne rysy twarzy. Flea miała śliczne, niebieskie oczy i brązowe włosy do ramion, podwijające się na końcach. Koleżanki uznały, że włosy znacznie lepiej maskują blizny na szyi niż szalik. W szkole nie miała chłopaka, a z tego, co słyszała Holly od Lizzie przez ostatnich dziesięć lat, nigdy nie umawiała się z nikim na randki.

Raz, w szkole średniej, Flea została zaproszona na potańcówkę. Chłopak z Górnego Troutville zaprosił ją w szkolnym bufecie, gdy stała w kolejce po lunch z Lizzie, Gayle i Holly. Wyjąkała, że pójdzie, i omal nie zemdląa, gdy chłopak uśmiechnął się i odszedł.

- Czy ja to sobie wymyśliłam? - zapytała wtedy Flea. - Czy ten przystojniak naprawdę zaprosił mnie na bal z okazji ukończenia trzeciej klasy?

Przyjaciółki zapewniły Fleę, że naprawdę została zaproszona. Pierwszy raz miała iść na tańce z chłopakiem, tak jak inne dziewczyny. Holly wybierała się tam ze swoim przyjacielem Jakiem, Lizzie z chłopakiem, który po szkole zmywał naczynia w pubie jej mamy, a Gayle — z chłopcem, z którym umawiała się od kilku tygodni. Flea przez tydzień szyła sobie suknię, przynajmniej raz nie czarną, lecz w jej ulubionym bladżółtym kolorze. Suknia była kobieca i powiewna. Flea szyła i szyła, a gdy wreszcie skończyła, Lizzie, Gayle i Holly zamarzyły z podziwu dla jej talentu. Suknia była wspaniała. A Flea, z bladżółtą apaszką, ułożoną pieczołowicie wokół szyi, wyglądała w niej cudownie. Lizzie uparła się, że zrobi przyjaciółce dyskretny makijaż. Umalowała jej rzęsy i nałożyła błyszczak na usta. Gdy chłopak przyszedł po Fleę, oniemiał.

- O rany - powiedział, gapiąc się na nią. - O rany!

Zaczerwieniła się i uśmiechnęła do niego.

- Słuchaj, może skoczmy na kolację w mieście? - zapytał. - Mój wujek ma elegancką restaurację. Chodźmy tam.

- Ale to mój pierwszy bal - wykrztusiła Flea. - Bardzo mi zależy. Może później pójdziemy do restauracji.

Chłopak zagryzł wargę. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Dobrze - powiedział w końcu.

I poszli na bal.

Gdy dotarli na miejsce, do chłopaka zaczęli podchodzić kumple. Podawali mu dziesięciodolarowe banknoty.

Flea zrozumiała, że zaprosił ją na bal, bo założył się o to z kolegami.

Zarobił ponad dwieście dolarów.

Bardzo ją przeproszał. Mówił, że nie chce pieniędzy, rzucił je w powietrze. W kółko powtarzał, że gdyby mógł cofnąć czas i zaprosić ją tak po prostu, na pewno by to zrobił.

Ale było już za późno. Próbował przeproszać ją jeszcze następnego dnia, ale Flea nie chciała z nim rozmawiać.

Dzień po balu, idąc do Flei, Holly zobaczyła bladżółtą suknię i apaszkę w śmietniku przed jej domem. Kusiło ją, żeby wyjąć i uprać suknię, ale w końcu tego nie zrobiła. Lizzie i Gayle też wpadły do Flei. Płakała kilka godzin. W poniedziałek, w szkole, powiedziała, że już jej przeszło i że nie będzie myśleć o tej sprawie. Od tamtej pory nigdy o niej nie wspomniała. Nigdy też nie poszła na żaden bal. Wcześniej bywała na potańcówkach sama, gdy chociaż jedna z przyjaciółek też nie miała chłopaka.

Przerażający krzyk wyrwał Holly z rozmyślań.

- Lizzie! - krzyknęła Gayle.

Trzy przyjaciółki popędziły po schodach do sypialni.

Lizzie klęczała, przyciskając do piersi swoją suknię ślubną.

A raczej to, co z niej zostało.

Piękna suknia była pocięta. Na staniku widniał napis flamastrem: *Dziwki nie chodzą w bieli.*

- Osoba, która pocięła suknię, przyszła do domu Lizzie wczoraj w nocy albo dziś, wczesnym rankiem - powiedziała Holly Jake'owi, krążąc nerwowo po jego gabinecie. - Jak ten świr ominął ochronę? Nie pojmuję

- Usiądź, Holly - poprosił Jake. - Musisz się uspokoić. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale bardzo mi zależy, żebyś się uspokoiła.

Oddechnęła głęboko i usiadła.

- Naprawdę nic z tego nie rozumiem. Kto to robi? I dlaczego nie możemy go schwytać? Dlaczego nie ma żadnych tropów? Dlaczego?

- Bo to ktoś bliski - powiedział bez zastanowienia.

Otworzyła szeroko oczy.

- Bliski? Pru?

- Ktoś z bliskiego kręgu znajomych Lizzie. Kto nie budzi podejrzeń ochrony.

- Ale jak to jest możliwe? - zapytała Holly. - Strażnicy całkowicie nas zawiedli! Ten człowiek przechytrył wszystkich!

Mnie też, pomyślał sfrustrowany. To jakiś nonsens.

Porównał próbki pisma głównych podejrzanych z listami od sprawcy, ale nie przyniosło to efektu. Przeanalizował nawet charakter pisma przyjaciółek Lizzie, Dylana i własny, żeby sprawdzić, czy podstępny psychopata nie starał się zrobić kogoś z najbliższego kręgu przyjaciół Lizzie.

Nie znalazł podobieństwa.

Cholera jasna!

Był prawie pewien - na dziewięćdziesiąt dziewięć procent - że może wykreślić z listy podejrzanych Ariannę Miller i Jimmy'ego Morgana, chyba że mieli współników. Przez ostatnie dwa dni obserwował ich oboje. Żadne z nich nawet nie zbliżyło się do domu Lizzie. Ostatniego wieczoru, gdy sprawca pociął suknię, Jimmy grał w gry zręcznościowe przy pizzerii, a Arianna podrywała dwóch różnych mężczyzn na przyjęciu, na które Jake także był zaproszony; poszedł tam tylko po to, żeby mieć ją na oku. W czasie, gdy sprawca mógł wśliznąć się do domu Lizzie i pociąć sukienkę, Arianna siedziała na kolanach bogatego biznesmena na przed-

nim siedzeniu jego mercedesa w zaułku kochanków. Po północy Jake zobaczył, jak zdjęła bluzkę i stanik i zaczęła poruszać się z uśmiechem, wplatając dłonie we włosy mężczyzny. Nie ma zahamowań, pomyślał. Śledził ją, dopóki nie znalazła się bezpiecznie w swoim mieszkaniu. Widział, jak namiętnie całują się na pożegnanie. Miał przeczucie, że to związek, a nie przygoda czy podryw bez znaczenia. Facet pewnie był żonaty. Z jakiego innego powodu miałyby się ukrywać i kochać z Arianną w samochodzie?

Podzielił się swoimi przemyśleniami z Holly.

- Skoro wykluczasz Ariannę, Jimmy'ego, Bobby'ego i panią Dunhill, to kto jest sprawcą? - zapytała.

- Cóż, jeśli to nie ty, Gayle ani Felicia - powiedział Jake - to niestety nie mam pojęcia. Rozwiązałem kilka bardzo trudnych spraw, ale tej chyba po prostu nie da się rozgryźć.

Holly usiadła wygodniej.

- Jake, jak myślisz, dlaczego sprawca krzywdzi tylko Lizzie i jej drużyny? Przecież Dylana i jego drużbów nikt nie atakował ani nikt im nie groził.

- Zastanawiałem się nad tym - przyznał Jake. - To sprowadza nas z powrotem do Jimmy'ego Morgana, Pru i Arianny. Jimmy chce nadal spędzać czas z Dylaniem i mną. Może myśli, że jeśli tak zastraszy Lizzie i ciebie, że wyjedziecie z miasta, to odzyska nas obu. Krzywdząc Dylana lub mnie, nie osiągnie celu.

- Ale czy podejrzewasz, że to on? - zapytała Holly.

- Ma motyw - odparł Jake. - Był w parku piętnaście minut przed tym, jak zostałaś napadnięta. Rzucanie kamieniami w bezpańskiego kota też nie przemawia na jego korzyść. Ale widziałem go w pizzerii w czasie, gdy została pocięta suknia Lizzie. Co do innych podejrzanych... - ciągnął. - Arianna, pani Dunhill i Bobby Jones mają alibi na czas przynajmniej trzech z incydentów.

-A Pru?

- Trudno ją namierzyć - mruknął Jake. - W ciągu ostatnich trzech dni dwa razy znikła mi z oczu. Śledziłem ją i nagle rozplywała się w powietrzu.

-Jak to?

- Nie mam pojęcia... - przyznał Jake. - Obserwowałem ją na placu Troutville. Weszła do sklepu, ale nie wyszła.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. W sklepie był tłok; może nie zauważyłem, jak wychodziła, ale nie sądzę, To stało się dwa razy. Tuż przed twoim przyjściem widziałem,

jak zasiadła do lunchu w restauracji Troutville Cafe. Chciałbym ją śledzić, kiedy wyjdzie.

- Mogę pomóc? - zapytała Holly.

Jake kiwnął głową.

- Przyda mi się dodatkowa para oczu.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Jake, chcę cię o coś zapytać. Ale to nic nie znaczy, rozumiesz? Po prostu głośno myślę.

- Co? - zapytał. - Mów.

Po chwili wahania powiedziała:

- Czy istnieje szansa, choćby najmniejsza, że za tym wszystkim stoi Dylan Dunhill?

Jake przeciągle wypuścił powietrze.

- Z wielką przykrością rozważyłem taką możliwość. Dylan jest dla mnie jak brat, ale potraktowałem go jak podejrzanego. Miał alibi na czas kilku incydentów. Naprawdę nie sądzę, żeby miał z tym coś wspólnego. A właściwie dobrze to wiem. Jest do szaleństwa zakochany w Lizzie.

Potaknęła.

- Ja też tak sądzę. -I z oczu popłynęły jej łzy.

- Holly? - zapytał łagodnie, obchodząc swoje biurko. Przykląkł przy niej. - Dobrze się czujesz?

- Jake, bardzo się boję. O Lizzie, o wszystkich.

Ja też, pomyślał. Wziął ją za rękę i zostali tak o wiele dłużej, niż każde z nich zamierzało.

Rozdział 14

Pru Dunhill spojrzała w lewo, potem w prawo, zrobiła zadowoloną minę, bo nikt nie zwracał na nią uwagi, i weszła do salonu peruk U Wandy.

Jake i Holly, ukryci w samochodzie po drugiej stronie ulicy, spojrzeli na siebie. Holly otworzyła usta ze zdumienia.

- Po co peruka kobiecie, która ma takie cudowne, długie, gęste blond włosy? - zapytała, mrużąc oczy. - Chyba że chce się przebrać.

- Obserwujmy ten zakład - powiedział Jake. - Nie odrywaj wzroku od drzwi. W ten sposób zniknęła mi już dwa razy.

Przez ponad dziesięć minut nikt nie wszedł do salonu ani nikt z niego nie wyszedł. Wreszcie w drzwiach pojawiła się kobieta. Miała długie, kręcone, brązowe włosy i czarne okulary.

- Jake! - Holly się wyprostowała. - To Pru! Rozpoznaję jej buty. Weszła tam w czarnych botkach do kolan, sznurowanych z tyłu. Ta kobieta ma takie same.

- Masz rację — zgodził się Jake. - Ale włosy i strój są całkiem inne.

Pru weszła do zakładu perukarskiego ubrana jak zwykle, w bardzo drogi strój od znanego projektanta. Teraz miała potargane włosy - brązową perukę - i była w obcisłej czerwonej bluzce oraz dżinsowej minispódnicy. Miała nawet tatuaż na udzie, tuż nad kolanem.

- Pru Dunhill ma tatuaż? - zapytała z niedowierzaniem Holly.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Jake.

- Bardzo się stara zmienić swój wygląd - zauważyła Holly. - Pewnie znowu planuje coś okropnego przeciwko Lizzie lub jednej z nas i nie chce zostać przyłapaną.

- To podejrzane - zgodził się Jake. - Mam przeczucie, że spotka się z tym tajemniczym mężczyzną. Trzeba ją śledzić.

Wysiedli z samochodu i ruszyli za Pru przez plac, idąc drugą stroną szerokiego bulwaru. Nagle Pru stanęła jak wryta i odwróciła się w stronę wystawy sklepowej. Gapiła się na środki czystości objęte wyprzedażą.

- Co jest? - zdziwiła się Holly. - Dlaczego Pru nagle zainteresowała się płynem do mycia naczyń?

- Spójrz, kto idzie ulicą - powiedział Jake, wskazując ręką.

Pani Dunhill z Louisem na smyczy i lokajem, idącym kilka kroków za nią, zmierzała w stronę Pru. Pru wyglądała, jakby wstrzymała oddech. Pani Dunhill przeszła obok, nie rozpoznając własnej córki. .

Pru odwróciła się od witryny i odetchnęła z ulgą. Potem ruszyła dalej, przyspieszając kroku.

- Jake, ona idzie do Dolnego Troutville!

- Też mi się tak wydaje. - Jake zmarszczył brwi. - Holly... chyba powinnaś iść do Lizzie. Ja się tym zajmę.

- Nie - zaprotestowała. - Siedzimy ją razem.

- Holly, nie wiadomo, czym to się może skończyć.

- Dlatego właśnie nie puszczę cię samego.

- Zawsze byłaś bardzo uparta.

- I kto to mówi? - odparowała.

- Czuję się jak w czasach szkolnych.

- Czy ona idzie do warsztatu samochodowego? - zapytała Holly. - Chyba tak.

- Bez samochodu - mruknął Jake. - Bardzo ciekawe.
- Co się dzieje, do cholery? - Holly wątpiła, żeby Pru Dunhill kiedykolwiek odwiedziła warsztat samochodowy, nawet gdyby zepsuł jej się samochód.

- Wejźmy do środka - zaproponował Jake.

Warsztat samochodowy Auto Body Shop był bardzo duży. Jake otworzył Holly drzwi i razem zaczęli czekać przy recepcji, aż siedząca tam kobieta skończy rozmowę telefoniczną.

- Chwileczkę, kotku - powiedziała i przyłożyła słuchawkę do piersi. - Tak? zapytała.

- Widziała pani kobietę o brązowych włosach, która weszła tu przed chwilą?

- Brązowych? - zapytała recepcjonistka. - Pracuje tu jeden brunet.

- Nie - powiedziała Holly. - Chodzi o kobietę. Długie, kręcone, brązowe włosy. Miała na sobie mini spódniczkę i botki do kolan, na wysokich obcasach. Nie mogłaby pani jej nie zauważyć.

Recepcjonistka zmarszczyła brwi.

- Chyba więc jestem ślepa, bo jej nie widziałam. Na pewno nie weszła tu żadna kobieta o brązowych włosach.

- Przed chwilą widzieliśmy, jak wchodziła tędy - upierał się Jake, wskazując szklane drzwi.

- Przepraszam, ale rozmawiam przez telefon. Jeśli chcecie naprawić samochód, zajmę się tym. W innych sprawach nie mogę pomóc. - Wróciła do rozmowy.

A Jake i Holly znów łamali sobie głowy.

Jak to możliwe, że Pru Dunhill, w tak wyzywającym stroju, nie została zauważona? Jak udało jej się zniknąć?

Po trzydziestu minutach czekania przed warsztatem samochodowym na kobietę, znaną dawniej jako Pru, Jake oparł się o drzewo i głęboko odetchnął.

- Wiem, że Pru nie jest głupia - powiedział. - Ale kiedy zaczyna przechytrzać mnie albo ciebie, jedną z najinteligentniejszych osób z naszej szkoły, to coś tu poważnie nie gra.

Holly się uśmiechnęła.

- Nie przejmuj się, Jake. Pru nie jest mądra, tylko cwana. To duża różnica.

- Być może, ale z powodu jej cwaniactwa sterczymy jak głupcy pod warsztatem samochodowym.

Holly zerknęła na zegarek.

- Chodźmy coś zjeść i pogadać. We dwójkę odgadniemy, co kombinuje Pru. Teraz my ją przechytrzymy.

Jake'owi zaburczało w brzuchu na samą myśl o jedzeniu.

- Już wiem, dlaczego nie mogę zgadnąć, jakim cudem znikła jedna z najbardziej znanych kobiet w Troutville. Bo umieram z głodu.

Holly się roześmiała.

Chodź. Zjedzmy hamburgery w najlepszej knajpie w mieście.

Jake uśmiechnął się szeroko i przeprowadził ją przez ulicę do pubu Morrow's, gdzie oprócz dwóch zmrożonych szklanek wody, najsmaczniejszych hamburgerów w Troutville i miseczki przysmażonej cebuli otrzymali też uściski od Louise, cioci Holly.

- Ciociu - powiedziała Holly. - Czy zauważyłaś tu ostatnio atrakcyjną, młodą kobietę, z długimi, kręconymi, brązowymi włosami? Może w towarzystwie wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w czapeczce?

Louise dołała im wody z dzbanka.

Zabawne, że o to pytasz. Przed dwoma tygodniami widziałam ładną dziewczynę o długich, jasnych włosach z facetem w czapeczce. Zaledwie kilka dni temu, zobaczyłam tego samego mężczyznę z brunetką.

Jake i Holly wymienili spojrzenia.

- Na pewno to był ten sam, co z blondynką? - zapytał Jake.

- Na sto procent -- potwierdziła Louise. - Miałam właśnie wejść do pubu, kiedy zauważyłam dwoje młodych ludzi, idących w stronę torów kolejowych. Kobieta miała piękne, długie, blond włosy, prawie białe, jak Pru Dunhill.

Holly omal nie krzyknęła.

- Pru Dunhill? Czy to była ona?

Nie wiem - odparła Louise. - Nie widziałam ich twarzy, bo byli odwrócony tyłem do mnie. Ale wątpię, żeby to była Pru. Po co miałyby iść wzdłuż torów w Dolnym Troutville z mechanikiem z sąsiedniego warsztatu?

Jake i Holly znów spojrzeli na siebie.

- Skąd pani wie, że to mechanik? - zapytał Jake, przesuając się na skraj krzesła. -I który to był?

Louise pokręciła głową.

- Nie wiem, który. Jak mówiłam, blondynka i facet byli odwrócony do mnie tyłem. A że to był mechanik, wiem, bo miał ciemnogramatowy kombinezon i czapkę z daszkiem.

Czapka z daszkiem! - pomyślał Jake. Tajemniczy facet Pru ze zjazdu absolwentów też miał na głowie bejsbolówkę.

- Był wysoki? - zapytała Holly, najwyraźniej myśląc to samo. - Dobrze zbudowany?

Louise potaknęła.

- Kłócili się? - spytał Jake. - Może wyczytała pani coś z ich gestów?

- Jeśli nawet się kłócili - odparła Louise - to nic nie słyszałam. Byli daleko, prawie przy torach. Nie wyglądało na to, że się lubią. Chociaż... ta blondynka kilka razy dotknęła jego ramienia, ale on się odsuwał. Nie wiem. Może rzeczywiście się kłócili.

- A potem, kilka dni temu, widziałas tego samego faceta z brunetką? - dopytywała się Holly.

- Tak. Bardzo się zdziwiłam, bo byli w tym samym miejscu, przy torach, prawie całkiem ukryci przed wzrokiem ludzi. Widziałam ich tylko przez chwilę, zaraz zniknęli za zakrętem. - Louise się uśmiechnęła. - Hej! Czy jestem oficjalnie przesłuchiwana przez prywatnego detektywa?

- Możliwe - odparł Jake.

Do pubu weszli dwaj biznesmeni, więc Louise przeprosiła Jake'a i Holly i poprowadziła gości do stolika.

Jake oparł się wygodnie.

- Przynajmniej teraz wiemy, że nie zwariowaliśmy. Naprawdę widzieliśmy Pru, wchodzącą do warsztatu samochodowego. A teraz wiemy dlaczego. Pracuje tam jej tajemniczy facet.

- Cieszę się, że nie zwariowaliśmy, ale nic z tego nie rozumiem! - marzyła się Holly. - Podczas zjazdu widzieliśmy Pru jako Pru, bez przebrania, z mechanikiem. Przynajmniej tak można przypuszczać, z tego, jak opisała go ciocia Louise. Kłócili się. Ciocia zobaczyła ich kilka tygodni temu i tym razem Pru się przymilała, a mechanikowi to nie odpowiadało. Przed paroma dniami Louise widziała Pru w przebraniu brunetki z tym samym mechanikiem, ale nie wiadomo, czy się kłócili, czy nie. - Holly westchnęła. - Co się dzieje, do diabła? Kim jest ten mechanik? I skąd zna Pru?

Jake dokończył hamburgera.

- A jak poznał brunetkę? Czy wie, że to Pru w przebraniu?

Holly wzruszyła ramionami.

- No dobrze, rozważmy kilka możliwości. Powiedzmy, że Pru chciała skrzywdzić Lizzie i jej przyjaciółki, więc postanowiła wynająć zbira. Pewnie poszła do jakiegoś faceta z Dolnego Troutville i zaproponowała dużo pieniędzy, żeby odwalił za nią brudną robotę.

- Ale czy facet z Dolnego Troutville skrzywdziłby Lizzie Morrow? Jest tu bardzo lubiana. I wszyscy ją znają, bo pracuje w pubie Morrow's. To mi nie pasuje.

- Zwłaszcza do mechanika, który pracuje w warsztacie naprzeciwko pubu - dodała Holly.

Jake upił łyk wody.

- I co z tym przebraniem? Dlaczego Pru spotkała się z mechanikiem bez przebrania, a potem w peruce?

Holly znów wzruszyła ramionami.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Okej - powiedział Jake. -- Załóżmy, że Pru nie jest sprawcą. Nie wynajęła mechanika, żeby nastraszyć Lizzie i skłonił ją do odwołania ślubu. Dlaczego więc miałyby się z nim kłócić? Co ich właściwie łączy?

- Cóż, możemy wykluczyć miłość - stwierdziła Holly.

- Pru trochę za bardzo protestowała -- przypomniał jej Jake. - Pamiętasz, jak mówiła, że nie ma chłopaka?

- Racja - przyznała Holly. - Ale chyba nie wierzysz, żeby Pru Dunhill spotykała się z mechanikiem samochodowym? W dodatku z Dolnego Troutville!

- Szanse są jak milion do jednego - zgodził się Jake. - Zresztą, kiedy widzieliśmy ich podczas zjazdu absolwentów, nie zachowywali się jak para zakochanych. Twoja ciocia też nie zauważyła oznak wielkiej miłości.

- Na czym więc polega ich związek? Staram się coś wymyślić, ale nie mi tu nie pasuje.

- Mnie też. Myślisz, że twoja ciocia zgodziłaby się wziąć udział w akcji prywatnego detektywa? - zapytał.

- Na pewno byłaby zachwycona - odparła Holly. - Jaki masz pomysł?

- Louise pójdzie tam i poprosi recepcjonistkę, żeby ktoś zerknął na jej samochód, bo silnik dziwnie warczy. Powie, że któryś z mechaników z tego warsztatu naprawiał jej auto w zeszłym roku i zrobił to świetnie, więc bardzo by chciała, żeby znów zajął się jej samochodem. Powie też, że zapomniała jego nazwiska, i zapyta, czy mogłaby spojrzeć na mechaników. Rozpozna go.

- Świetnie! - pochwaliła Holly. - Będziemy wiedzieli, który to, i w dodatku poznamy jego nazwisko.

Jake kiwnął głową.

- Facet przestanie być dla nas zagadką. Postaram się go wysondować, może się czegoś dowiem. I niby od niechcenia powiem mu: „Szczęściarzu, widuję cię w mieście nie z jedną, ale z dwiema ślicznotkami!”

- Pru jako Pru. Pru w przebraniu. Ten sam facet. — Holly pokręciła głową. - No, no! Co ona kombinuje?

- Dowiemy się, Hol - zapewnił Jake, wyciągając kilka banknotów z portfela. - Obiecuję ci to. - Niewiele myśląc, położył dłoń na jej dłoni. I zdziwił się, jak gładką ma skórę.

- Jake'u Boonie, nawet nie próbuj płacić za lunch żartobliwie skarciła go Louise. - Wiesz, że nie przyjmuję od ciebie pieniędzy. - Jej wzrok zatrzymał się na ich dłoniach. Jake widział, że próbowała ukryć uśmiech.

Holly cofnęła rękę, ale wcześniej zdążyła pomyśleć, jak cudownie jest czuć krzepiące ciepło jego dłoni.

Tego samego popołudnia, gdy Jake i Holly siedzieli w wynajętym samochodzie w pobliżu Dunhill Mansion, mając nadzieję, że pojawi się Pru i będą mogli ją śledzić, Holly zorientowała się, że patrzy na dłoń Jake'a, leżącą na kierownicy. Na tę samą dłoń, która kilka godzin wcześniej dotykała jej dłoni.

Wbrew sobie pomyślała, jak miło byłoby poczuć tę dłoń na swojej twarzy, szyi, w talii. Za wszelką cenę starała się skupić na czymś innym. Zamiast myśleć o dotyku Jake'a, poczuła go, a przynajmniej wyobraziła to sobie.

Westchnęła.

- Myślisz o sprawie? ~ zapytał Jake, zerkając na nią.

Zaczerwieniła się.

Gdybyś tylko wiedział, o czym myślę...

- Hm, tak - powiedziała. - Mam nadzieję, że Pru niedługo wyjdzie.

Kłamstwo. Całkowite kłamstwo. Holly mogłaby przesiedzieć wieczność w samochodzie Jake'a. Czekając pod domem Pru, mało rozmawiali. Holly była bardzo świadoma jego bliskości; mocnych nóg, dłoni, ramion... Czystego, mydlanego, ciepłego, męskiego zapachu.

Weź się w garść, Holly! - skarciła się w myślach.

W tym momencie otworzyły się frontowe drzwi i z domu wyszła Pru Dunhill.

- Jest! - Holly szturchnęła Jake'a w żebra.

- Dzięki, że ułatwiasz nam zadanie, Pru - mruknął. - Dziś nie ma przebrania.

- Może schowała je w torbie - zauważyła Holly, patrząc na niewielką torbę, którą Pru przewiesiła sobie przez ramię.

Patrzyli, jak idzie ścieżką do volvo, a nie do jaguara, którym jeździła najchętniej.

- Ruszamy - oświadczył Jake, gdy samochód Pru przejechał kawałek ulicą i byli w bezpiecznej odległości.

Kieruje się w stronę Dolnego Troutville. Wraca do warsztatu samochodowego? - zastanawiała się Holly.

- Zaraz się przekonamy - odparł Jake.

Nie pojechała do warsztatu. Zatrzymała się na parkingu na głównym placu Dolnego Troutville, wyłączyła światła i zapłon, a potem wsunęła włosy pod kapelusz i włożyła okulary przeciwsłoneczne. Wysiadła z samochodu, przerzucając torbę przez ramię, i pobięła do publicznej toalety w pobliżu boiska.

- Nie chce mi się wierzyć, że nagle musi skorzystać z toalety - mruknął Jake.

- Tak, mam przeczucie, że zaraz wyłoni się nasza brunetka lub ruda w rockandrollowych ciuchach.

I po dziesięciu minutach tak się właśnie stało. Gdy Pru wyszła z toalety dla pań, Holly oniemiała. Brązowa peruka była nastroszona, makijaż mocniejszy, spódniczka nieco krótsza. Pru wyglądała jak dziewczyna z Dolnego Troutville, wybierająca się na imprezę.

Wrzuciła torbę do bagażnika i wyjęła małą torebkę, a potem ruszyła przez parking w stronę warsztatu samochodowego. Szła, lekko podskakując.

Czy aby na pewno? - pomyślała Holly. Pru szła w stronę warsztatu, ale nie tam zamierzała wejść.

- Wielkie nieba, Jake! - wykrzyknęła Holly, czując narastającą panikę. - Ona idzie do pubu Morrow's! Jak na kogoś, kto planuje coś bardzo złego, wydaje się bardzo wesoła. Czy chce skrzywdzić mamę Lizzie?

- Wejźmy tam - rzucił Jake.

Wysiedli z samochodu i pobiegli do pubu Morrow's.

- Zaczekaj, Jake - poprosiła Holly. - Może najpierw zajrzemy przez okno, zobaczymy, co kombinuje.

- Wcale nie musimy się kryć. Ona nie ma pojęcia, że ją śledzimy. Postaraj się tylko zachowywać naturalnie i nie gapić na nią. Jesteś Holly Morrow i wpadasz do pubu cioci na kolację.

Co racja, to racja.

W porządku, Holly. Głęboki oddech i do dzieła. Zachowuj się jak gdyby nigdy nic.

- Pamiętaj, że w przebraniu nie ma powodu się martwić naszą obecnością - szepnął Jake. - To całkowicie normalne, że tam wchodzimy. A przy nas twojej cioci nic nie grozi, Holly. Zapewniam cię.

Holly odetchnęła głęboko.

- W porządku, Jake. Wchodzimy.

Mama Lizzie powitała ich w drzwiach i wskazała najlepszy stolik, przy oknie z widokiem na ogródek. Pru siedziała sama przy dwuosobowym stoliku, twarzą do ściany. Zmieniła okulary przeciwsłoneczne na zwykłe, w czerwonej oprawce z wzorem pantery. Holly nigdy nie widziała Pru Dunhill w okularach.

- Chyba naprawdę czyta menu - zauważyła.

- Albo udaje - powiedział Jake. - Jeśli nawet widziała, że weszliśmy, nie daje tego po sobie poznać.

Pru zamówiła dzbanek piwa, duży talerz pikantnych skrzydełek *inachos* na przekąskę. Elegancka panna Dunhillnie przełknęłaby czegoś takiego.

- Co się dzieje? - szepnęła Holly. - Przypuszczam, że spotka się tu z tym tajemniczym facetem, i to mi wygląda na randkę!

Jake wzruszył ramionami.

- Z minuty na minutę robi się dziwniej.

Otworzyły się drzwi. Przystojny mężczyzna, nieco po trzydziestce, pomyślała Holly, w kombinezonie mechanika z plaketką z imieniem Dan, przyczepioną, do kieszonki na piersi, rozejrzał się po pubie, uśmiechnął na widok pleców Pru i usiadł przy jej stoliku.

Tajemniczy mężczyzna!

- Jake - szepnęła Holly. - To musi być on! Jest tego samego wzrostu i takiej samej budowy. Brakuje tylko czapki bejsbolówki. To on!

- Być może - odparł Jake. Jego przystojna twarz wyrażała zdziwienie.

- Ale to porządny facet.

- Znasz go? Kto to jest?

- Dan Martin - odszepnął Jake, pochylając się ku niej. - Chodził do naszej szkoły, był kilka klas wyżej. Wiem, że pracuje w warsztacie samochodowym. Naprawia importowane auta, luksusowe, takie, jakimi jeździ Pru. Kilka razy grałem z nim w pokera. To naprawdę porządny gość. Gdyby się okazało, że jest zamieszany w napaści na Lizzie i jej drużyny, byłbym zszokowany.

Holly chłonęła każde jego słowo.

- Chciałabym posłuchać, o czym mówią.

- Przywitajmy się więc z moim starym kumplem - zaproponował Jake.

- Ciekawe, jak ją nam przedstawi. I jak ona zareaguje.

Holly się uśmiechnęła.

- Dobry pomysł.

Udawali, że idą do szafy grającej.

- Dan Martin? - zapytał Jake. - Czy tu siedzi najlepszy pokerzysta wmieście?

- We własnej osobie - odparł z uśmiechem Dan.

Holly zerknęła na Pru i uśmiechnęła się. Pru patrzyła na nich z miłym wyrazem twarzy, jakby widziała ich pierwszy raz w życiu.

Pru Dunhill była znakomitą aktorką.

Długo się nie widzieliśmy! - powiedział Jake do Dana.

- Tak, bo jeździsz amerykańskim autem i fatalnie grasz w pokera.

Jake się roześmiał.

- Dan, to Holly Morrow. Jej ciocia Louise jest właścicielką tego pubu.

- Spojrzał na Pru, czekając na prezentację.

- Jake, poznaj Suzy, miłość mojego życia, _ Dan wziął Pru za rękę. -

Poznaliśmy się tydzień temu i jesteśmy sobą zachwyceni. Suzy, to jest Jake Boone. Prywatny detektyw.

Suzy? - pomyślała Holly. Co ta Pru kombinuje?

Pru uśmiechnęła się do Jake'a i Holly.

- Miło mi was poznać - zapiszczała wysokim głosem.

Gdyby Holly nie miała stuprocentowej pewności, że ta kobieta to Pru Dunhill, nie rozpoznałaby jej w tej potargana peruce, okularach i stroju, jaki nadawałby się na koncert rockowy,, w dodatku te lśniące cienie do powiek i różowoczerwona szminka...

- A to Holly Morrow - powiedział Jake. _ Nam też miło cię poznać, Suzy.

Pru uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nawzajem - odparła nieswoim głosem. Czyżby brała też lekcje zmiany timbre'u?

Co się tu dzieje, do cholery?

- Cieszę się, że się spotkaliśmy, Dan. Miło mi cię poznać, Suzy - powtórzył Jake i, po wymianie uśmiechów i grzeczności, wrócił z Holly do ich stolika.

- Trzymają się za ręce, na stoliku - powiedziała z niedowierzaniem Holly. - Nic z tego nie rozumiem. Dan kłóci się z Pru-blondynką, ale jest zakochany w Pru-szatynce?

- Zjedzmy kilka skrzydełek, podsłuchujmy ich i miejmy nadzieję, że Pru czymś się zdradzi - zaproponował Jake,

Chociaż zjedli dwa kubełki skrzydełek, a Holly miała tak pełny żołądek, że nie mogłaby wypić nawet łyżeczki wody, Pru Dunhill w przebraniu nie zdradziła się ani słowem. Przez godzinę bawiła się świetnie: rozmawiała, całowała się z Danem, nawet zatańczyła kilka razy przy muzyce z szafy grającej. Nikt jej nie rozpoznał.

- Jesteś pewien, że to porządny człowiek? - szepnęła Holly. - A nie zbir w przebraniu, który rzuca kamienie w okna salonów Mody Ślubnej i zostawia okropne wiadomości na ścianach i trawnikach?

- Założyłbym się o wszystkie pieniądze, że to nie zbir. Jest naprawdę przyzwoity.

- Jak więc Pru mogła mu się spodobać? - zapytała Holly.

Jake się uśmiechnął.

- Nie jest sobą - zauważył. - Jest Suzy.

Holly patrzyła, jak Suzy i Dan jedzą jedno skrzydełko. Ich usta zbliżały się coraz bardziej, aż spotkały się w pocałunku.

Nagle otworzyły się frontowe drzwi i do pubu weszli Dylan z Lizzie. Pru zamarała, a potem udawała, że coś ją bardzo zaciekało w porysowanym blacie stołu.

Dylan pomachał do Jake'a i Holly, a potem stanął jak wryty.

- Pru? Do Halloween zostało jeszcze trochę czasu!

Holly wstrzymała oddech.

Pru milczała. Pilnie studiowała menu.

- Pru? - Dylan odchylił menu palcem.

- Kto to jest Pru? - zapytał Dan ze zdziwioną miną.

- Wszędzie rozpoznałbym moją siostrzyczkę - oznajmił Dylan z szerokim uśmiechem.

Pru rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Suzy, nie wiedziałem, że masz brata - powiedział Dan. - Cześć, miło mi cię poznać. Jestem chłopakiem Suzy, nazywam się Dan Martin. - Wstał i podał Dylanowi rękę. - Dylan Dunhill?

- Przyznaję się do winy - odparł Dylan.

Dan wodził wzrokiem od Pru do Dylana.

- Nazywasz się Dunhill? Myślałem, że Morelli.

Pru wypuściła powietrze i zdjęła okulary. Potem zdjęła też perukę. Jej długie, jasne włosy były ściągnięte w kok na karku.

- Co.... - zaczął Dan. - Jesteś Pru Dunhill?

Zagryzła wargę, a potem powoli pokiwała głową.

- Kiedy zepsuł mi się samochód i przyjechałam do warsztatu, prawie na mnie nie patrzyłeś. Postanowiłam więc przybrać twój styl. Natychmiast się we mnie zakochałeś.

Dylan, Lizzie, Jake i Holly z niedowierzaniem gapili się na Pru.

- Słuchaj, nic z tego nie rozumiem - powiedział wyraźnie zirytowany Dan. - Co to za gierka?

Pru energicznie potrząsała głową.

- Dan, zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Żaden mężczyzna tak na mnie nie działał. Kiedy zobaczyłam cię przy pracy, dosłownie ścięło mnie z nóg. Próbowałam cię poderwać, ale nie byłeś zainteresowany.

I powiedziałem ci to wyraźnie na zjeździe absolwentów, kiedy przypadkiem się spotkaliśmy - irytował się Dan. -- Tak się złożyło, że wpadłem do hotelu Troutville Plaza, żeby wypić w barze drinka z kumplem, który przyjechał na zjazd absolwentów. Wparowałaś do baru i przerwałaś nam bez pardonu. „Porozmawiaj ze mną, Dan! Zatańcz ze mną!” Odpowiedziałem, że nie jestem z twojej klasy i że czułbym się nieswojo, wchodząc na bal, a ty pomyślałaś, że chodziło mi o klasę społeczną. Straszna z ciebie snobka, Pru. Chodziło mi o klasę w szkole.

- Dan, ja...

Nie dałaś jednak za wygraną. Wymyśliłaś historyjkę o tym, że ktoś upił się i zemdłał w lesie, żeby mnie tam wyciągnąć, a potem zaczęłaś się przytulać.

- Nie sądziłam, że mi się oprzesz. - Pru spuściła wzrok.

- Pru, przynaję, jesteś piękną kobietą. Ale nie lubię takich osób jak ty, więc oparłem się bez trudu. Ty nadal się nie poddawałaś. W lesie dostałaś ataku złości, rzucałaś nawet kamieniami. Zachowywałaś się jak dziecko. Taka właśnie jest Pru Dunhill.

Aha, słynna kłótnia w lesie. Nawet teraz, gdy wszystko się wyjaśniło, wciąż trudno było w to uwierzyć.

- Nie! - krzyknęła Pru. - Wcale nie! Nie jestem taka! Och, Boże, sama już nie wiem. Może taka byłam. Ale to się zmieniło. Odkąd cię poznałam...

- Odkąd mnie poznałaś, nie przestajesz kłamać, Pru - przerwał jej Dan. - A następny raz, kiedy przyszłaś do warsztatu? Nakłamałaś, że samochód zepsuł ci się przy torach, żebym poszedł z tobą. Łgałaś jak z nut!

To musiało być tego dnia, gdy ciocia Louise widziała Dana i Pru - nie w przebraniu idących wzdłuż torów.

- Myślałaś, że to kłamstwo mnie do ciebie przekona? - jęknął.

- Pozwól mi dokończyć, proszę. Wiedziałałam, że wszystko zepsułam. Chciałam cię skłonić, żebyś dał mi jeszcze jedną szansę. Przyszłam więc do warsztatu, zupełnie inaczej ubrana, żeby zobaczyć, jak zareagujesz. A ty natychmiast zaprosiłeś mnie na randkę.

- Jesteś kłamczuchą. Straszna kłamczucha!

- Nie! - zaprzeczyła Pru. - Jestem tą samą osobą! Mam tylko inne ubranie i włosy!

- Okłamywałaś mnie cały czas. - Dan wstał. Naiwniak ze mnie. - I wyszedł z pubu.

Wielkie dzięki, Dylan! - wrzasnęła Pru. - Dzięki, że zepsułaś jedyną dobrą rzecz, jaka mnie spotkała.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, ona też wyszła.

Dylan, Jake i Holly pobiegli za nią, ale jej volvo już ruszyło z piskiem opon.

- Ale szok! - kręcił głową Dylan. - Moja siostra zakochała się w mechaniku z Dolnego Troutville i udawała, że jest z Dolnego Troutville i ma na imię Suzy? Myślałem, że po ostatnich tygodniach nic mnie już nie zaskoczy, ale to naprawdę obłąd.

- O rany! - Lizzie opadła na krzesło.

Dylan, Jake i Holly dołączyli do niej przy stoliku, wciąż z niedowierzaniem kręcąc głowami.

Holly i Lizzie miały już iść spać, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Holly wyrzała przez szparę w zasłonach w salonie, żeby sprawdzić, czy samochód ochroniarza nadal jest zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Był. Kiwnęła kuzynce głową.

- Kto to jest? - zapytała Lizzie, wzruszając ramionami.

- Pru.

Wymieniły spojrzenia. Lizzie otworzyła.

- Wiem, że jest późno - powiedziała Pru. Znów wyglądała normalnie.

- Ale chciałabym porozmawiać, jeśli się zgodzicie. Z wami obiema.

Lizzie kiwnęła głową.

- Jasne. Wejdz.

Pru nie chciała nic pić, ale Holly mimo to zaparzyła dzbanek herbaty. Gdy wróciła do salonu z tacą, Pru i Lizzie siedziały na dwóch końcach kanapy, z rękami splecionymi na kolanach.

Holly nie wiedziała, która z nich wygląda na bardziej zdenerwowaną.

- Wpadłam, żeby poprosić o przysługę - zaczęła Pru. - Byłabym wdzięczna, gdybyście zachowały dla siebie to, co wydarzyło się dziś po południu. Bardzo mi na tym zależy, więc... - Wyjęła z portfela książeczkę czekową. - Powiedzcie tylko, ile wam zapłacić, żebyście zagwarantowały, że nikt się o tym nie dowie. Zwłaszcza reporterzy z „Gazety Troutville”.

- Pru - powiedziała Lizzie. - Schowaj książeczkę czekową. Jeśli chcesz, żebyśmy nic nie mówiły, wystarczy poprosić.

- Dlaczego miałybyście milczeć za darmo? Co z tego będziecie miały?

.- Nic - odparła Lizzie. - Holly, co będziesz z tego miała?

- Nic - powtórzyła Holly.

- Wyświadczyłybyście mi przysługę? Dlaczego? - dziwiła się Pru. - Przecież byłam wobec was podła. Wobec was obu.

- To, jak traktujemy innych ludzi, świadczy tylko o nas -- wyjaśniła Lizzie. - To, że ktoś jest draniem, nie oznacza, że trzeba mu odpłacać pięknym za nadobne. My takie nie jesteśmy.

- W porządku - powiedziała Pru. - Mam więc wasze milczenie. Przyrzekacie.

Lizzie kiwnęła głową. Pru spojrzała na Holly, która zachowała się tak samo.

- W porządku - powtórzyła jeszcze raz Pru. - Tylko po to tu przyszedłam. - Wstała, zarzuciła torebkę na ramię i podeszła do drzwi. Nagle zatrzymała się i stała bez ruchu, nic nie mówiąc. Po chwili wybuchła płaczem.

- Pru? - zapytała łagodnie Lizzie.

- Co robić? - Pru ukryła twarz w dłoniach. - Co ja teraz zrobię?

Lizzie i Holly wymieniły spojrzenia.

- Kocham go - wyjąkała Pru, wciąż zwrócona w stronę drzwi. - Bardzo go kocham.

- Może byś wróciła na kanapę i napiła się herbaty? - zaproponowała Lizzie.

Pru wreszcie się odwróciła.

- Może filiżankę. Masz ziołową?

- Tylko starego, dobrego liptona - odparła Lizzie.

- Dobrze. - Pru podeszła do kanapy. Usiadła, spojrzała na Holly siedzącą w drugim końcu i na Lizzie nalewającą wrzątek do kubka. - Pewnie uważacie, że to szaleństwo.

- Że się w kimś zakochałaś? - zapytała Holly. - W kimś z innej sfery?

Pru kiwnęła głową.

- Nie powiedziałabym, że to szaleństwo. - Holly się uśmiechnęła. - Całkiem niedawno zdarzyło się to pewnej bliskiej mi osobie. Rzeczywiście, z początku nie mogłam w to uwierzyć, aż wreszcie zrozumiałam, że miłość jest miłością. Nie liczy się pochodzenie ani praca. Miłość to magia. Czasami ludzie kochają się wbrew wszelkim przeszkodom.

- Magia - powtórzyła Pru. - To doskonałe określenie tego, co dzieje się między mną a Danem. Ale teraz on mnie zniechęcił. Nie oddzwania, nie otwiera drzwi. Straciłam go.

- Cóż, pewnie jest w szoku. Przemyśli to do rana i jutro pewnie zechce cię wysłuchać - pocieszyła ją Lizzie.

Pru znów kiwnęła głową.

- Mam taką nadzieję.

- Pru, chciałabym cię o coś zapytać - powiedziała Holly. - Skoro od kilku tygodni jesteś zakochana w Danie i przekonałaś się na własnej skórze,

czym jest miłość, to chyba zrozumiałaś, że twój brat mógł zakochać się w Lizzie. Dlaczego więc zachowujesz się tak okrutnie?

Pru spuściła wzrok.

- Częściowo dlatego, że staram się trzymać fason, chronić się przed własnymi uczuciami. Może zawsze tak było. Próbuję się bronić, choć sama tak naprawdę nie wiem przed czym. Dlatego udawałam, że podrywam Jake'a. To świetny facet, bardzo seksowny, ale ja traktowałam go jako przykrywkę. Zwłaszcza że moja mama tak bardzo go lubi.

No, no, pomyślała Holly. Zadałaś sobie wiele trudu, żeby nikt się nie zorientował.

- Pru, zapytam o to tylko raz i już nie wrócę do sprawy - odezwała się Lizzie. - Czy to ty próbowałaś zniszczyć mój związek z Dylanem?

Pokręciła głową.

- Nie. Nie robiła tego też Arianna. Na pewno jest na szczycie listy podejrzanym, tuż za mną i moją matką.

Lizzie przytaknęła.

Pru wstała.

- Dzięki za herbatę.

- Nie musisz się spieszyć - zatrzymywała ją Lizzie. - Jeśli chcesz pogadać, wiedz, że umiemy słuchać.

- Chyba wołałabym pobyć sama - wyznała Pru. - Może trochę sobie pojeżdżę i zastanowię się, co jutro powiedzieć Danowi.

- Dobry pomysł - pochwaliła Holly. - Życzę szczęścia!

Pru uśmiechnęła się blado.

- Dzięki, przyda się.

Lizzie odprowadziła Pru do drzwi.

- Pozwól, że zapytam z ciekawości... Pru, czy powiesz swojej matce o Danie?

- Kilka dni przed oświadczeniami - odparła Pru i mrugnęła do niej. - Myślę, że Dylan bardzo dobrze to rozegrał.

Lizzie się uśmiechnęła. Powiedziały sobie „dobranoc”. Zamykając drzwi za swoją przyszłą szwagierką, Lizzie ze zdziwieniem pokręciła głową.

- Jeszcze wczoraj nie pomyślałabym, że istnieje choćby najmniejsza szansa na poprawne stosunki z Pru. A co dopiero przyjazne!

Holly też się uśmiechnęła.

- W mieście dzieje się dużo dziwnych rzeczy.

Lizzie się roześmiała.

- Mało powiedziane! - Opadła na kanapę i odchyliła głowę. - Ulżyło mi, że Pru, pani Dunhill i Arianna nie są zamieszane w ataki przeciwko

mnie i moim przyjaciółkom. Ale jeśli nie one, to kto? Nikt już nie przychodzi mi do głowy.

- Nie wiem, Lizzie - odparła szczerze Holly. - Ale mogę ci przysiąc, że Jake pracuje nad tą sprawą dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Lizzie kiwnęła głową i głęboko westchnęła.

- Data ślubu już ustalona - powiedziała - a ja mam tylko drużny i pana młodego.

- Nic więcej ci nie trzeba - zapewniła ją Holly. - Pastor zna datę. Włózysz którąś ze swoich najładniejszych sukienek.

- Racja. Nieważne, w co się ubiorę, jeśli będą przy mnie ci, których kocham.

Holly ścisnęła dłoń kuzynki.

- Przynajmniej pokażemy temu psychopacie, że nie wygrał - stwierdziła Lizzie. - Dylan i ja pobierzemy się, mimo że chce nas poróżnić albo wypędzić mnie z miasta. Może kiedy weźmiemy ślub, pogodzi się z porażką i zostawi nas w spokoju.

Holly potaknęła z pełnym nadziei uśmiechem, choć wcale nie miała pewności, czy tak będzie.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Lizzie i Holly aż podskoczyły.

To znów była Pru Dunhill.

- Przepraszam, że tak was nachodzę... ale, cóż, powiedziałyście, że mogę wpaść, gdybym chciała porozmawiać, więc...

- Cieszymy się, że się zdecydowałaś - zapewniła Lizzie, rzucając Holly zdziwione spojrzenie. - Udało ci się porozmawiać z Danem?

Pru kiwnęła głową.

- Dodzwoniłam się z komórki, siedząc w samochodzie. Chce się ze mną spotkać w pubie Morrow's, dziś późnym wieczorem, i prosi, żebym przyszła bez przebrania. - Pru nagle wybuchła płaczem. - Ale ja tak nie potrafię! Przy Danie jestem Suzy. Nie Pru Dunhill. Tak mi dobrze zmieścić się w inną osobę. Taką, która może mówić i robić, co chce.

- Pru, ty zawsze mówisz i robisz, co chcesz - zauważyła Holly.

Pru potrząsnęła głową.

- Tak tylko ci się wydaje. Nie chcę się uzalać nad sobą i mówić, że jestem nieszczęśliwą, bogatą dziewczynką... Ale bycie bogatą, piękną, doskonałą i wzbudzającą zazdrość też ma swoją cenę.

Holly starała się nie wybuchnąć śmiechem. Spojrzała na Lizzie, a Lizzie na nią.

- Pru, powiedz nam, dlaczego tak lubisz być Suzy.

Pru się uśmiechnęła.

- Uwielbiam nosić rockandrollowe ciuchy i mieć potargane włosy. I pić piwo. Lubię być słodka i miła, gruchać z Danem, wygłupiać się z jego kumplami. Jako Suzy jestem całkiem inną osobą.

- A może byś po prostu spróbowała włączyć Suzy, kobietę, którą chcesz być, we własną osobowość. Możesz się zmienić. Sama się o tym przekonałaś. Bądź więc Suzy. Kup sobie trochę swobodniejszych ciuchów, poszalej z fryzurą, bądź słodka i miła. Nic więcej nie trzeba. Nie musisz udawać zupełnie innej osoby.

- Wcale nie jestem pewna, czy potrafię się zmienić. - Pru westchnęła.
- Nie mam o tym pojęcia.

- Ja mam - powiedziała Holly. - Lizzie też. Jest ciężko, ale w końcu możesz osiągnąć to, czego pragniesz.

- Czyli warto? - zapytała Pru.

Lizzie kiwnęła głową.

-Prawda, Hol?

Holly pomyślała o Jake'u. Zmieniła się zbyt późno, żeby spełnić swoje marzenie.

- Tak - odparła. - Warto, nawet jeśli nie osiągniesz tego, czego pragniesz.

Plany ślubne bardzo się zmieniły. Zamiast wielkiej ceremonii w kościele, o jakiej zawsze marzyła Lizzie, ślub miał się odbyć w Dunhill Mansion, pod bardzo silną ochroną, jutro, czyli dzień wcześniej, niż ustalono. Zamiast dwustu dwudziestu pięciu gości, którzy przyjęli zaproszenia, miała być obecna tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele. Zamiast ciepłego powitania przez państwa młodych gości czekała rewizja przy wejściu.

Pani Dunhill sama zaproponowała, że zorganizuje ślub w swoim domu; ustaliła wszystko z pastorem i wynajęła profesjonalnego organizatora wesel, żeby szybko zmienił jej salę balową w „ogród” z trawnikiem i kwiatami, a kuchnię - w zaimprovizowane centrum cateringowe. Osobiście zadzwoniła do wszystkich gości, których trzeba było poinformować, żeby jednak nie przychodzili.

Najwyraźniej bardzo nie chciała mieć nieślubnego wnuka.

Jake zadzwonił do kilku osób, żeby się upewnić, że ochrona będzie na miejscu, po czym obrócił się na swoim fotelu i wyjrzał przez okno na plac Troutville.

Za dwa dni Holly wyjedzie.

Historia się powtarzała: on zostawał w Troutville, ona nie. Przed dzieśnięciem laty łatwiej mu było ją wypuścić, bo miała marzenia. Chciał, żeby

wszystkie je spełniła, żeby była szczęśliwa. Żeby miała dom i życie, jakiego zawsze pragnęła.

Teraz nie było mu łatwo pogodzić się z jej wyjazdem. Pozostały pewne nierozwiązane sprawy. I drobna kwestia jego uczuć do niej.

Co czuję? - zadał sobie pytanie. Z jednej strony, kochał ją do szaleństwa. Z drugiej, wiedział, że nigdy nie będzie mężczyzną jej życia, bo był zbyt silnie związany z Troutville.

Skoro jednak Pru Dunhill zakochała się w mechaniku samochodowym z Dolnego Troutville i całkowicie się dla niego zmieniła, to wszystko było możliwe.

Rozdział 15

W dniu ślubu pogoda dopisała. Było słonecznie, ciepło, wiał przyjemny wiaterek. Ten wietrzyk powinien zanieść zapach czekoladowych babeczek na górę, do sypialni Lizzie, żeby ją obudzić.

Holly zerknęła na zegar, wiszący na ścianie kuchni. Dziewiąta.

- Lizzie, nie śpisz już? - zawołała, podchodząc do schodów. - Już dziewiąta! Zejdź na śniadanie. Piekę babeczki.

Zaczekała chwilę na odpowiedź i wróciła do kuchni. Lizzie Morrow spała jak kamień, gdy pod jej oknem terkotał młot pneumatyczny, ale na wieść, że czekają na nią czekoladowe babeczki upieczone przez Holly, od razu zrywała się z łóżka.

Holly wymieszała składniki, wsunęła blachę do piecyka, a potem wzięła telefon i usiadła przy kuchennym stole. Wczoraj zapomniała kupić kawę, a ponieważ Flea mieszkała najbliżej i była uzależniona od kofeiny, Holly chciała ją poprosić, żeby przyniosła trochę, kiedy przyjdzie pomóc Lizzie w przygotowaniach.

Holly zdziwiła się, nie słysząc sygnału. Odłożyła słuchawkę na widełki, a potem jeszcze raz podniosła ją do ucha.

Nic.

Ach, ta Lizzie, pomyślała, idąc do gniazdka w ścianie. Kuzynka często wyłączała telefon, bo świr lubił dzwonić do niej wieczorami - i oczywiście nie udawało się go namierzyć.

Kabel telefoniczny był w gniazdku, ale nie łączył się z aparatem.

Został przecięty.

Holly ścisnęło w żołądku.

- Lizzie! - Przebiegła przez salon, popędziła po schodach i wpadła do pokoju Lizzie.

Był pusty.

- Lizzie! - wrzasnęła Holly.

Na łóżku leżała kartka. Holly chwyciła ją i przeczytała słowa, napisane wielkimi literami na białym papierze:

ZA PÓŹNO, HOLLY. ONA NIE ŻYJE! I JEJ KALEKA OPIEKUNKA TEŻ!

Holly co sił w nogach pobiegła do sąsiadki Lizzie. Dysząc, zapytała, czy może zadzwonić. Kobieta podała jej słuchawkę bezprzewodową, a Holly natychmiast wybrała numer Jake'a, nerwowo chodząc w tę i z powrotem po podwórku.

Błagam, bądź w domu. Błagam, bądź w domu. Błagam, bądź w domu!

Telefon milczał.

Potrząsnęła słuchawką, rozłączyła się i jeszcze raz wcisnęła guzik połączenia. Nie było sygnału.

O, mój Boże!

Holly upuściła telefon i pobiegła w stronę domu Flei, zaledwie dwie ulice dalej. Fleo, bądź tam, bezpieczna, prosiła w myślach. Błagam!

Zapukała nerwowo. Żadnej odpowiedzi. Pobiegła do tylnego wejścia.

Głósy! Słyszała głos Flei!

Dzięki Bogu, żyje!

Położyła dłoń na klamce i nacisnęła. Czy jest tam psychopata? Z Fleą i Lizzie? Czy powinnam tam wejść?

Co robić? Co robić? - krzyczała w myślach. Zastanów się!

Uspokój się i słuchaj. Słuchaj uważnie. I patrz.

Zajrzała przez niewielką szparę między zasłonami na tylnych drzwiach. To było wejście do mieszkania Flei, chociaż jej przyjaciółka zwykle wchodziła przez sklep, z drugiej strony domu.

W domu panowała cisza. Holly widziała tylko drzwi, prowadzące do piwnicy. Zamigotało światło i zaraz zgasło, jak świeca.

Usłyszała stłumiony dźwięk, więc przycisnęła ucho do drzwi.

Nic.

Lekko pchnęła drzwi. Były otwarte.

O Boże! O Boże! O Boże!

Powoli uchyliła drzwi i wsunęła się do środka. Podeszła na palcach do drzwi do piwnicy i przyłożyła do nich ucho, nasłuchując. Znowu usłyszała stłumione głosy,

Ktoś jest na dole! Flea i Lizzie, związane, z ustami zaklejonymi taśmą?

Cichutko otwórz drzwi, nakazała sobie.

Uchyliła je odrobiną, czując ulgę, że nie zaskrzyphiały. W półmroku zobaczyła stojącą Fleę. Na stoliku migotała świeca. Flea trzymała coś w ręce.

Holly bardzo delikatnie pchnęła drzwi. Zaskrzyphiały.

Flea drgnęła.

- Holly! - zawołała nerwowym szeptem. - Czy to ty?

- Tak, Fleo. To ja. Wszystko w porządku? Z Lizzie też?

- Tak, nic nam się nie stało! Chodź tu szybko, Holly. Nie mogę odwiązać Lizzie.

Holly otworzyła drzwi i zbiegła po wysokich, stromych schodach. Potknęła się i upadła na kostkę. Krzyknęła.

- Biedna Holly - powiedziała Flea. - Mam nadzieję, że nie zostaniesz kaleką do końca życia. Mówię ci, to nic zabawnego.

Holly złapała się za bolącą kostkę i spojrzała na przyjaciółkę.

A ona trzymała w ręce rzeźnicki nóż.

O, mój Boże!

Holly dostrzegła jakiś ruch w ciemnym kącie. To była Lizzie.

- Lizzie! - krzyknęła.

Lizzie była przywiązana sznurkiem do krzesła. Usta miała zaklejone taśmą. Holly widziała strach w jej oczach.

- Fleo, co się tu dzieje?

- Ty głupia, głupia, nadęta dziwko! - wrzasnęła Flea, wymachując nożem. - Zamknij się natychmiast!

Co?

Holly patrzyła na Fleę. Powoli zaczynała rozumieć. Ochroniarze nie pomyśleli, że Lizzie grozi wielkie niebezpieczeństwo, i nic dziwnego. Przecież była z Fleą, jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek.

O Boże! - Holly tłumiła szloch.

Flea szybko podeszła do Lizzie. Przyłożyła jej nóż do szyi.

- Fleo! - krzyknęła Holly.

- Mam na imię Felicia. Nie Flea. Felicia. Powtórz to za mną, Holly, bo Lizzie teraz nie może mówić.

Holly otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć głosu.

- Dam ci chwilę, żebyś przypomniała sobie, jak się mówi, ty głupia, nadęta dziwko!

Flea chwyciła grube pasmo włosów Lizzie i trzymała je wysoko nad jej głową. Wzięła nożyczki ze stołu i zaczęła ciąć tuż przy skórze.

Lizzie była przerażona. Serce Holly waliło jak oszalałe.

- Najmniejszy ruch, Puszczalska Holly - syknęła Flea - a wbiję jej te nożyczki w szyję. Rozumiesz?

Holly z trudem przełknęła ślinę.

- A potem wezmę nóż i wbiję w pierś tej dziwki! To mnie powinien pokochać! - krzyczała, chwytając kolejną garść długich, jasnych loków Lizzie i przycinając je kilka centymetrów od skóry. - Gdybym nie była oszpecona, gdybym była taka ładna jak wy...

- Fleo, jesteśmy przyjaciółkami - powiedziała Holly najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Nie rozumiem!

Jasne, snobko! - wrzasnęła Flea. - Wyprowadziłaś się. Jak mogłybyśmy się przyjaźnić, skoro nie mieszkasz tu już od dziesięciu lat?

-Ale...

- Żadnych ale, snobko! I mówiłam, że mam na imię Felicia. Twój najnowszy facet zna moje imię. Dlaczego ty nie? Jesteśmy przyjaciółkami. Ty kłamliwa dziwko!

- Felicio... - zaczęła Holly. Myśl. Przemów jej do rozsądku. Przecież ją znasz. Znasz Fleę od dzieciństwa. Zrób coś!

Wcale nie znała Flei. Felicii. Najwyraźniej ani trochę.

Flea cięta dalej, patrząc na swoje dziecko.

- To z twojej winy jestem oszpecona! - warknęła, gdy loki Lizzie spały na podłogę. - Nie uratowałaś mnie na czas!

O, Boże.

- Próbowała, Felicio! - przekonywała ją Holly. - Naprawdę. Sama się poparzyła. Nie mogła tam wrócić.

-I zostawiła mnie, żebym paliła się dalej. Uchroniła swoją cenną skórę, ale mną się nie przejęła!

- Nie, Felicio! Wcale tak nie było. Nie pozwolili jej tam wrócić. Strażacy ją trzymali!

- Nie podobałam się żadnemu chłopakowi! - krzyczała Flea. - Wszyscy lecieli na ciebie, Lizzie. To jasne, skoro ze wszystkimi spałaś.

Jeśli Flea tak uważała, to dlaczego uwzięła się właśnie na Lizzie? Dlaczego nie prześladowała Holly lub Gayle, które miały równie złą - nieuzasadnioną - reputację?

- A teraz odebrałaś mi wymarzonego faceta - ciągnęła Flea. - Kocham Dylana Dunhilla od mojego „wypadku”. Wiesz dlaczego?

- Dlaczego? - zapytała łagodnie Holly. Spojrzała na Lizzie. Po policzkach kuzynki płynęły łzy.

- Bo kochałam się w nim już od siódmej klasy. Nigdy nie mówiłam o tym żadnej z was, bo byście się śmiały, że spodobał mi się chłopak z Górnego Troutville, w dodatku najbogatszy w mieście. Dlatego zatrzymałam to dla siebie. Dylan był dla mnie miły. Zawsze mi się kłaniał, kiedy mijaliśmy się na szkolnych korytarzach. Kilka razy zgodził się ze

mną podczas klasowej dyskusji. A potem... kiedy bliźni się zagoiły i zaczęłam wychodzić z domu, on jeden nie przyglądał mi się badawczo. Był naprawdę miły. Raz nawet powiedział, że mam ładny szalik i wyglądał w nim jak gwiazda filmowa.

- Felicio...- zaczęła Holly.

- Bardzo go kocham! — płakała Flea. - Ale Lizzie zastawiła na niego sidła! Wskoczyła mu do łóżka i zaszła w ciążę, a teraz on musi się z nią ożenić, bo jest bardzo odpowiedzialny! Ja na to nie mogę pozwolić! Nie pozwolę, żeby się dla ciebie poświęcił. Ty nie poświęciłaś się dla mnie!

Flea przełożyła nożycy do lewej ręki, a prawą chwyciła rzeźnicki nóż.

- Znalazłaś mój list?! - krzyknęła do Holly. Nóż był niebezpiecznie blisko ramienia Lizzie.

- Tak, znalazłam.

- Napisałam, że kaleka też nie żyje. To prawda. Od teraz żyje ja. Kiedy tylko pozbędę się Lizzie, zacznę żyć od nowa. Będę kimś, kim miałam być, zanim zrujnowała mi życie.

Powoli uniosła rękę, a ostrze noża zaślniło w słabym świetle.

- Nie! - krzyknęła Holly.

- Nie wrzeszcz, Puszczalska Holly! - warknęła Flea. - Nikt cię nie usłyszy. Z powodu Lizzie nikt nie zbliża się do mojego mieszkania.

Nóż opadł.

Rozdział 16

Ktoś bliski. Ktoś bliski. Ktoś bliski.

Te słowa odbijały się echem w głowie Jake'a. Wracaly do niego całą noc. Jeśli psychopata, którego szukali, nie była sama Lizzie, Gayle, Felicia ani Holly, to Jake nie mógł zrozumieć, jak sprawca dokonał choćby połowy swoich czynów.

Czy Holly napadła się sama w parku? Czy Flea sama uderzyła się kamieniem wielkości cegły? Czy Gayle.

Nic straszego nie spotkało Gayle. Drzwi jej samochodu zostały zablokowane kilka tygodni temu, a szef otrzymał podły list na jej temat, ale mogła zrobić te dwie rzeczy sama, żeby odrzucić od siebie podejrzania.

Lizzie, Holly i Felicia zostały groźnie zaatakowane.

Tylko Gayle nie.

Ale Gayle była jedną z najlepszych przyjaciółek Lizzie. Jake nie znalazł jej zbyt dobrze, lecz nie mógł uwierzyć w to, co kołatało mu się po głowie.

To nie ona, podpowiadał instynkt gliniarza.

Więc kto, do cholery?

Wstał z łóżka, szybko wziął prysznic i ubrał się. Musiał porozmawiać z Holly. Musiał z nią omówić swoją teorię na temat Gayle, chociaż była przerażająca.

Może Gayle potajemnie kocha się w Dylanie.

Nie, zdawały się mówić wszystkie komórki jego ciała. Podejrzewasz nie tę osobę, co trzeba.

Biorąc klucze i idąc w stronę drzwi, wiedział, że o czymś nie pomyślał, że coś mu umknęło. Co do jednego nie miał wątpliwości: sprawca był blisko.

Zatem jeśli nie Gayle, to kto?

Przekręcił klucz w zamku, ale drzwi nie chciały się otworzyć.

To dziwne, pomyślał, szarpiąc klamkę. Drzwi nie ustępowały.

Chwycił telefon. Nie było sygnału. To też go zdziwiło. Telefon komórkowy również nie działał, chociaż naładował go poprzedniego wieczoru.

Co jest?

Narastała w nim panika. Mieszkał na szóstym piętrze, więc mógł wyjść tylko drzwiami. Ktoś dopilnował, żeby tego nie zrobił. Ani żeby do niego nie zadzwonił.

- Już nie wyglądasz tak ładnie, co? - zapytała Flea, odcinając kolejny pukiel pięknych, jasnych włosów Lizzie. - Jesteś ohydna. Teraz stałaś się dziewczyną, którą chłopak zaprasza na tańce, bo założył się z kumplami.

- Fle... Felicio... -jęknęła Holly. Drżały jej kolana. - Ty...

- Holly. - Flea dotknęła nożyczkami szyi Lizzie. - Jeśli będziesz dalej mówić, jeśli powiesz chociaż jedno słowo, wbiję te nożyczki w gardło twojej wstrętnej kuzynki.

O Boże, pomyślała Holly. Co robić? Muszę coś zrobić. Przechytrzyć ją. Myśl, Holly, Myśl!

Lizzie była przerażona. Płakała i cała się trzęsała.

- Biedna, biedna, brzydka Lizzie - zadrwiła Flea. - Szkoda, że Dylan nie będzie już chciał cię poślubić. Teraz, kiedy zobaczy cię taką... - Jej oczy zalśniły, jakby wpadła na jakiś pomysł. Potem zaczęła powoli odwijać czarny szalik z szyi. Holly nie wiedziała, że był taki długi: miał chyba kilka metrów.

W stłumionym świetle było teraz widać gołą szyją Flei. Holly nigdy dotąd nie widziała jej blizn, dużych fragmentów przeszczepionej skóry.

Pograżona we własnych myślach Flea odłożyła nożyczki i przesunęła palcami po szaliku. Po chwili stanęła za Lizzie i zaczęła go owijać wokół jej szyi.

O Boże! Błagam, niech Flea nie skrzywdzi Lizzie! Błagam! - modliła się Holly.

Flea owijała dalej.

Teraz, nakazała sobie Holly. To jedyna szansa. Dopóki Flea jest taka zamyślona. Działaj szybko!

Patrząc na nożyczki i nóż na stole, Holly zorientowała się, że to jedyna okazja, żeby uratować życie Lizzie i swoje.

Rzuciła się do przodu.

Ale Flea była szybsza. W mgnieniu oka chwyciła nożyczki jedną ręką, a nóż drugą. Uniosła nóż wysoko w górę i obróciła się, żeby uderzyć w szyję Lizzie.

- Nie! - krzyknęła Holly.

Powietrze przeszył huk wystrzału i Flea osunęła się na ziemię.

Oszołomiona Holly spojrzała w stronę schodów. Zobaczyła Jake'a i Dylana - stali za dwoma policjantami w mundurach, z wyciągniętymi pistoletami.

- Nie! - wrzasnęła Flea. Zakasłała i z jej ust bryznęła krew. - Niech Dylan nie zobaczy mnie w takim stanie... - Podniosła rękę do szyi i starała się włosami zasłonić blizny. - Nigdy mnie nie zechce, jeśli mnie taką zobaczy! Wydam mu się brzydka! Tak brzydka, jak Lizzie teraz! Próbo- wałam nie dopuścić do ślubu, Dylanie. Nie chciałam, żeby zrujnowała ci życie. Wynajęłam nawet zbira, żeby rzucił we mnie kamieniem przez okno sklepu, ale... - Urwała, starając się odetchnąć. Z oddali dobiegło wycie syren. - Mogę się jej pozbyć i będziemy razem...

Policjanci podbiegli, żeby zatamować krwotok, ale Flea już nie żyła. Jeden z nich zamknął jej oczy.

Dylan doskoczył do Lizzie i uwolnił ją. Pod Holly ugięły się nogi. Osunęłyby się na ziemię, gdyby nie podtrzymał jej Jake.

- Skąd wiedziałeś?. - wyszeptęła.

- Nie mogłem przestać myśleć o tym, o czym mówiliśmy. Że musiał to zrobić ktoś bliski. Przeanalizowałem wszystko z perspektywy Lizzie i wreszcie dotarło do mnie, że mogła to być Felicia. Wszystko pasowało. Mogła dokonać tych wszystkich napaści. Nie byłem pewien, ale zadzwoniłem do Dylana i na policję. Przyjechalśmy najszybciej, jak się dało.

Musiałem najpierw wyważyć drzwi własnego mieszkania, to też była sprawka Felicii, ale mówię ci, to niesamowite, ile siły daje adrenalina. Felicia zdołała również rozłączyć mój telefon.

- Gdybyście przyszli minutę później... - zaczęła Holly. - Och, Jake...

- Jestem przy tobie. Nic ci nie grozi. Lizzie też jest bezpieczna. Teraz już wszystko będzie dobrze, Holly.

Zamknęła oczy i wciągnęła w nozdrza jego zapach, odprężyła się w jego silnych ramionach. Nie puszczaaj mnie, pomyślała, a może powiedziała głośno - nie była tego pewna.

Policja znalazła worek marynarski pełen pustych flakoników po lekach psychotropowych, ukryty w szafie w sypialni Flei. Flea była pod opieką psychiatryczną od pożaru, który przeżyła, gdy miała czternaście lat.

- Jak mogliśmy się nie zorientować? - zapytała Holly.

Ona, Lizzie, Gayle i Dylan siedzieli w salonie w domu Lizzie. Od porannego koszmaru upłynęło pięć godzin. Lizzie była spokojna, wiedząc, że wszystko naprawdę się skończyło. Czuła się znacznie lepiej, niż mogli się spodziewać.

Lizzie i Gayle pokręcili głowami. Lizzie z westchnieniem oparła się na kanapie; w oczach Gayle znów załśniły łzy.

Policja ustaliła, że Felicia Harvey leczyła się prywatnie u psychiatry w mieście oddalonym o godzinę drogi od Troutville, od czternastego do osiemnastego roku życia. Gdy stała się pełnoletnia, kilkakrotnie zmieniała lekarzy.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - powiedziała Lizzie. - O napaściach, śmierci Flei... Jak mam wziąć ślub, kiedy nic w moim życiu nie ma sensu? Jedna z moich najlepszych przyjaciółek nienawidziła mnie od ponad dziesięciu lat...

Rozległo się pukanie do drzwi, więc Holly poszła otworzyć. W progu stał Jake. Był bardzo poważny.

- Wracam z posterunku. Ciało Felicii jest w kostnicy.

Lizzie z trudem przełknęła ślinę.

- Teraz, kiedy wiem, że to była Flea, wszystko układa się w logiczną całość. Zamknęła się w piwnicy, chociaż... a raczej dlatego, że zawsze bała się piwnic. Kazała się uderzyć w czoło kamieniem. Kto mogłby ją podejrzewać? Zawsze mogła przyjść do mnie, do mojego domu, do Holly i Gayle.

- Dużo rozmawialiśmy o tym, że sprawcą musiał być ktoś z naszego kręgu, ale ani razu nie pomyślałam, że to Flea. - Holly pokręciła głową.

- Nie obwiniaj się, Holly - powiedział Jake. - Dlaczego miałybyś podejrzewać własną przyjaciółkę? Przyjaciółkę z dzieciństwa?

- Tyle na to wskazywało... Powinam była się zorientować.
- Ja zrozumiałem wszystko w ostatniej chwili - przyznał Jake. - Staralem się działać profesjonalnie. Wydawało mi się, że byłem obiektywny. Ta sprawa wiele mnie nauczyła.
- Chyba nas wszystkich. - Holly westchnęła.

Rozdział 17

Czy naprawdę mam przekroczyć próg... pubu? - zapytała pani Dunhill z niedowierzaniem. Louis przytulił się do jej beżowego blezera. Pani Dunhill patrzyła na fasadę pubu Morrow's tak, jakby coś jej tam groziło.

- Pani Dunhill - powiedział Jake. - To bardzo sympatyczne miejsce. Będzie pani mile zaskoczona, jeśli tylko zdecyduje się pani wejść.

Przyjechał po nią przed godziną, ale znajdowała coraz to nowe wymówki, żeby odwlec wizytę w pubie. Najpierw musiała „napić się kawy dla kurażu”. Potem chciała zjeść owoce. Jeszcze później - wyprowadzić Louisa na spacer do ogrodu. Dopiero gdy zadzwonił Dylan i oznajmił, że jeśli natychmiast nie przyjedzie, to uciekną do Las Vegas i tam się pobiorą, pani Dunhill oświadczyła, że jest gotowa. Oczywiście przez dziesięć minut sadowiła się na przednim siedzeniu samochodu Jake'a, a następnie dziesięć wysiadała z auta przed pubem Morrow's.

Rzuciła Jake'owi ostre spojrzenie, żeby skarcić go za bezczelność, a potem uniosła siwą brew.

- Nigdy w życiu nie byłam w lokalu dla pospólstwa. Oczywiście, bywałam w uroczych, eleganckich barach hotelowych, ale jestem pewna, że tutaj nie sprzedają szlachetnych trunków, do których przywykłam.

Jake z trudem panował nad irytacją.

- Powtarzam, pani Dunhill, będzie pani bardzo zaskoczona. - Otworzył przed nią drzwi. - Wejdzimy? - Zawahał się. - Jeszcze jedno. Chciałbym o coś zapytać. Dlaczego wyszła pani z przyjęcia zaręczynowego i dokąd pani pojechała? - Do tej pory nie zdołał wydobyć tej informacji od Victorii i miał nadzieję, że może teraz się dowie.

- Och, Jake, doprawdy! Po prostu musiałam stamtąd uciec, i tyle! W porządku, chodźmy - powiedziała, mocniej przyciskając do siebie pieska. - Obronisz mnie, prawda, Louis? - zagruchała do terierka. - Wciąż nie mogę się pogodzić z myślą, że dziewczyna w ciąży siedzi w barze. To niewłaściwe, chociaż nie wolno tu palić. To po prostu źle wygląda.

- Pani Dunhill, proszę - zachnął się Jake.

Wreszcie weszła do pubu.

W jasno oświetlonym pomieszczeniu, przy dużym okrągłym stole, siedzieli Dylan, Lizzie, Pru i Holly. Pośrodku stał dzbanek z lemoniadą i półmisek serów.

Nikt nie wyglądał na zadowolonego. Dylan, rozparty na krześle, gapił się w sufit. Lizzie ogryzała skórki przy paznokciach. Pru rozglądała się po lokalu, jakby mogła się tu zarazić jakąś straszną chorobą. A Holly wbiła wzrok w swoje zaciśnięte dłonie.

- Pru? Kim jest ten mężczyzna, który siedzi obok ciebie? - zapytała pani Dunhill.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Pru. Obok niej siedział Dan. Ich splecione ręce leżały na blacie stołu.

- To jest Dan Martin, mamó - przedstawiła go Pru. - Pracuje jako mechanik w warsztacie samochodowym. Poznałam go, kiedy pojechałam tam jaguarem.

- A ty musisz trzymać za rękę swojego mechanika? - wycedziła pani Dunhill. - Poza tym sądziłam, że to spotkanie rodzinne.

- No właśnie - odparła Pru. - Dlatego go zaprosiłam. Kocham tego mężczyznę. Do szaleństwa. Jest dla mnie jak rodzina.

Pani Dunhill wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

- Jacobie, mój drogi, pomóż mi usiąść. Nogi się pode mną uginają.

Jake pomógł pani Dunhill usiąść w fotelu obok mamy Lizzie. Królowa Troutville natychmiast odsunęła fotel, żeby nie zakaziło jej „pospólstwo”.

Jake wzniosł oczy do nieba i usiadł naprzeciwko Holly. Wyglądała na wyczerpaną. Słabą.

- Zacznijmy - zaproponowała Lizzie. - Odkładamy ślub na czas nieokreślony.

- Tak być nie może! - huknęła pani Dunhill. Siedziała naprzeciwko Dylana i przemawiała z królewską miną. - Nie zgadzam się na nieślubnego wnuka!

- Mamó, czy dojdzie do ślubu, czy nie - wycedził Dylan - to dziecko nie będzie bękartem. Jest moje i Lizzie. A ponieważ wiesz, że nie znamy jeszcze płci, nie mów o nim jako o chłopcu.

- Jeśli się nie pobierzecie, będzie bękartem, Dylanie - odparła pani Dunhill. - Taka jest definicja.

- W twoim słowniku, mamó. Ja i Lizzie dobrze wiemy, że to nasze dziecko. Ani ślub, ani nazwisko nie ma na to wpływu!

- Właśnie z powodu dziecka odkładamy ślub - wyjaśniła Lizzie. - Nie wyobrażamy sobie, jak moglibyśmy stworzyć nową rodzinę, jeśli nasi

bliscy nie mogą nas znieść. - Pani Dunhill otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Lizzie nie dopuściła jej do głosu. - Dla dobra dziecka ja i Dylan bardzo prosimy was, żebyście nie mieli nam już za złe, że jesteśmy razem. Dla dobra dziecka wszyscy powinniśmy się porozumieć.

- Dla tego, kto się nie zgodzi, nie będzie miejsca w naszym życiu podkreślił Dylan. - Tak po prostu. Zatem, mammo, jeśli nie potrafisz być uprzejma, zabronimy ci kontaktów z wnukiem lub wnuczką.

Pani Dunhill otworzyła usta ze zdziwienia.

- Jak śmiesz!

- Nie mam innego wyjścia - oświadczył Dylan. - To samo dotyczy ciebie, Pru. Jeśli nie zechcesz się dobrze odnosić do mojej przyszłej żony, zabronię ci kontaktów z bratankiem lub bratanicą.

- Kochanie - powiedziała Lizzie. - Pru i ja już zaczęłyśmy poprawiać nasze wzajemne stosunki.

Pani Dunhill przenosiła wzrok z Pru na Dylana.

- Prudence Dunhill, co się tu dzieje? Najpierw wiążesz się z mechanikiem samochodowym, a teraz jeszcze zawierasz rozejmy?

- Co ci w tym przeszkadza, mammo? - zapytała Pru.

Pani Dunhill znów otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Wydaje mi się, że dużą rolę w tej sytuacji odgrywa strach - wtrącił się Jake. - Ludziom trudno jest zaakceptować zmiany, zwłaszcza w najbliższym otoczeniu. Pani rodzina się zmienia, pani Dunhill. Świat się zmienia, zmieniają się pani dzieci. Nawet Troutville się zmienia.

- Nonsens! - ucięła pani Dunhill. - To tylko przejściowa faza. Wszystko wróci do normy.

- Mammo, łatwo jest wierzyć w to, co daje złudzenie szczęścia i bezpieczeństwa - powiedziała Pru. - O wiele trudniej jest pogodzić się z rzeczywistością i własnymi uczuciami. Kocham Dana i chcę z nim być. Dylan kocha Lizzie i chce z nią być. Tylko to powinno mieć znaczenie.

- Ale...-zaczęła pani Dunhill.

- Ale co? - zapytał łagodnie Dylan. - Kocham cię, mammo. Bardzo. Chcę, żebyś uczestniczyła w życiu mojej rodziny.

- Pani Dunhill - odezwała się Lizzie. - Nie musi mnie pani akceptować. Nie musi mnie pani kochać. Wyciągam jednak rękę, żeby powitać panią w moim życiu. Nie musi pani jej przyjąć, ale mam nadzieję, że z czasem się pani do mnie przekona.

- Mammo? - ponaglił Dylan. - Jesteś z nami czy przeciwko nam?

Pani Dunhill spojrzała na syna, na Lizzie i znów na syna. Postawiła Louisa na ziemi, podeszła do Dylana i pochyliła się, żeby go uściskać.

- Kocham cię, Dylanie. I już kocham mojego wnuka. Jestem z wami.

Lizzie krzyknęła z radości i aż podskoczyła, a pani Dunhill ją także uściskała.

- Chyba będziemy musiały się do siebie przyzwyczaić - powiedziała do Lizzie. - Wydaje mi się, że to się da zrobić.

- Ja też tak sądzę - odparła z uśmiechem Lizzie.

- Dziękuję, że wzięłaś na siebie czarną robotę, braciszku! - zawołała Pru. - Zmiękczyłeś mamę, więc nie będzie protestować przeciwko mojemu związkowi.

Pani Dunhill zrobiła groźną minę.

- Tego nie powiedziałam. Z wami dwojgiem policzę się później!

Wszyscy wybuchli śmiechem. Zaskoczona pani Dunhill skrzywiła się, ale potem ona również pozwoliła sobie na cień uśmiechu.

- Pani Morrow? - zapytał Dylan, zwracając się do matki Lizzie. - Co pani myśli o tym wszystkim?

- Czuję, że nadszedł czas na mój pyszny makaron z serem - powiedziała pani Morrow. - Grzeje się w piecyku już pół godziny. Czy ktoś jest zainteresowany?

Wszyscy byli.

- Bardzo dobrze znam się na serach - odezwała się pani Dunhill. - Smakuje mi połączenie trzech gatunków...

Panie Dunhill i Morrow pograżyły się w rozmowie o serach i przepisach kulinarnych, Dylan i Lizzie zaczęli się całować, a Pru bawiła się włosami swojego chłopaka.

- Co do ślubu... - powiedziała Victoria Dunhill. - Uważam, że cudownie będzie zorganizować ceremonię na tym ślicznym placu między Górnym a Dolnym Troutville.

Lizzie uśmiechnęła się szeroko.

- Między Górnym a Dolnym Troutville. Doskonałe miejsce.

- Zgadzam się. Na placu - zawtórował im Dylan.

- Jutro? - zapytała pani Dunhill. - Pyszne jedzenie, które przyrządzono w firmie cateringowej, wytrzyma dobę. Wszyscy są zaproszeni do mojego domu na przyjęcie.

Lizzie i Dylan się uśmiechnęli.

- Jutro - powiedzieli chórem.

Pani Dunhill się rozpromieniła.

- Nasza misja dobiegła końca - szepnął Jake do Holly.

Uśmiechnęła się, a on poczuł się tak, jakby pękło mu serce.

Rozdział 18

Chyba mogę to włożyć na ceremonię - powiedziała Lizzie, wyciągając z szafy białą, letnią sukienkę. - Ma sportowy krój, ale jest ładna.

- Bardzo! - potwierdziła Holly. - Będiesz w niej piękną panną młodą. Lizzie uśmiechnęła się, ale w jej oczach nie było widać radości.

- Dzięki, Hol. Ale z tymi włosami... - dodała, dotykając swoich króciutkich, jasnych loków. - „Piękna” to chyba nie jest odpowiednie słowo.

- Lizzie, bardzo mi się podoba twoja fryzura - wtrąciła się Gayle. - W salonie Strzyżenie i Ploteczki bardzo dobrze się spisali.

Rano Holly i Gayle zawiozły Lizzie do zakładu fryzjerskiego w sąsiednim miasteczku. Gdy weszły, wszyscy wybałuszyli oczy na zwariowaną fryzurę Lizzie - włosy były obcięte kilka centymetrów przy głowie, oprócz kilku długich kosmyków, które zostawiła Flea. Lizzie zignorowała ciekawskie spojrzenia i poprosiła fryzjerkę, żeby zrobiła wszystko, co w jej mocy.

- Jutro wychodzi za mąż - szepnęła Gayle.

- Nie martw się, skarbie - powiedziała stylistka. - Jesteś w dobrych rękach. Kiedy skończę, będziesz wyglądała jak Meg Ryan i Charlize Theron w jednej osobie.

Fryzjerka nie żartowała. Gdy Lizzie ośmieliła się zerknąć w lustro, zobaczyła krótkie kosmyki wokół całej głowy, lśniące i sprężyste. Wyglądała modnie i młodzieżowo. Nie była przyzwyczajona do krótkich włosów, ale wyglądały naprawdę ślicznie.

- Przywykniesz, Lizzie - zapewniła ją Holly. - Poza tym włosy odrosną. Zawsze rosły ci bardzo szybko.

- Racja - przyznała Lizzie. - Zresztą to tylko włosy. Powinnam o tym pamiętać, zamiast narzekać.

- Hej, Lizzie, do ślubu możesz iść w białych espadrylach - zaproponowała Gayle.

- Tak, będą pasować do letniej sukienki - zgodziła się Holly, siadając na łóżku Lizzie.

- Jesteś równie podekscytowana jak ja - powiedziała Lizzie i usiadła przy kuzynce. - Czyli wcale. Co ci jest, Holly?

- Nic, kotku - skłamała Holly, nie mogąc spojrzeć jej w oczy.

Lizzie ujęła Holly za podbródek i uniosła jej twarz.

- Żadnych „nic, kotku”, Holly-Molly. Znam cię całe życie i doskonale wiem, kiedy coś jest nie tak. Gadaj!

Holly położyła się na łóżku i wbiła wzrok w sufit.

- Jutro wychodzisz za mąż i ogromnie się cieszę z twojego szczęścia, Lizzie. Ale kiedy ty powiesz „tak”, ja powiem „żegnajcie”, a chyba jeszcze nie jestem na to gotowa.

— No, no - powiedziała z uśmiechem Gayle. - Holly Morrow nie chce się pożegnać z Troutville? Nie sądziłam, że dożyję tego dnia!

Holly i Lizzie roześmiały się.

- Może wcale jej nie martwi pożegnanie z Troutville, tylko z jednym z jego mieszkańców.

Z dwiema mieszkankami - poprawiła Holly.

Lizzie pogroziła jej palcem.

- Nie kombinuj, kuzyneczko. Mówię o pewnym wysokim, ciemnowłosym, przystojnym prywatnym detektywie, w którym kochasz się od lat.

Holly poczuła, że pała ją policzki.

- Ja... - Och, po co udawać, że nie kocham się w Jake'u, skoro taka jest prawda? Jestem w nim desperacko, szaleńczo zakochana. - Nie poprosił mnie, żebym została. Kiedy ty i Dylan odjedziecie samochodem z napisem NOWOŻENYCY, ja będę musiała wrócić do domu.

- Wcale nie - zauważyła Gayle. - Są wakacje. Szkoła zacznie się dopiero jesienią. Zostań!

- Ale moje życie jest gdzie indziej - powiedziała Holly. - Poświęciłam lata, żeby je stworzyć. Mam tam przyjaciół...

To nie do końca było zgodne z prawdą. W Hoboken byli panna Ellie i Herbert, których traktowała jak rodzinę. Wiedziała, że zawsze będą jej bliscy, niezależnie od tego, gdzie ona zamieszka. Nie mogła jednak powiedzieć, żeby tam naprawdę się z kimś zaprzyjaźniła. Miała kilka koleżanek w szkole, lubiła sąsiadów, ale nie zawarła głębokich, długotrwałych przyjaźni, jak tutaj, w Troutville, w mieście, którego tak nienawidziła.

Tu były Gayle i Lizzie, jej najlepsze przyjaciółki. Ich przyjaźń przetrwała próbę czasu i odległości. Tutaj była też ciocia Louise i jej pub Morrow's, gdzie Holly zawsze czuła się jak w domu.

Tutaj też był Jake. Jake Boone. Którego bardzo kochała.

Jestem w domu, szepnął głos w głowie Holly. Ale nie mogę tu zostać. Nie mogę zostać i żyć blisko mężczyzny, którego kocham bez wzajemności. Jake nie chce mnie w swoim życiu.

Westchnęła. Tak długo mieszkała gdzie indziej, niż ciągnęło ją serce. Sercem była z Lizzie, Gayle, ciocią Louise i Jakiem - a do niedawna z Fleą - ale dom wybrała sobie w innym mieście.

Dziwne, pomyślała. Przez te wszystkie lata moje serce było w Troutville, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Wiesz, Holly - powiedziała Gayle. - Możesz mu wyznać swoje uczucia. Ja powiedziałam swojemu szefowi, że go kocham. Nie przyniosło mi to nic dobrego, ale przynajmniej wie, co do niego czuję.

- Racja - zgodziła się Lizzie.

- Ale ja wiem, że Jake nie czuje tego, co ja - upierała się Holly. - Po co mam się katować? Powiedziałyby mi, że cieszy się z ponownego nawiązania przyjaznych stosunków, ale co było, to było.

- Och, Holly. Oczywiście, że tamto już minęło - przyznała Lizzie. - Nie ma sensu wracać do przeszłości. Ale to, co zaszło między tobą a Jakiem w ciągu ostatnich tygodni, jest bardzo ważne.

- To nie znaczy, że Jake mnie pokocha - jęknęła Holly, czując napływające do oczu łzy.

- On cię kocha, Holly - zapewniła ją Lizzie. - Założę się, że tak!

- Ja też - dodała Gayle.

Holly się uśmiechnęła.

- Dzięki, dziewczyny. Ale myślę, że będzie lepiej, jeśli spakuję walizki i przygotuję się do powrotu do Hoboken, zanim Jake do końca złamie mi serce.

Kogo ja próbuję oszukać? - zastanawiała się. Przecież od dawna mam złamane serce.

Lizzie ucisnęła ramię Holly.

- Naprawdę myślisz, że mogę iść do ślubu w tej sukience i espadrylach?

Holly kiwnęła głową.

- Będiesz cudowną panną młodą.

- Wyglądałabyś pięknie nawet w worku po ziemniakach i puchatych kapturkach w kształcie królików. Dobrze o tym wiesz, Lizzie Morrow.

- Lizzie Morrow, wkrótce Dunhill - poprawiła Lizzie, puszczając oko.

-- Hej, Lizzie! Jesteś w domu?

To był głos pani Dunhill. Lizzie otworzyła usta ze zdziwienia. Trzy przyjaciółki zeszły na parter.

Pani Dunhill, Pru i dwie kobiety, które wyglądały znajomo, weszły do środka z torbami, torebkami i dwoma taboretami,

- Lizzie, moja droga - powiedziała pani Dunhill. - Zaprowadź nas do swojej sypialni. Masz wysokie lustro, prawda? Może takie trzyczęściowe?

Zaskoczona Lizzie spojrzała na Holly, a potem znów na panią Dunhill i jej świtę.

- Tak, mam wysokie lustro w sypialni... na piętrze.

- Cudownie - ucieszyła się pani Dunhill. - W porządku, moje panie, idziemy na górę.

- Pani Dunhill, nie rozumiem... - zaczęła Lizzie.

- Moja droga, nie czas na pogawędkę - przerwała Victoria, prowadząc ją w stronę schodów. - Jeśli twoja suknia ma być gotowa jutro o dziesiątej rano, musimy natychmiast zacząć przymiarki.

- Moja suknia?

- Szybko, szybko! - ponagliła pani Dunhill, lekko szturchając Lizzie. - Holly i Gayle, wejdźcie na górę za pięć minut.

Nie miały aż tyle cierpliwości. Już po dwóch minutach pobiegły do sypialni.

Lizzie stała na taborecie przed lustrem w swojej wymarzonej sukni ślubnej, którą kilka miesięcy temu zobaczyła na wystawie Salonu Mody Ślubnej Bettiny i którą miała przymierzyć, gdy ktoś skrzywdził Fleę.

Nie: gdy Flea skrzywdziła sama siebie.

Po policzkach Lizzie popłynęły łzy.

- To moja suknia, dziewczyny! Moja wymarzona suknia!

- Ale jak... - zaczęła Gayle.

- Powiedzmy tylko, że porozmawiałam sobie z tą nadętą Tutweller - oznajmiła pani Dunhill. - Chodźcie, dziewczęta - zwróciła się do Holly i Gayle. - Wasze stroje są tutaj. Pani Tutweller przysłała szwaczki, żeby je dopasowały.

Na łóżku, w pokrowcach leżały śliczne, jedwabne, różowe suknie, które wybrały z Gayle i Fleą.

Gdy pani Dunhill pomagała Lizzie przypiąć welon do krótkich loków Holly spojrzała w lustro, na odbicie swojej kuzynki. Nawet w stroju panny młodej była sobą. Nikt nie mógł zmienić Lizzie Morrow, chociaż wiele już próbowało.

Bardzo dużo się od ciebie nauczyłam, kochana, pomyślała Holly i rozplakała się z radości.

Jake siedział na dużym głązie na placu między Dolnym a Górnym Troutville, gdzie nazajutrz miał się odbyć ślub Dylana i Lizzie. Odchylił się w tył, skrzyżował ręce za głową i patrzył w piękne, nocne niebo, usiane migocącymi gwiazdami.

Wiele nocy przesiedział w tym miejscu jako nastolatek, myśląc o Holly, o podziale na Dolne i Górne Troutville, o tym, że nie może być z dziewczyną, którą kocha. Opierał się o głąz, tak jak teraz, i rozmyślał. Zastanawiał się, co zrobić, żeby Holly została jego dziewczyną. Ale ona wcale się nim nie interesowała. Wtedy myślała tylko o wyjeździe.

Jak to możliwe, że po dziesięciu latach znalazł się w takiej samej sytuacji? Kobieta, którą kochał nad życie, miała nazajutrz wyjechać z miasta i zostawić go tutaj.

Powiedz jej, co czujesz.

Jak wtedy?

„Jake Boone to ostatni mężczyzna na świecie, za którego bym wyszła”.

Powiedz jej, co czujesz, idioto!

Z miejsca, gdzie siedział, widział górne piętro domu, w którym wychowała się Holly. Kiedyś godzinami wpatrywał się w okno jej sypialni i czasami udawało mu się dostrzec jej zamazaną sylwetkę za firankami. Przesiedział tyle wieczorów, czekając, aż Holly zgasi światło, a potem szeptał: „Słodkich snów”, i dopiero wtedy wracał do domu.

Teraz dom, pokój i wyłącznik światła należały do kogoś innego.

Jake zerknął na dom Lizzie; w oknie jej sypialni widział poruszającą się sylwetkę. Wydawało mu się, że jakaś kobieta, prawdopodobnie ona, przymierza welon.

Uśmiechnął się. Lizzie przeżyła piekło, ale wyszła z tego obronną ręką. Podobnie jak jej przyjaciółki. Oprócz Flei.

Powiedz Holly, co czujesz, nakazał sobie. Nie pozwól jej wyjechać, dopóki nie usłyszysz tych słów.

Jakich słów?

Kocham cię, Holly. Kocham cię całym sercem i zawsze kochałem.

Ale gdy zerknął w okno Lizzie, na zarysy sylwetek przyjaciółek, wyobraził sobie rozmowę.

- Zostać tutaj, w Troutville? - mogłaby powiedzieć Holly. - Poślubić Jake'a Boone'a? Chyba żartujesz! Nie mogę się doczekać powrotu do swojego życia, prawdziwego życia, daleko stąd. Chcę uciec jak najdalej od ostatniego mężczyzny na świecie, za którego bym wyszła.

Nagle w sypialni Lizzie zgasło światło.

- Słodkich snów, Holly - szepnął Jake. Wstał i poszedł do domu.

Świt w dniu ślubu Lizzie i Dylana był ciepły i słoneczny. Pani Dunhill, która już w przeddzień siedem razy przypomniała Lizzie: „proszę, nazywaj mnie Victorią, moja droga”, przyszła z Pru około szóstej rano, żeby zapytać, czy Lizzie woli różowe czy czerwone róże do dekoracji pergoli. Potem poszły na plac, żeby wydawać polecenia ochotnikom do pomocy w przygotowaniach do ślubu.

Pomagając Lizzie się ubrać, Holly uświadomiła sobie, że suknia z bufkami i bez dekoltu pasowała do kuzynki tak samo jak reszta jej strojów. Lizzie nie wybrała jej, żeby wyglądać jak Dunhillowie. Po prostu się

w niej zakochała, tak jak zakochała się w Dylanie. Lizzie Morrow była niezależna od chwili, gdy Holly ją poznała, choć wtedy nie umiały jeszcze ani mówić, ani chodzić.

- Och, Lizzie! - wykrzyknęła Holly. - Wyglądasz prześlicznie!

Trzy kobiety rozpląkały się ze wzruszenia.

- Dobrze, że jeszcze nie zaczęłam się malować - powiedziała Gayle, ocierając oczy. - Bo rozpuściłby mi się tusz.

- Nie wyglądałoby to dobrze. - Lizzie uśmiechnęła się. - Kocham was, dziewczyny - dodała. - Bardzo. Nieważne, że wychodzę za męża. Zawsze będę waszą Lizzie.

- Wiemy. - Holly ucisnęła ją.

Przez kilka chwil przyjaciółki patrzyły na swoje odbicie w lustrze.

- Tylko znów nie doprowadź mnie do łez, Lizzie Morrow, przysłała Dunhill - powiedziała Gayle. - Aha, zaczęło się -. dodała z zamglonymi oczami. — Idę do łazienki, żeby się umalować. Chociaż na pewno zaraz znowu zacznę beczeć.

Holly i Lizzie serdecznie się roześmiały

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Lizzie wyszła z sypialni.

- Kto tam? - zapytała.

- Narzeczony. Rydwan już czeka, moja ukochana.

Dylan zamówił bryczkę, żeby zawiozła ich na plac.

- Chyba muszę już iść — powiedziała Lizzie, ostatni raz ściskając Holly. - Do zobaczenia wkrótce!

- Prosiłam, żebyś już nie doprowadzała mnie do łez! - zawołała Gayle z łazienki.

Szczęśliwa Lizzie z szerokim uśmiechem zbiegła po schodach.

Holly i Gayle, w różowych sukniach i sandałkach na wysokich obcasach, szły przez plac. Nagle Holly przystanęła i głośno westchnęła.

- Za wysokie obcasy? - spytała Gayle z troską w głosie.

- Nie o to chodzi - odparła Holly. - To... - Wskazała ręką, nie mogąc mówić.

Środkowa część placu zmieniała się nie do poznania. Wyglądała jak z bajki. Po obu stronach alejki, obsypanej różanymi płatkami, stało co najmniej po dwieście krzeseł. Alejka prowadziła do pergoli ozdobionej różami. Pnie pobliskich drzew owinięto różową bibułą. Wszędzie były kwiaty.

- Nigdy nie widziałam Dolnego Troutville tak pięknie przystrojonego - powiedziała Gayle z uśmiechem. - A propos przystrojonego, spójrz na swojego faceta przy pergoli.

Holly się zaczerwieniła. Na widok Jake'a, stojącego z Dylanem i pastorem, omal nie zemdląła z zachwytu. Wyglądał jeszcze piękniej niż zwykle.

Och, Jake, pomyślała. Oddałabym wszystko, żeby dziś za ciebie wyjść. Do druhen podszedł jakiś mężczyzna, chcąc się przywitać.

- Prześlicznie wyglądasz, Gayle - powiedział.

Gayle uśmiechnęła się.

- Nie sądziłam, że przyjdiesz. Greg, to moja przyjaciółka Holly. Greg jest moim szefem - dodała zupełnie niepotrzebnie, bo Holly odgadła to z jej pełnego miłości spojrzenia.

- Bardzo miło mi cię poznać - powiedziała Holly.

- Nawzajem - odparł.

Holly bardzo się ucieszyła, widząc szczęście w oczach przyjaciółki. Miała nadzieję, że Gayle zwiąże się z Gregiem.

- Zatańczysz ze mną jeden taniec na weselu, dobrze? - zapytał. Z wyrazu jego twarzy i tonu głosu Holly wywnioskowała, że Gayle mu się podoba. Nawet bardzo.

- Wszystkie - szepnęła Gayle, a on delikatnie dotknął dłonią jej policzka.

Holly poszła dalej, żeby im nie przeszkadzać.

- Holly Morrow, kiedy już myślałam, że nie możesz wyglądać piękniej, ty znów mnie zaskakujesz!

Jake.

Holly poczuła, że się czerwieni.

- Dziękuję. Ty też ładnie dziś wyglądasz.

- Holly, dziecinko, tu jesteś!

Odwróciła się energicznie. Tuż za nią stali panna Ellie i Herbert!

Uściskała swoich ukochanych sąsiadów.

- Bardzo się cieszę, że was widzę.

- Zaprosiła nas sama panna młoda - poinformowała panna Ellie. - Zadzwońiła wczoraj i powiedziała, że słyszała o nas od pewnego mężczyzny. Mówiła, że zaprosiłaby nas wcześniej, ale były jakieś hocki-kłocki ze ślubem. Podobno mogło w ogóle do niego nie dojść. Czyli było ostro!

- Oj, tak - powiedziała Holly, czerwieniąc się jak burak. - Ale już wszystko w porządku - dodała, ściskając dłoń Jake'a. O, Boże! Tak się ucieszyła na widok panny Ellie i Herberta, że zupełnie zapomniała im go przedstawić.

- Holly opowiadała mi o pewnej drodzej jej sercu parze - odezwał się Jake, mrugając porozumiewawczo. - Bardzo mi miło.

Panna Ellie uśmiechnęła się szeroko.

- Nawzajem, chłopcze. - Też puściła do niego oko i wszyscy się roześmiali. - Herbercie, może byś mnie zaprowadził tanecznym krokiem do naszych miejsc? Nie mogę już ustać na tych szpilkach!

- Przecież ćwoczyłaś...- zaczęła Holly.

- Żartuję! - Panna Ellie zaśmiała się. - Spacerowałam w nich po ulicy, przed domem. Na tę wspaniałą okazję ćwoczyliśmy z Herbertem tango.

Gdy Jake wskazywał Herbertowi, po której stronie siedzą znajomi panny młodej, Holly jeszcze raz uściskała pannę Ellie. Staruszka szepnęła jej do ucha:

- Będziesz nas czasami odwiedzać, dobrze? Koniecznie przywoź tego swojego przystojniaka.

Holly zamrugała, powstrzymując łzy. Jakby Herbert i panna Ellie wiedzieli - już wtedy, gdy odprowadzali ją na stację - że wraca do domu, do Troutville.

Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła tu zostać.

- Możesz pocałować pannę młodą - oznajmił pastor i Dylan przechylił Lizzie w tył w prawdziwie hollywoodzkim pocałunku.

Holly rozpłakała się z radości, a Jake podał jej chusteczkę.

- Dzięki - powiedziała. - Obiecywałam, że nie będę się mazać, i co? Jake się uśmiechnął.

- To bardzo wzruszająca chwila. Możesz sobie pozwolić na łzy.

Holly odwzajemniła uśmiech i znów wybuchła płaczem. Tym razem nie z radości.

Płakała z żalu nad sobą. Poprzedniej nocy śniło jej się, że brała ślub z Jakiem. Że to oni, stojąc przed rodziną i przyjaciółmi, wymienili sakramentalne „tak”. Ślubowali sobie miłość, wierność i szacunek do końca życia.

- Te wszystkie kliwne historie to nie dla mnie - powiedział głos za plecami Holly i Jake'a.

Odwrócili się. Jimmy Morgan, w garniturze i krawacie, obejmował ramieniem dziewczynę, swoją wymarzoną dziewczynę ze szkoły.

- A ty nie jesteś kliwy? - Dziewczyna delikatnie postukała go palcem w nos. - Kto by pomyślał!

Jimmy się zaczerwienił, bo przejrzała go na wylot. Jake i Holly roześmiali się i odwrócili w stronę młodej pary. Holly była szczęśliwa, że Jimmy przestał się bocyć na Dylana i Jake'a. Spędzili razem kilka godzin i wszystko było jak dawniej. Jake i Dylan zaproponowali mu, żeby pracował w ośrodku jako pomocnik. Chłopak aż podskoczył z radości.

Holly rozejrzała się po placu. Gayle i jej szef patrzyli sobie w oczy, panna Ellie i Herbert znów się całowali, a Pru i Dan, trzymając się za ręce, szli pogratulować państwu młodemu.

Wszyscy mieli przed sobą wspaniałą przyszłość. Holly nigdy nie czuła w sobie aż tyle nadziei.

Powiedz mu, co czujesz, Holly, nakazała sobie. Powiedz!

- Jake, widziałeś ten duży, żółty, stary dom na końcu tej drogi?

- Tamten? - zapytał Jake, wskazując dom otoczony białym płótem, wyglądający jak z bajki.

Holly kiwnęła głową.

- Wczoraj była przed nim wystawiona tabliczka z napisem: NA SPRZEDAŻ. Uznałam to za znak.

Jake spojrzał na nią, unosząc brew.

- Jaki znak?

- Że powinnam go kupić i zamieszkać tu. Między Górnym a Dolnym Troutville.

Wziął ją za rękę.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

- Ja też chciałbym mieszkać w takim domu. Między Górnym a Dolnym Troutville. Z kimś, kogo bardzo kocham.

- Może więc powinieneś się tam wprowadzić. Ze mną.

- Myślałem, że już nigdy tego nie zaproponujesz.

- Długo to trwało, ale cóż.

- Warto było czekać na ciebie dziesięć lat, Holly. Warto byłoby czekać i sto, ale dzięki Bogu nie zwlekałaś do czasu, kiedy oboje będziemy starzy, siwi i niezdolni do założenia rodziny.

Do oczu napłynęły jej łzy, więc zamrugała.

- Kocham cię, Jake.

- Ja ciebie też, Holly. Jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Tak, tak, tak! - szepnęła. - Och, Jake, tak!

Pochylił się, żeby ją pocałować.

- Przypieczętowałem to pocałunkiem.

Uśmiechnęła się.

- Powiedzmy wszystkim dopiero jutro. Dziś najważniejsi są Lizzie i Dylan.

- To będzie nasza tajemnica przez tę noc - zgodził się Jake. - Znam świetny sposób, żeby to uczcić.

Uścisnęła jego dłoń.

Odwzajemnił uścisk, a potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielką kopertę.

- Wczoraj wieczorem trochę sobie poszukałem. Na wypadek, gdybym potrzebował dodatkowych argumentów.

- Po co? - zapytała Holly.

- Żeby cię zatrzymać. Skłonić, żebyś chociaż o tym pomyślała. Proszę. Otwórz.

Holly wyjęła z koperty kilka wydruków z Internetu i wycinków z gazet, w tym parę ogłoszeń z „Gazety Troutville”.

- W szkole średniej w Troutville potrzebna nauczycielka angielskiego do trzeciej klasy - czytała. - W szkole w Riverton potrzebna nauczycielka do czwartej klasy. Nauczycielka do czwartej klasy potrzebna w szkole średniej w Leesville. - Riverton i Leesville leżały bardzo blisko Troutville.

Serce Holly zabiło mocniej. Bała się, że znów wybuchnie płaczem.

- Och, Jake.

- To nie wszystko - powiedział. - Czytaj dalej.

Włożyła ogłoszenia z powrotem do koperty i zaczęła czytać wydruki z Internetu.

- Potrzebny cukiernik do restauracji rodzinnej. Kursy dla cukierników w Miejskim Ośrodku Kultury w Troutville. Firma cateringowa szuka cukiernika do wypieku tortów weselnych. Zdobądź zawód cukiernika w słynnej szkole w hrabstwie Culler. Konkurs wypieków na jarmarku w Troutville w przyszłą sobotę. Zwycięzca wygrywa dwa bilety do kina.

- Chętnie obejrzałbym jakiś film - powiedział Jake, mrugając do niej.

- Ja kupię popcorn.

- Najpierw muszę upiec najlepsze ciasto - odparła ze łzami w oczach.

- Wygrasz, Holly - zapewnił. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Już wygrałam.

Uśmiechnął się i pocałował ją. Wiedziała, że do końca życia zapamięta ten długi, słodki pocałunek.

- Hm... - mruknęła Gayle siedząca w rzędzie za nimi i roześmiała się.

- Czy to nie państwo młodzi powinni się całować na weselu?

Holly nie mogła pohamować śmiechu.

- Dobrze, że postanowiłem zrobić z ciebie przyzwoitą kobietę - szepnął Jake do ucha Holly.

- Jake'u Boonie, bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też, Holly Morrow. Jesteś miłością mojego życia.

- Panny, w szeregu zbiórka! - krzyknęła Lizzie. - Która złapie, będzie następna! - Stała tyłem do tłumu i rzuciła swoją różowo-białą wiankę wysoko w górę.

Kwiaty wylądowały w wyczekujących dłoniach Holly. Spojrzała na Jake'a i uśmiechnęła się, pewna, że będzie następna, i to bardzo niedługo-

Epilog

Siedem miesięcy później narodził się mały cud. Córeczka rodziców z Górnego i Dolnego Troutville ważyła trzy kilogramy i trzydzieści dekagramów, miała kręcone, jasne włoski i szaroniebieskie oczy. Lizzie i Dylan Dunhillowie nadali jej imiona Dorothea Victoria, po ukochanej babci Lizzie i po matce Dylana. W skrócie nazywali córeczkę Theą. Victoria Dunhill dosłownie oszalała na punkcie wnuczki, rozpieszczała ją i obdarowywała sukieneczkami, które podobały się nawet Lizzie, chociaż nadawały się do noszenia tylko w święta. Pru, na której palcu lśnił teraz skromny pierścionek zaręczynowy od Dana, pokochała swoją małą bratanicę, gdy tylko ją zobaczyła. Matka Lizzie zatrudniła dwie kelnerki, żeby móc spędzać z Theą jak najwięcej czasu.

Pół roku po narodzinach malutkiej Thei w Troutville przyszedł na świat kolejny mały cud. Syn Holly i Jake'a Boone'ów ważył trzy kilogramy i osiemdziesiąt dekagramów. Otrzymał imię Jacob junior.

Holly wiedziała, że nigdy nie zapomni wyrazu oczu Jake'a, gdy pierwszy raz wziął na ręce swojego syna, bardzo podobnego do siebie, kilka sekund po jego przyjściu na świat.

Oczywiście w Troutville już zaczęły się plotki. Thea i Jake pobiorą się, mówili wszyscy. Na pewno!

Rodzice wznosili oczy do nieba, ale nie mogli się nie uśmiechać.

Dziś Lizzie i Holly wybrały się z Theą i małym Jakiem na spacer do Dolnego Troutville, żeby pokazać dzieciom domy, w których wychowały się ich mamusie.

- Patrz, Theo, to dawny dom mamy - powiedziała Lizzie, wskazując żółty bungalow. - Teraz jest tu studio fotograficzne.

Na parterze Lizzie urządziła swoje wymarzone studio, z ciemniami, komputerem, pomieszczeniami do fotografowania, odpowiednim oświe-

tleniem, dosłownie wszystkim. Postanowiła zostać portrecistką, a gdy tylko mieszkańcy zobaczyli zdjęcia, które robiła Thei i małemu Jake'owi, zaczęli przychodzić tłumnie z dziećmi i czworonożnymi pupilami. Każdy chciał mieć zdjęcie z magicznego aparatu Lizzie.

Na górze urządzono pokój dziecienny dla Thei, żeby bawiła się tam w czasie, gdy Lizzie jest na dole. Mama Lizzie zaproponowała, że będzie się opiekować wnuczką, kiedy tylko Lizzie będzie chciała pracować.

- A to jest sklep, który mama kupi i otworzy w nim cukiernię! - powiedziała Holly małemu Jake'owi, wskazując starą piekarnię, zamkniętą od ponad roku. Właściciel przeszedł na emeryturę i postanowił zamieszkać na Florydzie. Długo nie mógł znaleźć kupca, więc był zachwycony, gdy zadzwoniła Holly.

Holly zawsze chciała otworzyć własną cukiernię. Pracowała już jako wolontariuszka w szkole średniej w Troutville, udzielając korepetycji uczniom, którzy mieli kłopoty z angielskim. Trzy dni w tygodniu spędzała w szkole, ucząc po trzy godziny dziennie. Ten rozkład zajęć bardzo jej odpowiadał: mogła pomagać dzieciom, a także piec we własnej cukierni. Spełniły się jej marzenia.

- A tutaj mieszkała twoja przyszła mamusia, zanim przekonała swojego upartego szefa, żeby się w niej zakochał i poślubił ją! - powiedziała Gayle, poklepując swój zaokrąglony brzuch. Była w piątym miesiącu ciąży.

Gayle i Greg pobrali się na tym samym placu, co Lizzie i Dylan oraz Holly i Jake.

Holly się roześmiała.

- Gayle, chyba udzieliły mi się zachcianki kobiety w ciąży. Zjadłabym lody z polewą karmelową.

- Och, ja też! - zawtórowała jej Lizzie. - Moje plecy! - zawołała, mäsując plecy i udając, że ją boła. - Tylko lody mogą mi pomóc!

- Zjeść. Lody. Natychmiast - wyskandowała ze śmiechem Gayle.

- A może byśmy zaprosiły tatusiów? - zaproponowała Lizzie.

- Jake nigdy nie przepuściłby takiej okazji: lody z polewą karmelową - oświadczyła Holly. - A ty, maluszkę? - dodała, pochylając się, żeby delikatnie dotknąć miękkiego policzka synka. - Czy, jak twój tatuś, wyrosniesz na lodoholika?

Holly przysięgłaby, że właśnie w tej chwili mały Jake pierwszy raz naprawdę się uśmiechnął.